

De. II 1.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

WRZESIEŃ.

1900.

---

TOM III.—ZESZYT 3.

---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

—  
1900.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH (1846—1859). (Sprawy eko- nomiczne), — przez d-ra Bronisława Łoziń- skiego . . . . .	381
II. PRZEKONANA. Powieść (dalszy ciąg), — przez Al. Susz- czyńską . . . . .	409
III. ELEKCJA AUGUSTA III, — przez Szymona Askena- zego . . . . .	430
IV. KRONIKA LONDYŃSKA, — przez d-ra M. Nekandę- Trepkę . . . . .	465
V. ELIZA ORZESKOWA, — przez A. Drogoszewskiego	494
VI. MARZENIA (wiersz), — przez Edmę Mierz . . . . .	517
VII. TEGOROCZNY MIĘDZYNARODOWY KONGRES KATOLICKI W PARYŻU, — przez Michała Radziwiłła	521
VIII. PIŚMIENICTWO. Stanisław Rzepiński: „Grecya, wspomnienia z podróży, odbytej na wio- snę w roku 1896“, Kraków, 1899;—Anna Neumanno- wa: „Legendy i baśnie Wschodu“. Kraków, 1899; — Zofia Kowerska: „Powieści“, Kraków, 1899, — przez Z. D. . . . .	540
X. KRONIKA MIESIĘCZNA. I. Zmiany w Towarzystwie Kredytowem miasta Warszawy. — II. Pożar Jasnej Góry. — Dwa konkursy. — Początek roku szkolnego i nowa szkoła handlowa w Warszawie. — Jak mieszka nasza ludność wiejska? — Szczepienie idei oszczędności wśród młodzieży szkolnej. — Nowe pismo: „Świat artystyczny“, jego cel i zadanie . . .	548
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	577



De. II. 1.

# Agenor hr. Gołuchowski

w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859).

*(Sprawy ekonomiczne).*

W monografii obejmującej całą działalność hr. Gołuchowskiego, mianowicie: trzykrotne rządy w kraju, na rozdział, poświęcony sprawom ekonomicznym, złoży się materiał bardzo obfity, szeregiem stwarzanych instytucji i dokonanych urzędzeń w oczy bijący i dla każdego dostępny.

W pracy niniejszej, obejmującej pierwszy okres rządów hr. Gołuchowskiego, ze sprawami ekonomicznymi rzecz się ma podobnie, jak z politycznymi w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ogólna sytuacja państwa i kraju była w tym okresie tak trudna, że i na tem polu niemożna było myśleć o samodzielnej akcji w szerszym zakresie, o inicytywie, wychodzącej poza ramy wniosku, w biurokratycznym tego słowa znaczeniu, czyli, mówiąc językiem urzędniczym, poza ramy „szacownego materiału“, w znacznej części skazanego na to, aby stanowił tylko dekorację archiwalną.



Nie chcemy jednak przez to powiedzieć, że dla ekonomicznej doli kraju pierwszy okres rządów hr. Gołuchowskiego nie miał znaczenia tak wybitnego, jak w innych zakresach.

Działalność hr. Gołuchowskiego na tem polu miała owszem znaczenie bardzo doniosłe, tak dla położenia kraju w danej chwili, jak i dla jego przyszłości pod względem ekonomicznym. Trzeba ją jednak ocenić ze stanowiska w owczesnych stosunkach jedynie słusznego i trafnego, ze stanowiska negatywnej akcji, polegającej na odwracaniu ciosów, które, czy to z winy centralnego rządu w Wiedniu, działającego pod wpływem błędnej informacji lub nawet nie bez intencji nieżyczliwych, czy to za sprawą ogólnych stosunków, godziły w ciężko skołatany organizm kraju, podkopywały jego siłę odporną, już w poprzednim smutnym i burzliwym okresie tak ciężko nadwreżoną.

Po części tylko, jak np. w sprawach fundacyjnych, które niejednokrotnie wypadło wziąć w obronę nawet wobec skarbu państwa, zawsze zachłonnego już według aforyzmu starorzymskiego (*fiscus semper rapax*), działalność hr. Gołuchowskiego w tym kierunku była w swoim czasie powszechnie znaną i uznawaną. Inne sprawy jednak pokrywa taka sama ciemnica, jak polityczną stronę działalności Namiestnika.

Jakiem było położenie ekonomiczne Galicji w chwili objęcia rządów przez hr. Gołuchowskiego? Od tego pytania zacząć należy, bo sama odpowiedź najlepiej wykaże, jakim dobrodziejstwem było to dla kraju, że w chwili dlań najkrytyczniejszej losy postawiły na naczelnem stanowisku obywatela znajdującego sytuację, a tem samem trafnie oceniającego doniosłość już samej akcji, w danej chwili niewdzięcznej, bo nieośniewającej doraźnemi, dotykalnemi wynikami; ale za to stanowiącej wobec dzisiejszego pokolenia godny historycznego utrwalenia tytuł do wdzięczności.

Położenie ekonomiczne w Galicji było w dobie tą pracą objętej tak smutne, że nawet przy dobieraniu najciemniejszych barw w określeniu ogólnego obrazu nie trzeba się obawiać przesady.

Że Galicja była w rzędzie prowincji austriackich kopciuszkiem, trzymanym przez biurokrację starej daty na szarym końcu i wysuwany na pierwszy plan, albo raczej na pierwszy ogień tylko wtedy, gdy, jak to historia ustawodawstwa cywilnego i karnego austriackiego przykładami objaśnia, chodziło o pole doświadczalne, o zrobienie takiej próby, jaką się robi na obojętnych przedmiotach badań wiwisekcyjnych,—to rzecz wiadoma, to ogólnik historyczny, dziś już nie zaprzeczany nawet przez centralistycznych epigonów tej biurokracji, lecz tylko w razie przypomnienia w uroczystej formie,



naprzykład w Radzie państwa, zaklinany przez nich, jak upiór, przez odwoływanie się do lojalności dzisiejszego pokolenia polskiego w Galicyi.

Ale sam fakt, że Galicya była w oczach biurokracyi staro-austriackiej kopciuszkiem pomiędzy innymi krajami państwa, jeszcze niedostatecznie określa rozpaczliwość położenia. Gdyby bowiem wszystkie inne prowincye doznawały były na sobie dobrodziejstw racjonalnej i troskliwej administracyi, to kopciuszek-Galicya mogła-by tylko żalić się, że była wtedy upośledzona co do miary tych dobrodziejstw, że było gorzej albo mniej dobrze niż innym krajom.

Tymczasem rzecz się tak ma, że wszystkim prowincjom austriackim było źle, nawet bardzo źle, zwłaszcza w okresie bezpośrednio poprzedzającym rewolucyę z r. 1848, za owych pamiętnych czasów cesarza Franciszka I, kiedy-to niedbalstwo w administracyi państwowej, postępującej niejako według maksymy „sit quia fuit,“ nie tylko pozostawiało wszystko odłogiem, lecz nawet paraliżowało wszelką śmielszą akcyę lub inicjatywę, dobywającą się z łona samego społeczeństwa.

W takim przedstawieniu sytuacji przedrewolucyjnej dziś zgodni są wszyscy historycy austriaccy.

To też w każdym głębszem badaniu stosunków, które w naturalnym rozwoju doprowadzić musiały do kataklizmu i rzeczywiście doprowadziły do wybuchu rewolucyjnego, nieudolność staro-austriackiego systemu biurokratycznego, szczególnie w zakresie stosunków finansowych i ekonomicznych, wymieniana bywa między przyczynami katastrofy lub nawet wysuwana jest na pierwszy plan przed innymi, np. w klasycznym dziele A. Springera („Geschichte seit den Wiener Frieden 1809“).

System Metternichowski w innych prowincjach austriackich wiódł do bezwładności w życiu politycznym i umysłowym, ale zresztą zachowywał dążność ściśle konserwatywną nawet w stosunkach pańszczyźnianych, ograniczając pod tym względem reformy tylko do takiej miary ulg, jakiej wymagały niedające się już doszczętnie wypełnić tradycye rządu cesarza Józefa I i względy humanitarne.

W Galicyi natomiast, w tym dla stosunków ekonomicznych i społecznych kraju rolniczego najważniejszym dziale administracyi, dążność zachowawcza objawiała się tylko na pozór i o tyle, o ile nie chciało stworzyć precedensu niebezpiecznego dla innych prowincyi, lub fermentu, który-by mógł działać poza obrębem Galicyi. W gruncie rzeczy jednak rozwinął się na tem polu w Galicyi system z pozorów tylko konserwatywny, a w ostatecznych wynikach i celach radykalny, niemal anarchiczny.

Skoro raz uznano Galicyę za ognisko wiecznych spisków i kno-  
wań rewolucyjnych, polskość za wcielenie ducha rewolucyjnego,  
a szlachtę za rdzeń polskości, biurokracya, postępująca w duchu sy-  
stemu Metternichowskiego, uważała za swój święty obowiązek utrzy-  
manie stosunków między włościanami i dziedzicami w stanie ciągłego  
poważnienia i podrażnienia.

Że to wiodło do podkopania bytu materialnego szlachty, to  
rzecz naturalna, to przewidywano i tego sobie życzone w sferach biu-  
rokracyi niemiecko-galicyjskiej, kierowanej przez osławionego  
w r. 1846 prezydenta gubernialnego we Lwowie, br. Kriega. Ale, że  
wobec ścisłej łączności doli obu stron wyniknąć stąd musi w następ-  
stwie także upadek materialny włościaństwa i że—co gorsza—takie  
systematyczne podkopywanie bytu i powagi dziedziców w ówczesnym  
ustroju administracyi patrymonialnej łączyć się musi nierozdzielnie  
z podkopywaniem powagi najniższej w tym ustroju, więc dla porząd-  
ku społecznego najważniejszej władzy, tego krótkowidząca, czy za-  
ślepiąca w swojej nienawiści biurokracya gubernialna i okręgowa do-  
strzedz nie mogła czy nie chciała. Ocknęła się dopiero po katastrofie  
r. 1846, gdy bezsilna wobec rozpasanych band rozbójniczych Szeli,  
Korygi itp., nie mogła obronić ani własnej, ani prawa powagi, a nę-  
dza, po wsiach, zwłaszcza w zachodniej Galicyi, panująca, doszła do  
tego stopnia, iż nietylko ludzie marli z głodu po drogach publicznych,  
lecz nawet zdarzyły się w kraju — *horribile dictu* w połowie XIX  
wieku—wypadki kanibalizmu.

Jeden taki wypadek został urzędownie stwierdzony, a był tak  
grozą przejmujący w swoich szczegółach, że go nawet w aktach urzęd-  
owych ani ukryć, ani upiększyć nie próbowano. Wydarzył się on  
we wsi Meszna szlachecka koło Tuchowa w lutym 1847 r. W jednym  
domu włościańskim tej miejscowości dziecko umarło z głodu, a rodzeń-  
stwo jego było tak zgłodniałe, że rzuciło się na trupa i pożarło go  
w sposób zwierzęcy.

Starosta Tarnowski doniósł o tem (23 lutego 1847) gubernium  
lwowskiemu i przedstawił przytem stan całego obwodu w tak ponu-  
rem świetle, że można się było obawiać najdzikszych wybryków ze  
strony zgłodniałej ludności.

Doraźna pomoc, którą starosta z funduszków rządowych i z re-  
kwizycyi z wyludnionych i po rzezi jeszcze nie zagospodarowanych  
dworów wydobyl, tonęła jak kropla wody w tem morzu nędzy. Jeszcze  
w cztery miesiące po powyższej relacyi (22 czerwca 1847), pisał sta-  
rosta tarnowski do gubernium, że wygłodzeni ludzie ze wsi wloką  
się o resztkach sił do miasta i giną po drodze, zanim się pomocy do-  
czekają.



Dalsze wypadki kanibalizmu głodowego, który się oparł o sądy, stwierdza baron Kalchberg, w tych czasach generalny dyrektor szląsko-galicyskich dóbr arcyksiążęcych, potem prezydent rządu krajowego na Szląsku, a wreszcie wice-prezydent namiestnictwa lwowskiego.

„Gdy raz spełniając mój obowiązek urzędowy—pisze br. Kalchberg w swoich pamiętnikach („Mein politischer Glaubensbekenntniss in Gedenkblättern aus einer achtzigjährigen Pilgerfahrt“) zwiędzałem prowincjonalny zakład karny we Lwowie, przedstawiono mi chłopaka około 18 letniego. Był to blondyn doskonale wyglądający, o łagodnym wyrazie twarzy, dobrze zbudowany i, jak się zdawało, także umysłowo nieupośledzony. W zachowaniu swoim nie był ani skryty ani knąbrny lub gwałtowny. W więzieniu zachowanie się jego było nienaganne. Zapytywałem chłopaka, jaką zbrodnię popełnił, i otrzymałem odpowiedź, że w roku głodowym (1847), gdy, jako pastuch, strzegł bydła gminy w polu, zarznął swojego cztereletniego brata, ciało jego pokrajał w kawałki, częściowo upiekł i zjadł potem.

W Sądowej Wiszni matka upiekła swoje dziecko i próbowała je zjeść, ale ciało wydało się jej zbyt słodkie. Ta kobieta umarła w więzieniu, a sędzę i spodziewam się, że nie była umysłowo zdrową“.

Pod względem grozy graniczą z kanibalizmem głodowym następujące dalsze zapiski br. Kalchberga: „Pewna matka zaniósła swoją siedmioletnią córeczkę do trupiarni i nie chciała jej stamtąd zabrać do domu, bo skoro i tam musiała-by umrzeć, to lepiej dla niej, jeżeli skończy w trupiarni na ziemi poświęconej. Spotkałem raz jadącego wozem chłopaka, który siedział na trumnie i gwizdząc wesoło popędzał konie. Zapytałem go, co też w trumnie wiezie?—Moją matkę,—odpowiedział—którą głód zabił.—Po tej odpowiedzi zaczął dalej gwizdać.“

Z pamiętników br. Kalchberga można-by jeszcze przytoczyć cały szereg szczegółów grozą przejmujących, np. opowiadanie o trupach niepogrzebanych, które w podróży swojej spotykał na drogach w powiecie Żywieckim i Wadowickim, o ludziach z głodu po drodze ginących itd.

Ale wracamy do źródła archiwalnego, które już bez oglądania się na inne świadectwa informacyjne zawiera aż nadto wiele materiału do skreślenia obrazu ekonomicznej sytuacji Galicji, przed przyjęciem hr. Goluchowskiego do steru rządów krajowych.

O tym samym czasie (1847) otrzymało gubernium galicyjskie z powiatów zachodnich, mianowicie z Wadowickiego, cały szereg zatrważających relacji. Z Makowa doniesiono, że tłumy ludzi wygłodzonych zalegają drogi do miasta i ulice w mieście, że słabsi umiera-



ją z głodu tak licznie, iż trupy leżą na cmentarzu całymi dniami nie-pogrzebane.

Dopiero za wdaniem się władzy zaczęto wapnem zasypywać i grzebać trupy, a tymczasem wybuchły różne choroby i epidemie do-koła ludność dziesiątkujące.

Z Oświęcimia straż skarbowa doniosła w lipcu 1847, że ludność głodem dotknięta burzy się i chce samowładnie zamknąć wywóz zbo-za. Pruscy żydzi wyzyskiwali to położenie ludności i sprzedawali korzec zboża po 25—40 zł., na co oczywiście tylko najubożniejsi mogli sobie pozwolić.

W Białej głód, wywołany brakiem zboża w szeregach robotni-czych, zwiększających się nieustannie napływem obcych indywiduów do pracy, wywoływał zastój w całym przemyśle i spowodził tak niepo-kojący stan bezpieczeństwa publicznego, że ludność miejscowa już nie do gubernium, lecz wprost do cesarza udala się z petycją bla-galną.

Że głód, wogóle niedostatek, nie dawał się umiejscowić, że, w miarę wyczerpania się skromnych zapasów zboża, posuwał się dalej ku wschodniej stronie kraju, gdzie i bez tego obawiano się ciężkiego przednówka, to rzecz naturalna.

Wszystkich relacji głodowych przytaczać nie będziemy, bo są monotonne w powtarzaniu skarg na głód, epidemii i wynikające stąd symptomy anarchicznego nastroju umysłów wśród zrozpaczonej i do wszelkich nadużyć gotowej ludności. Cały gruby fasykul stanowią te urzędowe relacje i tworzą niejako pendant do relacji z poprzed-niego roku o rzezi. Było to bowiem naturalnem następstwem wy-padków r. 1846, że właśnie tam, gdzie dwory zrabowano i gdzie wskutek tego gospodarstwo dworskie popadło w zastój, zapanowała największa nędza pomiędzy ludnością wiejską, pozbawioną pomocy od dziedzica.

Ludność przytem była tak zdemoralizowana, że niedola nie wzbudziła w niej ani żalu, ani skruchy, lecz, przeciwnie, żądę ponow-nego pofołgowania dzikim instynktom. Wpojone przez biurokrację niemiecko-austriacką w umysły chłopskie mniemanie, że szlachta jest sprawczynią wszelkiego nieszczęścia chłopskiego, więc i głodu obec-nego, znalazło odgłos żywy w okolicach wślawionych wypadkami z r. 1846. Opowiadano tam sobie, że „panowie“ znowu się buntować za-czynają, że zmagają się na chłopów i powtarzają sobie piosnkę: „Od Krakowa do Tarnowa nie zostanie chłopska głowa“. W obwodzie Tarnowskim wydarzyły się też rzeczywiście takie niepokojące wypad-ki rabunków i napadów, że komendant tamtejszej załogi, br. Werlar,

czuł się zmuszonym zaalarmować raportem swoim głównego komendanta we Lwowie, br. Hammersteina, który, chociaż szlachcie nie żałował wszelkich udręczeń, zwrócił się ze swej strony do gubernium z poważną refleksją. Władza wojskowa we własnym interesie musiała się wdać w stan rzeczy, bo mogła przewidzieć, że w razie pogorszenia się stosunków, na nią spadnie cała odpowiedzialność za utrzymanie porządku.

W tym czasie bowiem cała powaga władz administracyjnych w zachodniej Galicyi była tak podkopana wypadkami z 1846, mianowicie dwuznacznym lub wprost niegodnym władzy stosunkiem jej organów do hersztów rzezi z 1846, że kommissarze okręgowi nie mogli już bynajmniej wywierać dawnego nacisku. To też oglądano się nie tyle na okręgi, ile na siłę zbrojną, a jeden z obywateli (Tytus Bobrowski z Łąk dolnych), czując się zagrożonym ze strony chłopstwa, niedostatkiem na przednówku dotkniętego, zaniechał umyślnie płacenia podatków i zwrócił się do władzy z prośbą, aby wysłano do niego wojskową asystencyę na egzekucyę zaległości!

Gubernium lwowskie już w marcu 1847 ustanowiło „kommissarzy głodowych“ z grona politycznych, miejskich i dominikalnych urzędników, dla zbadania i utrzymania ewidencyi gmin i osób niedostatkiem dotkniętych. W czerwcu 1847 wysłało gubernium radcę swojego, br. Salę, do zachodniej Galicyi, dla naocznego przekonania się o stanie rzeczy. Relacya tego delegata z objazdu potwierdziła najpopeśniej sze obrazy nędzy, skreślone przedtem przez inne organa. Według tej relacyi, w Wadowieckim obwodzie ludzie z głodu i chorób padali po drogach i umierali.

W jednej wsi sześciu ludzi głodnych zgłosiło się do roboty, ale wszyscy pomarli, zanim mogli wziąć się do pracy. Inżynier Kutschera zapewnił Salę, że w jego regionie robót publicznych nie minie dzień, żeby nie umarł przynajmniej jeden robotnik.

„W mojej podróży—dodaje Sala—znalazłem w Żywcu, w samym mieście, w rowie przydrożnym kobietę umierającą. W powrocie z Suchej do Wadowic widziałem zwłoki na gościńcu leżące, a po przyjeździe do Wadowic dowiedziałem się, że na ulicy znaleziono okryte lachmanami zwłoki trzech ludzi nieznanomych.“

Czy ci „kommissarze głodowi“ policzyli przynajmniej wszystkie ofiary głodu i chorób z drugiej połowy r. 1846 i z r. 1847? Niema w aktach gubernialnych śladu działalności tych organów, niema także takiego zestawienia rozmiarów niedostatku i jego ofiar w poszczególnych obwodach, żeby można sobie wytworzyć obraz całości. Nie było wtedy prasy i reporterów w dzisiejszem tego słowa zna-



czeniu, więc niema nawet nieoficyalnego materiału do takiego obrazu.

Jak dorywczeni były wszystkie okręgowe relacye głodowe, tak dorywczą, rozbitą, wszelkiego planu i systematycznego rozkładu pozbawioną była akcyja ratunkowa ówczesnego gubernium. Czerpano fundusze, skąd tylko ich zaczerpnąć można było; rozdawano je pomiędzy ludność zgłodniałą bez planu i rachuby, aby tylko zażegnać niebezpieczeństwo rozpaczliwego wybuchu dzikich instynktów chłopskich, które zwróciły-by się były już nie przeciw dworom opustoszałym i obrabowanym, lecz przeciw klasie posiadającej wogóle, a może i przeciw opiekuńczej władzy!

Za wszelką cenę trzeba było zażegnać to niebezpieczeństwo, skoro się niedawno wmówiło w Europę, że chłop rabujący dwory i mordujący szlachtę w roku poprzednim był nie zbrodniarzem, lecz przedstawicielem lojalności, filarem i stróżem porządku, że okrucieństwa przezeń popelnione, a mimo wszelkich kłamliwych relacyi zataić się nie dające, były w najgorszym razie tylko odwetem za ucisk szlachty.

Na taką bezradną i beżładną pomoc publiczną, którą biurokracya austriacka stworzyła zgubny dla przyszłości precedens, wzbudzając w ludności wiejskiej wniemanie, że bez własnej zapobiegliwości i przezorności w ciężkich czasach zawsze liczyć może na podobne wsparcie, poszły w jednym roku (1846—7) summy na owe czasy ogromne. Rząd wydał bowiem krocie z funduszu zapomogowego (krajowego) i z funduszy państwowych, wliczając w nie także fundusz składkowy, w całym państwie uzbierany. Gdy to wszystko nie wystarczyło, wziął rząd na bezprocentową pożyczkę dla włościan milion złr. z grecko-wschodniego funduszu religijnego Bukowiny, wkładając na Galicyę obowiązek spłacania odsetków.

Zboże sprowadzano z Morawy i Szląska, a rozdawano je między włościan bez obowiązku zwrotu lub spłaty, bo uczyniono to wrzeczono w zastępstwie dworów, więc na nie ten obowiązek przerzucono. W tym pomysle doprowadzony został przez biurokracyę system niszczenia szlachty do punktu kulminacyjnego. Nie osłaniała bowiem w swoim czasie dworów przed mordami i rabunkiem, nie chciała i nie była nawet w stanie zabezpieczyć dworom świadczeń pańszczyźnianych, potrzebnych do jakiej takiej uprawy pola, więc do jakiego takiego wypełniania szpichlerzy, z których włościanin czerpał pomoc w razie potrzeby; ale bez skrupułów i bez oglądania się na upadek gospodarstw szlacheckich obciążyla te same dwory obowiązkiem zapomogowym w takim stopniu, że tego nawet w czasach tak anormalnych uzasadnić niepodobna.



Mimoходом zaznaczyć tutaj wypada, że skutki tej bezradnej i bezładnej akcji zapomogowej z r. 1846—7 przypomniały się Galicyi jeszcze po upływie całej ćwierci wieku. Władze skarbowe bowiem wywlokły w r. 1872 bezładne i sprawdzić się już nie dające rachunki zwrotnych zapomóg z r. 1847 i przystąpiły do przymusowego ściągania od włościan zaległości, które dosięgały krociowej wysokości.

Sprawę tę poruszono w sejmie kilkakrotnie, najpierw w formie interpellacji, a potem petycjami gmin, zagrożonych egzekucją, wreszcie uchwałami sejmowemi. Hr. Gołuchowski, za trzeciego namiestnictwa, zatarł ten ślad grzechów niemieckiej biurokracyi, gdyż powstrzymał egzekucye, a potem wyjednał (w 1874) cesarskie postanowienie, zarządzające odpisanie egzekwowanych zaległości.

Wracamy do r. 1847. W chwili objęcia rządów przez gubernatora, Franciszka hr. Stadioną, w jesieni, położenie obwodów, w których na przednówku głód się srożył, było o tyle lepsze, że zbiory nieźle wypadły i na razie zboża nie brakło. Było ono jednak zawsze jeszcze bardzo drogie, nie tylko w zachodniej Galicyi, lecz także na sąsiednim Szląsku. Zachodziła więc obawa, że polepszenie sytuacji będzie tylko chwilowe, a na przednówku powtórzą się niedawne, groźną przejmujące, sceny śmierci głodowej i epidemie.

Hr. Stadion, w poglądach swoich wyższy nad cały współczesny świat biurokratyczny Austrii, od razu zorientował się w sytuacji i spostrzegł błędy popełnione w poprzedniej akcji ratunkowej rządu. Za trafnem zorientowaniem się poszły trafne rozporządzenia co do dalszego programu działania.

Kiedy się dziś czyta wszystkie ówczesne rozporządzenia hr. Stadioną, zawarte w poufnych okólnikach do okręgów i w odezwach do biskupów, nasuwa się pytanie: dlaczego wtedy i później przy odgadywaniu tytułów hr. Gołuchowskiego do szczególnych względów hr. Stadioną i przy zastanowieniu się nad tem, kiedy i czem hr. Gołuchowski mógł wzbudzić w hr. Stadionie takie uznanie dla swojego talentu administracyjnego, że go zalecał na gubernatora zaraz po swoim ustąpieniu, więc przed Wacławem Załęskim, — wszyscy szukali wyjaśnienia wrzekomej zagadki błędnie, lub nawet złośliwie, w rozbudzeniu kwestyi ruskiej, a nie tam właśnie, gdzie, jak w sprawie niniejszej, jak wogóle we wszystkich dobrych intencjami kierowanych krokach hr. Stadioną z pierwszego okresu jego gubernatorstwa, domysł ten byłby najtrafniejszy? Hr. Stadion mógł bowiem z własnej bystrej obserwacji spostrzedz i ocenić dotychczasowe błędne postępowanie władzy w sprawie głodowej; ale żeby niejako z własnej intencji w pierwszych zaraz miesiącach swoich rządów, wpadł na tak

szczęśliwe uwagi i pomysły, jakie zawarte są w wydanych przezeń rozporządzeniach, to już w każdym razie trudno przypuścić. Jeżeli zaś istotnie szukał wtedy trafnej informacyi i dobrej rady, to pod tym względem nie mógł polegać zupełnie na swoim szefie prezydyalnym i nieodstępnym towarzyszu, radcy generalnym Oettlu. Ten bowiem, wraz z nowym gubernatorem świeżo przeniesiony z Tryestu do Lwowa, znał Galicyę i jej stosunki jeszcze mniej nawet, niż inni przed nim do Galicyi sprowadzeni niemieccy biurokraci, mniej nawet niż sam hr. Stadion, który przedtem czas jakiś bawił w kraju, jako młody urzędnik gubernialny i okręgowy.

Czy nie narzuca się niejako domysł, że wpływ hr. Goluchowskiego, wówczas dopiero radcy gubernialnego, przebija w reskryptach hr. Stadiona, zawierających takie np. ustępy: „Użyć się mające środki (pomocy rządowej) nie powinny osłabiać dbałości jednostek o zaspokojenie potrzeb, co w Galicyi dotąd tak często zdarzało się przez przechodzące wszelką słuszną miarę zobowiązania dworów do wspierania poddanych. Nieurodzaj przyspieszył tylko wybuch głodu, ale nie jest właściwą przyczyną nieszczęścia. Leży ono w nieprawem dzieleniu gruntów i w osiedlaniu się wielu rodzin na gruntach nie wystarczających do ich wyżywienia, wskutek czego powstało zaludnienie, przerastające siły produkcyjne kraju. Powód niepomysłnego stanu tkwi dalej w tem, że nieogłędnie dopuszczano do wzrostu tej dysproporcji pomiędzy zaludnieniem a siłami kraju, nie postarawszy się o środki uchylenia złego.

„Nie postarano się mianowicie wcale o to, aby przez krzewienie przemysłu lub przez inne wyzyskanie zbędnych sił, środki utrzymania zostały pomnożone; nie uczyniono nic w tym kierunku, aby wpłynąć na moralną stronę ludu, wydobyć go z apatyi i lenistwa, a zarazem zwrócić uwagę na własne siły i środki pomocy, utrzymania i zabezpieczenia przed nieszczęściem. Jakkolwiek jest to rzecz smutna, należy przyznać i wypowiedzieć, że pokutujemy za grzechy zaniechania z czasów dawniejszych, a skutki obojętności i niedbałości na nas teraz spadają“.

Zarzut, że niemiecka biurokracja traktowała Galicyę po macoszemu, że ją wyzyskiwała, nie dbając wcale o rozwój kraju, wyposażonego tyłu przyrodzonymi warunkami rozkwitu, nie odparto dotąd nigdy z przeciwnej strony datami i argumentami rzeczowemi. Natomiast twierdzenie, że Galicya jest „krajem biernym“, niejako pasorzytem w rzędzie innych kwitnących prowincyi państwa, powtarza się dziś jeszcze w Wiedniu w formie pewnika, którego wrzekoma oczywistość zwalnia od przytoczenia dat i dowodów konkretnych. Godzi się zatem stwierdzić z aktu urzędowego — in aeternam rei memoriam —



że powyższe oskarżenie staro-austryackiej biurokracyi podniesione zostało na schyłku jej panowania, z jej lona, przez najwyższego jej naczelnika w Galicyi; że dalej oskarżenie to podniesione zostało przy takiej sposobności i w takiej formie, iż gdyby nawet ona wrzekoma „bierność“ ekonomiczna w Galicyi miała być jeszcze dotąd rzeczywiste faktem niezawodnym, dzisiejsze przytoczenie tego faktu nazwać-by można tylko podkreśleniem i zaostreniem powyższego oskarżenia.

Już w styczniu r. 1848 hr. Stadion powziął z raportów otrzymanych od starostów przekonanie, że ludność wiejska, zwłaszcza w zachodniej części Galicyi, zagrożona będzie znowu niedostatkiem w porze przednówku. Gdyby nie były zaszły pamiętne wypadki z marca 1848, które kres położyły rządowi tego gubernatora i, co ważniejsza, troskę o sprawy ekonomiczne zepchnęły na szary koniec spraw publicznych, Galicya była-by się może doczekała pierwszej od czasu przyłączenia do Austrii uczciwej i racjonalnej rządowej akcji ratunkowej.

Program tej akcji był już ułożony i zakomunikowany okragom 6 stycznia 1848 w obszernym reskrypcie, który-by raczej memorialem nazwać należało, a w którym na czele postawiona została konieczność zerwania z dotychczasową metodą ratowania ludności wiejskiej kosztem szlachty, darowiznami z jej kieszeni, za czem w konsekwencji zawsze pójść musiało obudzenie w tej ludności przekonania, że sama o siebie myśleć nie potrzebuje. „Wszyscy panowie starostowie—pisze hr. Stadion w tym reskrypcie—zgadzają się na to, że dotychczasowy sposób ratowania ludności zapomogami, udzielanemi jej bezpośrednio przez dwory, lub w ich zastępstwie i za ich poręczeniem przez państwo, sprowadził więcej złego niż dobrego. Wprawdzie zaradzono w ten sposób chwilowo potrzebom, ale za to przyzwyczajono ludność do spuszczenia się na obcą pomoc bez własnego przyczynienia się do uważania własnego zarobkowania dla zdobycia środków utrzymania za rzecz niewygodną i zbędną. Mniemanie, że dziedzic lub administracya państwowa musi wspierać poddanych, skłania nawet zamożniejszych posiadaczy gruntów do tego, iż zbiory swoje jak najprędzej konsumują lub pozbywają, aby na równi z biednymi brać udział w tej zapomodze, łatwo uzyskać się dającej, a co do zwrotu w daleką przyszłość odroczonej. Zachodzi nieodzowna konieczność uchylenia tych nadużyć zapomogowych, które dwory i państwo obciążają ponad prawo i słusność, poddanych demoralizują, a niedostatek niejako powoli uwieczniają. Zresztą zepchnięcie obowiązku wspierania poddanych zbożem na zasiew w całości na dwory było-by niesłusznem i w wielu wypadkach niewykonalnem. Dwory bowiem zo-



stały nadmiernem wspieraniem poddanych w latach niedostatku same wyczerpane, a obecnie także muszą niezdołnym do pracy dostarczać zarobku i utrzymania.

Starostowie we wnioskach swoich co do akcji ratunkowej postępowali starym szlakiem, przez niemiecką biurokracyę udeptanym, więc zaczynali ją od tego i kończyli na tem, co dotąd uchodziło za urzędowy dogmat w zakresie polityki ekonomicznej, tj. formułowali swoje propozycje w ten sposób, aby za jednym zamachem szlachta była dalej podkopywana w swoim bycie, a poddany jej kosztem, ale pod firmą rządową, otrzymywał darowizny. Tym duchem tchnęły też główne wnioski okręgowe, mianowicie projekt wzbromienia produkcji wódki z ziemniaków i zboża, oraz projekt zawieszenia pańszczyzny na czas niedostatku, aby ludność wiejska za robotę w polu otrzymywała całkowitą zapłatę.

Pierwszy projekt nazwał hr. Stadion w swoim reskrypcie „środkiem zanadto wkraczającym w zakres wolnej dyspozycyi własnością i w przemysłowo-rolnicze stosunki“, a o drugim wydał decyzję, że „jest niedopuszczalny“, o ile chodzi o nałożenie takiej ofiary, jako obowiązek dworów, a nie o zalecenie tylko tej myśli dobrowolnej umowie między dworami a poddanymi. Pominąwszy bowiem inne wątpliwości—mówi hr. Stadion w swoim reskrypcie—zważyć należy, że tylko nieliczne dwory rozporządzają takim zapasem gotówki, aby mogły zrzec się bezpłatnej robocizny na kilka miesięcy i płacić gotówką za wszystkie roboty.“

Po uchyleniu tych wniosków hr. Stadion położył nacisk na szereg propozycji dodatnich, które, jak naprzykład staranie o otwarcie nowych źródeł zarobku przez rozpoczęcie potrzebnych lub pożytecznych robót publicznych kosztem gmin, dworów, kraju i państwa (budowy dróg, melioracyi itp.), ożywienie istniejących gałęzi przemysłu domowego i otwarcie dla ich produktów nowych dróg zbytu (naprzykład dla płótna w zakładach karnych i w wojsku), bezpłatne dostarczanie soli, zorganizowanie ścisłej opieki gmin nad ubogimi itd., stały się stałymi postulatami także we wszystkich późniejszych akcyach ratunkowych w czasach niedostatku.

Niezależnie od tego programu na przyszłość zakrojonego, polecił hr. Stadion starostom i ordynaryatom biskupim odpowiednie pouczenie gmin o duchu swoich poglądów, a dominia upoważnił do zabierania u lekkomyślnych gospodarzy i przechowania części zboża, potrzebnej na wyżywienie i zasiew, więc niejako do wzięcia lekkomyślnych poddanych w kuratelę.

W tem tak niezwykle w austryackim świecie biurokratycznym ujęciu się za szlachtą, dotąd systematycznie przeciążaną, nawet podkopywaną w swoim bycie na rzecz ludności włościańskiej, przez rząd kokietowanej, przebija niewątpliwie wpływ hr. Gołuchowskiego, który, jako radca gubernialny, w otoczeniu hr. Stadionia miał głos poważny i poważany, a znany był dobrze z tego, że w ankiecie rządowej, zwołanej poprzednio dla uregulowania sprawy pańszczyźnianej, założył przeciw szkodliwym dla kraju projektom biurokracycznym *votum separatum* i wniósł do Wiednia samoistny wniosek całkowitego zniesienia pańszczyzny ze słusznem wynagrodzeniem szlachty w obligacjach indemnizacyjnych. Dziś jeszcze czyta się ten memoriał z uznaniem dla wielkiej odwagi obywatelskiej hr. Gołuchowskiego, jako ówczesnego radcy gubernialnego, więc podwładnego baronowi Kriegowi urzędnika, oraz dla zdrowych poglądów ekonomicznych i śmiałej krytyki postępowania rządu, w czem widać współpracownictwo stałego towarzysza hr. Gołuchowskiego w ówczesnych i późniejszych pracach programowo - administracyjnych, współpracownictwo znakomitego i wielce zasłużonego obywatela, Maurycego Krasińskiego.

Hr. Stadion w pierwszym, dobrym dla kraju intencjami ożywionym, okresie rządów swoich, zajmował się głównie sprawą uregulowania pańszczyzny i w tym celu bardzo troskliwie rozglądał się za źródłami trafnych informacji o stosunkach wiejskich. Gołuchowski uczestniczył we wszystkich konferencyach, przez hr. Stadionia dla tej sprawy zwoływanych, więc sposobność do wywarcia takiego wpływu, o jakim tutaj mówimy, nastęrczała się na każdym kroku. Po tym przelotnym przeblysku lepszej polityki ekonomicznej rządu wobec Galicyi, nastąpiła niebawem zawierucha polityczna, która postawiła kraj ten nad brzegiem przepaści. Marcowe wypadki w roku 1848 poróżniły polskie społeczeństwo z gubernatorem, hr. Stadionem, który zrażony bezskutecznością swoich prób uspakajających wobec żywiołów ruchu, zatrwożony szalonym pędem anarchii w całym państwie i pozostawiony bez wszelkich instrukcyi przez rząd centralny w rozlukanym wówczas Wiedniu, stracił niejako kontenans polityczny i dał się zepchnąć napowrót na tory staro - austryackiej polityki biurokratycznej. Hydra tej polityki podniosła łeb najpierw na prowincyi, gdy propaganda szlachty za dobrowolnem zrzeczeniem się pańszczyzny zagrażała zasadzie dawnego systemu rządzenia, to jest podtrzymywaniu rozterki między gminą a dworem. W chorobliwej już wówczas, jak się później pokazało, drażliwości swojej, hr. Stadion czuł się odepchniętym przez szlachtę i całe społeczeństwo polskie, podjął z niem walkę na tle pańszczyźnianem,



a w walce tej szedł za podszeptami narzucającej mu się ze swojemi usługami ruskiej Rady narodowej, która w całej jego karierze politycznej nietylko w Galicyi, lecz i później, w wiedeńskim sejmie konstytucyjnym, odegrała rolę złego ducha. Kiedy nareszcie w czerwcu 1848 roku hr. Stadion cichaczem Lwów opuszczał, aby, na wezwanie dworu cesarskiego, który przed rewolucją wiedeńską do stolicy Tyrolu (Innsbrucku) się schronił, zjawić się tam dla objęcia daleko ważniejszej misyi politycznej, Galicya już niemal zlorzczyła gubernatorowi, którego pierwsze kroki w kraju zdawały się jej pod każdym względem zapowiadać lepszą dolę, który też rzeczywiście zdawał się być powołanym do zagojenia ran społecznych, w roku 1846 Galicyi przez biurokracyę austryacką zadanych. Na szczęście Galicyi, po hr. Stadionie rządy w kraju dostały się mężowi, który misyę tę energiczną ręką podjął i z niej się świetnie wywiązał, mimo niezmiernych trudności i przeszkód. Rozpoczęły się teraz właściwe rządy hr. Agenora Gołuchowskiego, bo dotąd można było mówić tylko o jego wpływie zbawiennym w łonie rządu. Na obciążony, wobec Galicyi, grzechami politycznemi rachunek hr. Stadionia idzie także zniesienie pańszczyzny w kwietniu 1848 roku, dokonane dorywczo, niejako przez noc, bo z obawy przed wrzekomo grożącemi ruchami rewolucyjnemi. Taka wielka reforma, obwieszczona jakby zmienacka, bez przygotowania wykonawczego aparatu administracyjnego, a w dodatku w formie fatalnej, bo wątpliwościom, kwestyjom i sporom różnego rodzaju wrota na oścież otwierającej, potęgowała nieskończenie ówczesny zamęt, już i tak z anarchią graniczący. Demon starej niemieckiej biurokracyi austryackiej sprawił tedy, że owa doniosła reforma społeczna; o którą stany galicyjskie od kilku lat się upominały u rządu z własnej, czystemi intencjami dyktowanej, inicjatywy, dla której, jak już wyżej wspomnieliśmy, hr. Gołuchowski opracował z Maurycym Krasieńskim w roku 1846 racjonalny i tym intencjom zadość czyniący projekt, której przeprowadzenia wreszcie od pierwszej chwili ruchów w roku 1848 szlachta sama, również za sprawą czystych intencji i bezinteresownie, odrazu, drogą dobrowolnej ofiary, dokonać usiłowała, a tylko oporem, przez rząd stawianym, od tego powstrzymywana była, że ta właśnie reforma w chwili ziszczenia, przez więcej podstępna, niż nieudolna, a w każdym razie i podstępna i nieudolna rękę biurokracyi, przybrała charakter ciosu dotkliwego, wymierzonego nietylko na podwaliny bytu materialnego szlachty, jako głównie interesowanej klasy, lecz także na interesa społeczne całego kraju. Wtrącono go bowiem w przesilenie ekonomiczne, z którego przebiegu i zakończenia w danej chwili ani w Wiedniu, ani we Lwowie sfery rządowe, bez planu, wprost anarchicznie postępujące, sprawy sobie nie zdawały.



Żeby to nie zakrawało na sąd uprzedzony, przytoczymy zdanie z najświeższej publikacji historycznej o roku 1848, sąd Niemca, który w dziele swoim zajął stanowisko, skłaniające się pod każdym względem ku skrajnym poglądom, więc w takiej sprawie, jak zniesienie pańszczyzny, pewnie obojętny był na interesa uprawnionej klasy, a już najmniej myśleć mógł o interesach szlachty galicyjskiej: „Podczas gdy rząd — mówi Bach („Geschichte der Wiener Revolution in Jahre 1848“) — występował przeciw agitatorom, zapowiadającym ludowi blizkie oswobodzenie, i dziedzicom, wrzekomo dla zabezpieczenia wierzycieli przed szkodą, zabronił darowywania pańszczyzny, ministerjum ogłosiło 25 kwietnia reskrypt, z datą 18 kwietnia, który w Galicyi, i tylko w Galicyi, znosił od 15 maja wszystkie, ze stosunku poddańczego wypływające, daniny i świadczenia, z zastrzeżeniem wynagrodzenia uprawnionego przez państwo. Akt ten był nie konstytucyjny. Takie zarządzenie bowiem mogło być tylko ustawą wydane, a tę najpierw reprezentacja państwowa powinna uchwalić. To samowolne rozporządzenie odpowiadało zupełnie duchowi starego, już za pokonany uważanego, absolutyzmu, i zostawało w zupełnej sprzeczności z wydaną w tym samym dniu (25 kwietnia) konstytucją, według której Austria stawała się państwem konstytucyjnym. Zarządzenie to było nadto podstępne i ujawniało aż nadto wyraźnie dążności rządu, według których chłopci mieli być zniechęceni do intelligentnych wolnomyślnie usposobionych Polaków, a tem samem pozyskani dla reakcyi.

Za jednym zamachem tedy gotowość szlachty do darowania pańszczyzny, więc ofiar na rzecz dobra publicznego, przedewszystkiem na rzecz tej harmonii społecznej, którą biurokracya austriacka w roku 1846 do głębi zamąciła, przedstawiona została ludowi wiejskiemu, jako nowy poryw do buntu, a zniesienie pańszczyzny ogłoszono jako nagrodę za krwawą przeszłość (1846).

W ten sposób wielka reforma ekonomiczna i społeczna, która w innych prowincjach Austrii stanowiła niewątpliwie bodziec do wielkiego postępu i rozkwitu całego gospodarstwa, w Galicyi stała się przedewszystkiem źródłem wielkiego przesilenia ekonomicznego. To też nawet urzędowy apologeta wszystkich prac reakcyi z lat 1848 — 1858, Karol baron Czoernig, sławiąc wrzekomo pomnikowe zdobycze Austrii w tym okresie na wszystkich polach rozwoju kulturalnego, a zniesienie pańszczyzny przedewszystkiem jako punkt wyjścia dla niebywałego rozwoju ekonomicznego, musi co do Galicyi uznać wyjątek. „Gospodarstwo rolne, — (pisze ten autor jeszcze w roku 1858 w swem „Osterreichs Neugestattung 1848—1858), — nagle po-

zbawione swoich dotychczasowych sił pomocniczych, a wymagające obfitszych środków, wskutek spotęgowanej uprawy, po największej części dotkliwie uczuwa brak potrzebnych sił pieniężnych i roboczych... W Galicyi gnuśności włościanina, który woli czas bezczynnie spędzać, zamiast nająć się do roboty u dziedzica, przypisać to należy, że właściciel posiadłości ziemskiej nie może uprawiać rozległych przestrzeni ziemi, wskutek czego znaczna część gruntów, dobrych do uprawy, leży odlogiem. Oczekiwać należy, że postępująca naprzód oświata, jeżeli nie przynaglająca potrzeba, skłoni ludność wiejską do odpowiedniejszego wyzyskania swojej siły roboczej, że dalej powstające zakłady hipoteczne i kredytowe wesprą potrzebującego pomocy pieniężnej właściciela ziemskiego, przez co pobudzone zostaną do życia dotąd poniekąd jeszcze uspięone siły żywnego gruntu na pożytek jednostek i całego państwa“.

Tak pisał w Galicyi urzędowy historyk w dziesięć lat po zniesieniu pańszczyzny, kiedy o tej porze z innych prowincyi zapisać mógł nie takie nieokreślone, na puste frazesy zakrawające, nadzieje i horoskopy, lecz cały długi szereg rzeczywistych a wielkich wyników ekonomicznych. Cóż dopiero dzieć się musiało w Galicyi w samej chwili zniesienia pańszczyzny wśród oplakanych stosunków społecznych, o których, jako o dziele biurokracji ówczesnej, jako o pozycyi, fatalnie obciążającej rachunek zasług rządowych. Czoernig nie wspomina wcale dla tego, że ich nie zna, albo, co prawdopodobniejsza, jako niemal ekliwy w swoich uwielbieniach apologeta officialny, poznać nie chciał.

Kiedy szlachta z własnej inicjatywy i z gotowością do ofiar dla dobra publicznego przynaglala sprawę zniesienia pańszczyzny, a w roku 1848, już nie czekając wcale na decyzję rządu, wprost darowywała pańszczyznę, wiedziała dobrze o tem, że dzieło obywatelskiej ofiarności okupić wypadnie przesileniem już z tego powodu, że po katastrofach politycznych, świeżo przeżytych (1846), i po szeregu lat nieurodzaju i głodu, nie mogła rozporządzać gotówką, potrzebną do intensywnego gospodarstwa rolnego w chwili ubytku bezpłatnych sił roboczych. Mogła jednak szlachta liczyć na powolne przebycie tego przesilenia, a przede wszystkim na to, że lud wiejski, rozbrojony tą ofiarnością, wyemancypuje się przynajmniej o tyle z pod zawistnych dla niej wpływów biurokracji, iż dostarczy potrzebnego robotnika za zapłatą.

Tymczasem zawiodła zupełnie i ta skromna nadzieja, bo zniesienie pańszczyzny zostało przez organa rządowe jeszcze w ostatniej chwili rządów hr. Stadionia w ten sposób dokonane, i po wsiach przez komisarzy okręgowych ogłoszone, jak gdyby reforma tylko dzięki



rządowi i wbrew woli szlachty przyszła do skutku. Któż mógł wpłynąć na lud wiejski w sposób uśmierający i ponczający, jeżeli właśnie pierwsza dłoń w tej mierze powaga, władza obwodowa, wywołała obalamucenie ogólne po wsiach, utwierdzając włościan całym postępowaniem swoim w mniemaniu, że zniesienie pańszczyzny stanowi właściwie tylko ich ostateczne zwycięstwo nad odwiecznym wrogiem i gnębicielem?

Każdy zwycięzca myśli o takim wyzyskaniu swojego tryumfu, aby pokonany przeciwnik już nigdy więcej zagrażać mu nie mógł. Cóż dopiero mówić o zwycięzcy ciemnym, z natury swojej skłonniejszym do próżniactwa wśród głodu, niż do pracy w normalnych stosunkach, o zwycięzcy zdemoralizowanym wobec dworu półwiekową przewrotną taktyką niemieckiej biurokracyi, a w końcu w roku 1846 przez nią niebacznie zachęconym do anarchistycznego popołgowania dzikim instynktom swoim? W takim składzie rzeczy o wpływie drugiej powagi, duchowieństwa, także mowy nie było. W zachodniej Galicyi duchowieństwo zostało w roku 1846 przez organa rządu, kommissarzy obwodowych, przedstawione ludowi, jako sprzymierzeniec i poplecznik szlachty w buntowniczych knowaniach, a tem samem pośrednio także i we wrzekomem gnębieniu chłopu. We wschodniej Galicyi zaś, duchowieństwo grecko-katolickie w roku 1848 wpadło w odmet rozkładowy propagandy Rady ruskiej, która była najstarszą i najważniejszą alliantką biurokracyi w jej wszystkich wystąpieniach przeciw polskości, więc oczywiście przedewszystkiem szlachcie. Wszakżeż nawet w tak ciężkiej dla kraju chwili, jak w czasie przemarszu posiłkowej armii rossyjskiej do zrewoltowanych Węgier, Rada ruska oskarżała hr. Gołuchowskiego, który już wtedy objął ster rządów krajowych, i zaraz żywiłom rozstroju społecznego dał uczuć niezwykłą energię swoją, przed ministeryum, że, łamiąc notoryczny, a do zguby kraju wiodący, opór włościan do użyczenia dworom odpłatnej pomocy przy zbiorze siana, dopuszcza się bezprawia, dąży do wznowienia pańszczyzny. Ministeryum ówczesne tak było na tym punkcie drażliwe, albo raczej zazdrośne o zdobytą u ludu, kosztem szlachty, opinię oswobodziciela z jarzma pańszczyźnianego, więc dobroczyńcy włościan, że, chociaż w danej chwili zebranie potrzebnych dla wojsk zapasów siana w Galicyi stanowiło kwestyę pierwszorzędnego znaczenia, skargę tę wzięło sobie bardzo do serca i zażądało od hr. Gołuchowskiego usprawiedliwienia, sprostowania i t. p. Hr. Gołuchowski, wyczekawszy ukończenia zbiorów, a więc osiągnąwszy cel swoich energicznych zarządzeń, okólnikiem z 41 lipca 1849 roku pouczył starostów, że, mówiąc o przymusowem ściąganiu robotnika, nie mógł mieć na myśli wznowienia procedury pańszczyźniane, lecz inne

zarządzenia, że zatem władze winny uspokoić włościan pod tym względem. Zaraz po tem wyjaśnieniu następowało poufne polecenie, dające starostom w sposób przejrzysty do zrozumienia, że cel, wytknięty pierwotnemu zagrożeniu, pozostaje niewzruszony, że do osiągnięcia tego celu i nadal dążyć powinni, występując przede wszystkim z energicznymi środkami przeciw agitatorom, obalamującym ludność wiejską takimi wersjami, jak wznowienie pańszczyzny i t. p. Równocześnie odpowiedział hr. Gołuchowski ministerjum w tonie, pełnym śmiałego oburzenia, zarzucając, że w Wiedniu znajdują posłuch podobne brednie nawet wśród sytuacji tak wyjątkowej, jak obecna, kiedy z wczesnem ukończeniem zbiorów łączyły się interesy kraju i interesy państwa najwyższej wagi, mianowicie sprawa zaopatrzenia w żywność wojsk, na węgierski teatr wojny wysłanych.

Hr. Gołuchowski był w całym życiu swoim legalistą od stóp do głowy, chociaż przez to w wichrowatym roku 1848 niejednokrotnie wystawiał na szwank już nie tylko popularność, za którą nie gonił wcale, na którą nawet zanadto był obojętny, lecz w oczach swoich antagonistów politycznych narażał także opinię obywatela, wrażliwego na interesa kraju. W tym wypadku jednak legalista mógł śmiało nie oglądać się na skrupuły ministeryalne i *via facti* utrzymać władze na stanowisku poprzednio wskazanem, a przez ministerjum formalnie zganionem, gdyż skrupuły te nie były wpływem poczucia prawnego, lecz raczej wyrazem politycznych względów na utrzymanie uroku biurokracji u włościan, zniesieniem pańszczyzny zdobytego. Dorywcze zniesienie pańszczyzny bez wypłaty wynagrodzenia wkładało — jak to hr. Gołuchowski śmiało w swojej odezwie do ministra wypowiedział — na rząd przynajmniej obowiązek poskromienia samobójczego pod względem ekonomicznym oporu włościan co do dostarczania robotnika za zapłatą.

Że więc w tym wypadku hr. Gołuchowski nie chciał być legalistą, że kroczył dalej drogą raz obraną, to jest okólnikami i ustnemi upomnieniami zalecał władzom, aby paraliżowały podburzającą agitację grecko-katolickiego duchowieństwa i wpływały wszelkimi sposobami na dostarczenie robotników dla łańów dworskich, to jako działanie w swoim czasie zbawcze dla najważniejszych interesów ekonomicznych Galicyi musi mu być poczytane za zasługę, zarówno ze stanowiska krajowego i obywatelskiego, jak i ze względu na interes rządu, którego rachunek wobec Galicyi i tak już był nadmiernie przeciążony szeregiem biernych pozycyi.

Dzisiejsze pokolenie ziemian galicyjskich wie to dobrze z tradycyi, jak ciężkie przesilenie przeżywało gospodarstwo rolne w pierwszych latach po zniesieniu pańszczyzny. Trzeba jednak



wczytać się w akta urzędowe owej doby, żeby przyjąć do przekonania, że przesilenie to było-by stokroć cięższe, gdyby nie szczęśliwe zrządzenie, że u steru rządów krajowych stal hr. Gołuchowski, który swoją praktyką administracyjną umiał niejedno złe uchylić, lub zmniejszyć. Wyobraźmy sobie przebieg tego przesilenia pod rządami biurokraty *à la* baron Krieg, lub nawet *à la* Stadion z końcowego okresu jego rządów! Wszakże wtedy cały personel urzędniczy w kraju był jeszcze przejęty tradycjami roku 1846 i tą maksymą rządową, że dla sparaliżowania polskości należy godzić przede wszystkim, w jej rdzeń, w szlachtę, więc podkopać jej byt i dręczyć ją wszelkimi sposobami. Gdyby nie wodze, nałożone przez hr. Gołuchowskiego, cała sfera tych biurokratów starej daty była-by do spółki z krajowymi żywiołami rozstroju społecznego utwierdzała chłopą w samobójczem postanowieniu odjęcia dworom robotnika, chociażby one niebywałą zapłatę ofiarować miały.

Przy dorywczem zniesieniu pańszczyzny popełniono błąd, który, szczególnie w Galicyi, w skutkach swoich nie tylko zagrażał w wysokim stopniu żywotnym interesom gospodarstwa, lecz nadto paraliżował zamierzone w tej reformie uśmierzenie rozstroju społecznego powoli, przenosząc go na następne pokolenie w słynnej jeszcze z pierwszych sessyi sejmu galicyjskiego kwestyi „*lisy i pasowyska*“. Znosząc pańszczyznę, rząd, a później także i konstytucyjny sejm wiedeński z roku 1848 pozostawił służebności nietknięte, zastrzegając ich wykupno, względnie regulację, w przyszłej osobnej ustawie, bez oznaczenia terminu i bez wskazania ogólnych zasad, na których w danej chwili oparta będzie ta dalsza część reformy agrarnej. W takim składzie rzeczy lud wiejski po swojemu zaczął komentować ustawę o zniesieniu pańszczyzny. Skoro ją uchylono bezwarunkowo, a służebność pozostawiono nietkniętą, więc pozostał domysł naturalny, że wolno „na pańskim“ rządzić się swobodnie, a przede wszystkim wolno „z lasów pańskich“ brać, co się komu podoba. Zaczęły się formalne wędrowniki chłopów z siekierami do lasów dworskich, a gdzie właściciel ich próbował oprzeć się i wzbronić wstępu do lasu, lub przynajmniej żądać jakiegokolwiek opłaty za to, tam powstawało wzbурzenie, przypominające najgorsze czasy samowoli chłopskiej. Sypały się zaraz skargi do ministerium ze strony gmin wiejskich, w których agenci Rady ruskiej zawsze stali malkontentom do usług z piórem i słowem jadowitem. Do jednego tylko hr. Gołuchowskiego zwrócić się mogła wtedy szlachta, zagrożona wprost zniszczeniem lasów, z otuchą i wiarą, że potrafi on wziąć interes kraju w obronę przed rozagitowanym chłopstwem, a w danym razie i przed—ministrem, któremu też śmiało przypominał swój elaborat

z roku 1846, przedstawiający jednoczesność wykupna pańszczyzny i uregulowania służebności, jako główny postulat racjonalnego dokonania wielkiej reformy agrarnej i społecznej.

Skargi włościan na tych dziedziców, którzy wprost wzbraniali wstępu do lasów, uważając służebności za wygasłe, lub, co najmniej, zawieszane z chwilą zniesienia pańszczyzny, przesłano z Wiednia hr. Gołuchowskiemu z poleceniem, albo raczej, wobec panującej tam w pierwszej chwili porewolucyjnego okresu bezradności, z prośbą, aby rzeczą tą zajął się troskliwie i energicznie. Hr. Gołuchowski wystosował do władz podwładnych dwa okólniki, które miały zażegnać zaburzenia, po wsiach panujące, a zarazem zasłonić gospodarstwo leśne przed niechybnym upadkiem. W okólnikach tych zaznaczył najpierw, że w obecnym stanie rzeczy, dopóki sprawa służebności nie zostanie rozwiązana osobną ustawą, dwory nie mogą występować z bezwarunkową negacją wszelkich świadczeń, zwłaszcza co do służebności paszy i poboru drzewa opałowego. Zaraz jednak dodaje potem: „Co się tyczy poboru drzewa opałowego, kultura krajowa wymaga najtroskliwszej osłony lasów wobec nadużyć. O ile tedy pobór ten nie jest jeszcze unormowany prawomocnymi decyzjami, należy, stosownie do zachodzących okoliczności, w drodze kommissyjnej tymczasowo określić najniezbędniejszą potrzebę, z uwzględnieniem stanu lasów, i zarządzić wydawanie drzewa za asygnatami, przez dwory wystawiać się mającemi. Starostowie winni jednak korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, aby także byłych poddanych dobrze pouczyć o tem, że służebności muszą ustać, skoro tylko wydana zostanie ogólna ustawa o ich uregulowaniu, i że dalej prawo do bezpłatnej zbiórki w regule polega wyłącznie na tem, iż poddani, w dniu oznaczonym przez dwór na każdy tydzień, mogą się udawać do lasu dworskiego bez siekier i zbierać stamtąd złomy i gałęzie wyłącznie dla swego użytku i w miarę potrzeby. Należy przytem gminom, które faktycznie nie pozostają w długoletniem posiadaniu prawa do poboru drzewa opałowego, a roszczyć sobie pretensye w tej mierze, stanowiące dopiero przedmiot sporu, jak najdobitniej zalecić, aby przed zakończeniem sporu, pod rygorem surowych kar i odpowiedzialności, nie ważyły się napadać lasów dworskich“.

Już to rozporządzenie, nad którego przestrzeganiem hr. Gołuchowski czuwał ze szczególnym naciskiem, zasłoniło, można-by nawet powiedzieć, ocaliło kulturę leśną w Galicyi przed pustoszącym rozpadem włościan, świeżo zwolnionych z uciążliwych więzów pańszczyznianych niejako w formie nagrody za lojalne zachowanie się, albo raczej za wrogie postępowanie wobec dworów, więc już z tego powodu rozzuchwalonych, a zresztą nawet w dobrej do pewnego



stopnia wierze uważających niszczenie lasów dworskich za czyn, obójny dla rządu.

Co ważniejsza jednak, to fakt, że w rozporządzeniu tem niema wzmianki o wydawaniu budulcu, że więc drzewo budowlane było całkowicie zabezpieczone przed chciwością byłych poddanych.

Chcąc dziś ocenić doniosłość powyższych zarządzeń, trzeba myślą przenieść się w owe smutne dla Galicji czasy, i z jednej strony zmierzyć niebezpieczeństwo, jakie groziło ziemianom, a z drugiej strony oddać hołd odwadze obywatelskiej hr. Gołuchowskiego, który, nie odnosząc się do ministra, jakby to był uczynił Namiestnik biurokratycznego kroju, chociażby nawet zresztą przychylnie dla kraju usposobiony, lecz z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność w lot rozporządził tak, jak to za stosowne i dobre uznał. A trzeba dodać, że gdyby poprzednio odniósł się był do ministerjum, w najlepszym razie rok był-by upłynął na pisaninie, i do tego czasu ogromne szkody były-by już tylko faktem dokonanym, ani cofnąć, ani naprawić się nie dającym.

Musiał, oczywiście, hr. Gołuchowski podać swoje rozporządzenie do wiadomości ministerjum, ale nie obawiał się żadnego *désaveu*, gdyż w komunikacie swoim przedstawił motywa kierujące w tej mierze tak dobitnie, że rząd centralny nie mógł ich pominać i wydać odmiennych zarządzeń, jeżeli nie chciał narazić się na zarzut, że rozmija się z zasadniczymi obowiązkami państwa, mianowicie z obowiązkiem ochrony własności i kultury, jedynie dla tego, żeby brnąć dalej i jawnie w przewrotnej polityce, zmierzającej ku materialnej ruinie szlachty i podtrzymywaniu waśni społecznej po wsiach.

Skorzystał przytem hr. Gołuchowski ze sposobności, aby z naciskiem podnosić potrzebę rychłego załatwienia sprawy serwitutowej. „Widzę się spowodowanym — pisze do ministra — zwrócić uwagę Waszej Ekszelleney na nadzwyczaj nagłą potrzebę ostatecznego uregulowania stosunków serwitutowych, i zanieść prośbę o wydanie w tej mierze potrzebnych zarządzeń, gdyż długie zwlekanie wśród obecnych stosunków z jednej strony utrudniało-by właścicielom dóbr należyte odgraniczenie i zagospodarowanie lasów na szkodę kultury krajowej, a z drugiej strony narażało-by lojalne usposobienia włościan i po części także spokój kraju na niebezpieczne następstwa. Wrościaniowi bowiem, obecnie wolnemu od ciężarów, bardzo się podoba dalsze używanie służebności, których zniesienie, zapóźno dokonane, uczuł-by bardzo przykro, a wywołane tem niezadowolenie mogło-by być wyzyskane do sprowadzenia zaburzeń. Zatrzymanie służebności wywołuje dalej niezadowolenie i głośnie skargi właścicieli dóbr na rząd, z powodu

niesprawiedliwego postępowania. Rząd bowiem zniósł odrazu pańszczyznę i ciężary poddańcze, a wynagrodzenie za to nastąpi może dopiero po upływie lat, wskutek czego właściciele dóbr są upośledzeni wobec poddanych, utrzymanych w posiadaniu służebności. Polityka nakazuje usunąć przynajmniej ten powód do skargi, i traktować właściciele dóbr sprawiedliwie, jeżeli-by już nie można było zmienić ich w przyjaciół rządu. Rychłe uregulowanie służebności, mianowicie co do poboru drzewa, jest zresztą bardzo potrzebne ze względu na materialne interesa ludności włościańskiej. Jest to bowiem fakt niewątpliwy, że w tych powiatach kraju, gdzie mało jest lasów, gdzie zatem włościanin od dworu kupować musiał potrzebny zapas drzewa opałowego, lud wiejski jest pracowitszy, aniżeli w okolicach leśnych, gdzie prawo poboru drzewa wykonywane było zazwyczaj w szerokim rozmiarze, a natomiast pańszczyzna była nieznaczna, gdzie zatem nie zachodziła potrzeba zarabiania na materiał opałowy. Uregulowanie służebności sprowadzi niewątpliwie lepsze stosunki także i w tych ostatnich i liczniejszych okolicach, gdyż włościanin w ten sposób pozna i należycie oceni wartość swojego największego kapitału, to jest siły roboczej, z której tem wydatniej może korzystać, ile że obecnie, uwolniony od pańszczyzny, używać jej będzie wyłącznie na swój użytek“.

Nazwać to można istną ironią losu, że przeprowadzenie tak dorywczej, wprost partackiej reformy, jaką stanowiło zniesienie pańszczyzny przez rząd z odroczeniem regulacji służebności i wymiaru indemnizacji w nieokreśloną przyszłość, przypadło w udziale właśnie hr. Gołuchowskiemu, autorowi projektu z roku 1846, który umorzyć mógł odrazu całą sprawę pańszczyźnianą wraz ze służebnościami w sposób, zapewniający interesom społecznym kraju wszechstronne, a jego interesom gospodarczym równomierne zaspokojenie. Trzeba ubolewać nad losem hr. Gołuchowskiego, że się znalazł w takim położeniu, ale trzeba to zarazem zapisać w historii Galicji, jako szczęśliwe zrządzenie losu, że on właśnie, a nie kto inny, miał dzieło to przeprowadzić, i w przeprowadzeniu samem mógł nie jedno złe uchylić, lub zmniejszyć, a nie jedno dobre uwydatnić w praktycznym znaczeniu, lub zasłonić przed zawistną grą wypadków i stosunków. Kto-by się podjął napisania monografii o sprawie pańszczyźniano-serwitutowej w Galicji, znalazł-by nietylko w samym brzmieniu ustaw i rozporządzeń, dotyczących się tego przedmiotu, lecz także w szczegółach ich przeprowadzenia i wogóle postępowania organów wykonawczych, obfity materiał do ujemnej krytyki całego dzieła ze stanowiska prawnego, gospodarczego i społecznego wogóle, ale z pewnością nie znalazł-by się w tej krytyce ani jeden szczegół waż-



niejszy, który-by nie był przez hr. Gołuchowskiego, już w pierwszej chwili po wydaniu cesarskiego patentu, spostrzeżony, lub przewidziany i przedstawiony w relacjach do ministerjum, lub w bezpośrednich memoryałach do cesarza, z mniejszym, lub większym skutkiem, lecz zawsze nie bez korzyści tak dla bezpośrednio interesowanych, jak i dla kraju. Memoryały hr. Gołuchowskiego, wystosowane wprost do cesarza, Franciszka - Józefa, powstawały z okazji petycji, wnoszonych przez szlachtę do tronu tak wprost do Wiednia, jak i w czasie pierwszego pobytu monarchy w Galicyi (1851), bezpośrednio na Jego ręce.

Od znanego szlachcie galicyjskiej i cenionego przez nią projektu hr. Gołuchowskiego w sprawie pańszczyźnianej z roku 1846, najwięcej odbiegał patent cesarski z roku 1848 o zniesieniu pańszczyzny co do sprawy serwitutowej, która też najwięcej teraz niepokoiła ziemian. Podczas, gdy projekt hr. Gołuchowskiego nie tylko jasno określił wysokość i sposób spłaty indemnizacji, lecz nadto, ze zniesieniem ciężarów poddańczych łączył tak ściśle sprawę służebności, że miała ona stanowić razem z indemnizacją jedną i jednolicie zakrojoną reformę, patent ów pozostawił interesowanych w zupełnej niepewności co do wysokości i terminu spłaty indemnizacji, a wykupno, względnie uregulowanie służebności, pozostawił w zawieszeniu, zastrzegając tylko wydanie osobnego rozporządzenia w tej mierze, na co Galicya później czekać musiała pięć lat, biorąc za kres wyczekiwania samą datę owego rozporządzenia. Skoro powrót do pierwotnego projektu był absolutnie wyłączony, hr. Gołuchowski dążył przynajmniej do tego, aby zapowiedziane osobne rozporządzenie o służebnościach jak najrychlej zostało wydane, i aby w niem nie odżyła tendencya staro-austryackiego systemu biurokratycznego do zatrzymania „kości niezgody domowej“, która, jak to w kilkanaście lat później (1868) sam powiedział w sejmie, dając obraz postępu wykupna i regulacji służebności, „przez wiek cały niepokoiła i rozdrażniała umysły najliczniejszej warstwy społeczeństwa“. A obawa pod tym względem nie była płonna, gdyż w wydanych do roku 1850 kilku normach prawnych, dotyczących się indemnizacji i służebności, raz na pierwszym miejscu wymienione było „wykupno“, czyli zniesienie, a na drugim miejscu dopiero „regulacya“, za innym razem zaś regulacyę wysuwano na pierwszy plan, a wykupno wskazano jako dalszą ewentualność. W sferach ministeryalnych może miano na myśli tylko niemieckie kraje koronne, więc nie zdawano sobie sprawy ze stanu rzeczy, jakiby musiał być powstać w Galicyi w razie pozostawienia organom wykonawczym i interesantom swobody w wyborze jednej z tych dróg, a jeszcze więcej w takim razie, gdyby za główną zasadę przy-

jęto regulacyę, a dopiero następnie wykupno służebności. Sprawa serwitutowa była-by w takim razie pozostała zawsze „kością niezgody domowej“, gdyż, pominiawszy nawet trudności nadzwyczajne, połączone z regulacyą wobec nieufności i nienasyconej na tym punkcie chciwości włościanina ze szkoły dawnego systemu rządowego, stan rzeczy pod względem społecznym i ekonomicznym pozostał-by był po regulacyi niemal takim, jakim był przedtem. Wszędzie bowiem dwór miał-by obok siebie gminę jako zawistnego sąsiada z niezaspokojonemi uroszczeniami, z pretensyami, przy regulacyi wrzekomo niesprawiedliwie załatwionemi, z chęcią i gotowoscą do samowolnego poprawienia tej regulacyi przez dalsze wdzieranie się w lasy i na pastwiska dworskie i t. d. Wszakżeż nawet mimo przyjęcia wykupna za zasadę, „lisy i pasowyska“ były potem tak długo palącą raną na organizmie społecznym Galicyi, a w pierwszych wyborach do ciał reprezentacyjnych pod tem hasłem działały z powodzeniem po wsiach wszystkie żywioły wywrotowe.

Czy głos hr. Gołuchowskiego, dobitnie podniesiony w tej sprawie w dwóch przedstawieniach, wprost do cesarza wystosowanych (25 grudnia 1851 i 10 stycznia 1852), w sposób rozstrzygający zaważył na szali, czy tylko łącznie z innemi głosami, może z innych krajów w tej sprawie podniesionemi, na to pytanie chyba w archiwach ministeryalnych znaleźć-by można pewną odpowiedź. Faktem jest jednak, że pod tym względem rozporządzenie ministeryalne z 5 lipca 1853 roku, normujące całą akcyę serwitutową, było już jasno sformułowane w duchu przedstawień hr. Gołuchowskiego.

Nie tak pomyślnie poszło z dalszemi przedstawieniami szlachty, które hr. Gołuchowski również gorąco poparł i szeroko zakrojonym wywodem historyczno-prawnym uzasadnił. Tyczyło się to mianowicie uwzględnienia odrębnej natury prawnej służebności w Galicyi. Znaczna część tych uprawnień, które w innych krajach koronnych miały charakter służebności, stanowiła w Galicyi co do prawnej genezy swojej tylko ustępstwo, przyznane przez dwory z łaski, lub dobrej woli na prośby poddanych. Z posiadania tego rodzaju (praecario modo) nie urosły prawa, które-by dawały tytuł do wykupna. Zdanie to, oparte, jak powiedzieliśmy, na szeroko zakrojonym, staropolskie urządzenie prawne w tej mierze szczegółowo objaśniającym, wywodzie, poparł Gołuchowski w końcu tym najdobitniejszym argumentem, że, jak stwierdzić się zdaje z aktów urzędowych, rząd austriacki, po zajęciu w Galicyi, sam w ten sposób traktował służebności, które zastał w dobrach królewskich. Sprowadzając wyniki, wysnuwające się z tego poglądu — w danych stosunkach z konieczności — do miary minimalnej, hr. Gołuchowski ograniczył się do żądania, aby normy pra-



wne o wykupnie i regulacji służebności wydane zostały przed rozpoczęciem akcji indemnizacyjnej. W ten sposób chciał hr. Gołuchowski zapobiedz, aby ta druga nie przesądzała o pierwszej, czego szlachita słusznie obawiać się mogła ze względu na wszczepioną w ciągu kilkunastu lat w biurokracyę galicyjską dążność do odgrywania opiekuńczej roli wobec poddanych, a tem samem do tłómaczenia wszelkich wątpliwości o prawnych stosunkach posiadania pomiędzy dworem a gminą na korzyść drugiej, chociażby nawet z oczywistą krzywdą dla pierwszej strony.

Nie utrzymał się hr. Gołuchowski z tem żądaniem w Wiedniu, bo tam wpływ jego, jakkolwiek od roku 1849 już znacznie zwiększony, nie dorównywał jeszcze potężnym wpływom ministra Bacha, który w tym zakresie spraw ściśle przestrzegał tradycyi czasów kriegerskich.

Kiedy hr. Gołuchowski w ten sposób pragnął sprawę serwitutową, jeszcze niezalatwioną, sprowadzić na tory równoległe z ekonomicznymi i społecznymi interesami Galicyi. w sprawie indemnizacyjnej, co do sposobu przeprowadzenia, zapadła już była stosowna decyzja dla poszczególnych krajów koronnych w szeregu rozporządzeń ministeryalnych z roku 1849—1850. Rozporządzenie, wydane w roku 1850 dla Galicyi, wywołało szereg skarg słusznych ze strony szlachty. Także i te skargi szlachty omówił hr. Gołuchowski w powyżej przytoczonych pismach swoich do cesarza z tego samego stanowiska i w tym samym duchu, jak sprawę serwitutową, a nadto z wyrazem żalu, że nie został powołany do obrad komitetu ministeryalnego, w którym projekt rozporządzenia, dla Galicyi wydanego, był szczegółowo rozbierany. Ten wyraz żalu przybiera chwilowo ton skargi na Bacha, o ile tylko takie podniesienie tonu wobec pierwszego ministra było dopuszczalnym w „najuniżeńszem przedstawieniu najwierniejszego ck. Namiestnika do Jego ck. Apostolskiej Mości“.

Przytaczamy ten ustęp pisma hr. Gołuchowskiego w dosłownym przekładzie, bo stanowi on niejako preludjum walki, która odtąd już otwarcie rozgrywać się zaczyna przed cesarzem Franciszkiem-Józefem, pomiędzy obu mężami stanu, których nazwiska, dziś już historyczne, stanowią marki dwóch ważnych okresów: Austrii centralistyczno-absolutnej (Bach) i Austrii konstytucyjnej (Gołuchowski): „Byłem wprawdzie,—pisze hr. Gołuchowski,—podczas zeszłorocznej, dłuższej obecności mojej w Wiedniu, wezwany przez ministra spraw wewnętrznych do udziału w obradach komitetu, pod jego przewodnictwem odbytych. Jednakże odbywało się już wtedy tylko drugie czytanie projektu ministeryalnego, a nie chodziło o obrady nad zasada-

mi, które już zamknięto. Oznajmiono mi, że pod tym względem sprawa jest już załatwiona. Odjęto mi tedy sposobność do objawienia zdania o tych zasadach“.

Petycja szlachty, wypowiadająca obawy, do jakich powód dają liczne laki i wątpliwości w postanowieniach rozporządzenia ministerjalnego, nastroczyła hr. Goluchowskiemu dobrą sposobność do wypowiedzenia tego zdania, albo raczej do stanowczej krytyki rozporządzenia. Krytyka ta ujęta została w taką formę, że zarazem zapowiadała niejako wypełnienie luk i rozjaśnienie wątpliwości *via facti*, to jest przy przeprowadzeniu sprawy indemnizacyjnej, o ile to tylko w danych ramach ustawowych możliwem się okaże. Głównym punktem krytyki tej jest brak bliższego określenia kwestyi, jaki termin normalny ma być wzięty za dyrektywę przy odróżnianiu gruntów dominikalnych od rustykalnych. Wprawdzie, ściśle rzecz biorąc, pierwszych gruntów dwór, bez zatwierdzenia władzy, nie mógł wcielać do drugiej kategorii, ale już przy regulacji pańszczyzny, w roku 1847, organa obwodowe, działające w tradycyjnym duchu tłumaczenia wszelkich wątpliwości na niekorzyść dworów, uznawały dowolnie grunta dominikalne, oddane włościanom przez dwór do czasowego tylko użytkowania, za rustykalne, chociażby nie było na to aktu z zatwierdzeniem władzy. Rozporządzenia indemnizacyjne nie tylko nie określały terminu, od którego grunta, w posiadaniu poddanych zostające, uważane być mają za rustykalne, lecz nadto dopuszczały późniejsze sprostowania w tej mierze.

Szlachta słusznie obawiała się, że, przy dawnej dowolności organów wykonawczych, może wskutek tego być wyzuta z prawa własności co do mnóstwa gruntów, które z dominikalnego obszaru pozostawiła poddanym do uprawy z łaski tylko, tak samo, jak niegdyś w ten sam sposób przyznała ustępstwa, zakwalifikowane teraz jako *slużebność*. Taka pod tym względem zapanowała obawa, że dwory wahały się wchodzić w tym zakresie w jakikolwiek stosunek z poddanymi, iż wołały grunta dominikalne, nie wzięte jeszcze pod uprawę, pozostawić odłogiem, aby tylko nie stworzyć sytuacji, wśród której dowolność organów mogła negocjować prawo własności. Hr. Goluchowski starał się uśmierzyć te obawy, zarządzając, aby operaty indemnizacyjne przygotowano w ten sposób, iż rozdział gruntów na obie kategorie, dominikalne i rustykalne, ma być dokonany według klasyfikacji, przyjętej za podstawę dla prowizoryum podatkowego z roku 1850. Wprawdzie i ta klasyfikacja nie była ścisłą, jak wogóle nieścisłymi były wszelkie ówczesne wykazy gruntowe, ale w ten spo-



sób dwory były przynajmniej zabezpieczone przed dowolnością organów wykonawczych w prostowaniu wykazów. Co przed rokiem 1820 z obszaru dominikalnego zostało odstąpione, to już miało-by przepaść na zawsze, a co później dostało się w posiadanie poddanych bez zatwierdzenia władzy, to było-by odzyskane. Żeby to postępowanie należycie uzasadnić i zapobiedz dalszym rozporządzeniom wiedeńskim w kierunku dawnej dowolności obwodowej przy protegowaniu poddanych, dodał hr. Gołuchowski w powyższem przedstawieniu swojem do cesarza następującą uwagę, która, ze względu na późniejsze koleje sprawy indemnizacyjnej i funduszków indemnizacyjnych, mianowicie na późniejszą pretensję skarbu państwa do Galicji, umorzoną dopiero niedawno dzięki forytowanej przez cesarza ugodzie między rządem centralnym a sejmem galicyjskim, świadczy o zdumiewającej przezorności autora: „Z temi uzasadnionemi, mojem zdaniem, obawami szlachty łączą się jeszcze względy finansowe i polityczne, które przemawiają za modyfikacją wydanych postanowień. Między indemnizacją w Galicji i w innych krajach koronnych monarchii zachodzi ta doniosła różnica, że podczas, gdy w tych krajach poddani częściowo z własnych środków uiszczyć mają wynagrodzenie za zniesione ciężary poddańcze, w Galicji wynagrodzenie to państwo w całości przyjęło na siebie <sup>1)</sup>. Rozumie się, że poddani, osiedleni na gruntach dominikalnych, dążyli-by do tego, aby, według rozporządzenia ministerjalnego, uznani zostali za poddanych z następstwami posiadania gruntu rustykakalnego. Możliwość bowiem uzyskania zupełnej własności bez uiszczenia za to wynagrodzenia jest dla poddanych nadto pojętną, żeby, wobec niejasności przepisów o gruntach, nie mieli skorzystać z nadarzającej się do tego sposobności. Dla Galicji jest to rzeczą szczególnie wielkiej wagi, aby poddanym dano należycie poznać całą doniosłość, a tem samem i całą wartość własności, gdyż przez to przywiedzie się ich do uznania, że obca własność tyleż jest warta, że dalej własność może być tylko z trudem i móżolem zdobyta i musi być poszanowana. Należy także przedewszystkiem zawarować wobec poddanych nietykalność umowy, tej głównej podstawy

---

<sup>1)</sup> Stało się to w roku 1848 dlatego, ażeby wśród sytuacji ówczesnej zabezpieczyć sobie nadal bezwzględną pomoc chłopów na wypadek wybuchu rewolucyjnego. Późniejsze rządy centralistyczne usiłowały hojny podarunek rządu zwalić na barki Galicji, i stąd powstała powyższa olbrzymia pretensja do galicyjskiego funduszu krajowego. (Przyp. autora).

społecznego pożycia, gdyż każde wstrząśnienie pod tym względem sprowadziło-by najgubniejsze następstwa dla moralności“.

W piśmie, wprost do cesarza wystosowanem, nie można było w sposób dosadniejszy wypowiedzieć ostrej krytyki dawnego postępowania organów obwodowych w sprawach pańszczyźnianych pod formą lojalnej dyrektywy pro futuro.

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.



---

# PRZEKONANA.

---

## P o w i e ś ć.

---

Moja najdroższa!

Listy twoje leżą na mem biurku, jako wyrzut. Chciałam je schować do szufladki, żeby mi oczu nie darły, ale reszotka sumienia oparła się chytremu zamiarowi. „Schować i zapomnieć, że ona czeka, ślicznie niema co mówić“! Po raz nie wiem który gotowa jestem przyznać, że takiej egoistki, jak ja, ze świecą szukać. Piszę do Ciebie najczęściej wtedy, gdy już nie mogę pomieścić w sobie wrażeń; ale kiedy mi się nie chce, kiedy mię lenistwo opadnie, lub gdy pływam w rozkoszy, jak grzyb, duszony w śmietanie, to wtedy żadnej nie zadaję sobie fitygi, i najspokojniej ani ruszę palcem. Ślicznie! Nie, „najspokojniej“ — to już niesprawiedliwie. Wyrzucam sobie, wymyślam sobie, ale quand même faktem jest, iż drugi tydzień czekasz na wiadomość o mnie, i to po tem, kiedy ci tyle sensacyjnych rzeczy popisałam.

---

1) Patrz zeszyt sierpniowy.

Car pour être sensationnelles—elles le sont... Une vraie bombe, n'est - ce pas?

I doprawdy, aż się dziwię, że ty to tak spokojnie przyjąłś. Spodziewałaś się tego. powiadasz. Winszuję ci przenikliwości; ale to znaczy, że ze mnie półgłówkę, albo całkiem już bez głowy istota, bo ja się wcale nie spodziewałam. Co prawda, to ja rzeczywiście mam takie kombinacje, o pół mili od dnia bieżącego.

Mniejsza o to.

Więc robi ci to przyjemność? Moja poczciwa. Ty chyba się więcej cieszysz ode mnie.

Kiedy ślub?

Mój Boże, czy wiesz, wcale o tem mowy nie było. Doprawdy, ja nie wiem, czy my się mamy pobrać. Na to jeszcze czas będzie.

Ślub — co za idyotyzm.

Ja wiem, wiem. Społeczeństwo, ludzie tego nie tolerują, trzeba nałożyć na siebie jarzmo, bo inaczej świat życie zatruje, prosta formalność, której trzeba się poddać etc., etc.

Tak, tak.

Ale tymczasem świat jeszcze nic nam nie truje, bośmy jeszcze niczem przeciwko jego moralności nie wykroczyli — więc niema gwałtu.

Chciała-byś mnie widzieć już ustaloną, zrównoważoną, mającą kąt swój — powiedz odrazu: flanquée d'un mari... Moja złota, nie gniewaj się. Że też najrozumniejsza z kobiet wyzwolić się z pod jarzma przesądów nie może! Ty naprzykład, która powiadasz, że na złość pospolitej, zdawkowej zasadzie, iż panna za mąż iść powinna koniecznie, gotowa jesteś nie iść za mąż, aby dowieść, że kobieta istnieć i cel w życiu mieć może i powinna — pomimo i bez męża nawet—ty, najłagodniejsza z kobiet, mnie jednak gwałtem chcesz wydać za mąż, i niech tylko kto powie mi: Kocham! już go traktujesz, jako mego przyszłego męża.

A, bo ty nie stworzona jesteś, aby brawować opinię. Ciebie cień brudu pozbawia przytomności, a przecież żyć bez miłości nie potrafisz.

Miłość—czy to brud?

Oto właśnie czuję się zdolną do wielkiej śmiałości, do bezczelności względem świata, jeżeliby chodziło o miłość. Uczucie nie płami.

Zamęczyła-byś się...



Tak sądzisz? Zdaje mi się, że gdybym kochała, ludzie i ich ukłócia nie dotykały-by mnie tyle nawet, co pyłek, który z powietrza osiada, niedostrzeżony, nieważki.

Ale nie bój się, złota. Jestem śmielsza w teorii, niż w czynie. I od namiętności powstrzymało-by mnie nie to, co ludzie-by powiedzieli, ale to, co człowiek, który-by mnie wziął, czuł-by i myślał o mnie.

Uczucie bez sankcyi, bez cząstki świętości, która obecna jest w każdym akcie—bez ideału słowem, myślę, że spala się prędko.

Bała-byłbym się, żeby mną nie pogardzał.

Co ja mam ci mówić więcej? Nie będę ci zdawała relacyi z dnia codziennego, bo były-by to nie listy, ale księgi miłości. Śmiała-byś się, ty poważna, ty spokojna, z naszego dzieciństwa i z naszych drobnych, drobnychszczęść i rozkoszy. Takie rzeczy w opisie będą śmieszne, lilipucie, podczas kiedy w życiu są one pełne uroku.

Pozwalam się kochać i pozwalam zawojowywać sobie duszę. Powiedziałam sobie: spróbujmy zamknąć oczy i umysł, i dać się unosić tylko wrażeniom i sercu. Serce istnieje—zobaczmy, czy może i u mnie, wbrew mym przewidywaniom—żyje i funkcyonuje. Nie rozumować.

Et voilà!

Nie rozumiuję, i jest mi rozkosznie.

Nie mam lat dwudziestu sześciu, ale szesnaście. Zawód w miłości? Qu'est-ce que c'est que ça? Ja tego nie rozumiem, nie zdarzało mi się to nigdy w życiu. Mężczyźni zmienni są? Kto to mówił? Ja o tem nic nie wiem. Miłość trwa ce que durent les roses., A toż skąd ta wiadomość? Nic nie wiem!

Et voilà!

Co ja ci mam mówić, ja, która dobrowolnie oszukuję się, aby móż snić rozkosznie. Zresztą, jestem wierną swej maksymie: chwila przyjemna? dajcie jej trwać, sama się skończy, jeżeli ma się skończyć.

Nie chcę nic wiedzieć, nic myśleć, nic rozważać.

Dobrze mi jest.

Czy ja go kocham?

Peu m'importe: dobrze mi z nim.

Czy on mnie kocha?

Cóż mnie to obchodzi, byle-by nie odchodził.

I nie pytajcie mnie o nie. Nie psujecie mi szczęścia.

Bo choćby to było złudzenie, choćby to był fałsz — to szczęście.

Czy to potrwa?

Ach! potrwa... potrwa... ale tymczasem trwa, jest, i jest pewne jak to, że słońce świeci.

Dość mi tego.

Niezdolna jestem zająć się teraz nawet tobą. A w liście twoim jest jakaś dziwna miękkość, jakiś subtelny odcień, który czuję, i który, jestem pewną, sprawia to, że odczuwasz mnie więcej, niż kiedykolwiek, i jesteś wzruszoną mojem szczęściem więcej, niż byłaś kiedykolwiek.

Co?..

Poczekaj, niech-no ja tylko znowu stanę się zdolną wyjrzeć dalej trochę, niż koniec mego nosa.

Tak czuję, że jestem nie dobra dla ciebie, że rzucam ci się na szyję i ściskam mocno, mocno, na przeprosiny.

Czy ja mogę teraz powiedzieć:

Twoja?

Powinnam mówić teraz:

Wasza

Elka.

---

Ej! Ej! Już ty mi poważnym tonem moralów nie praw, Janiu srebrzysta, o moich przypuszczeniach co do affektów pana Karskiego. Nie mam racji dopatrywać się w listach twoich jakichś odcieni, to-



mów, miękkości i t. p., i t. p. Naturalnie! Śmieje się ze mnie. „Nie brak zaufania i nie skrytość moja są tego powodem, iż ci nic w tej materii do doniesienia nie mam, ale po prostu to, że nic niema“. Tak, naturalnie! Ale powiedz mi, najdroższa, dlaczego tak ci zaraz przyszło do głowy, że ja, dopatrując się „miękkości“ w twoich listach, jak raz właśnie pana Karskiego miałam na myśli?

Bo wiesz, ja, doprawdy, nawet zapomniałam, że pan Karski egzystuje. Słowo daję!

I taka jestem głupia: wiesz, o czym w tej chwili myślę?

O mądrości, ukrytej w przysłowiaach.

Naprzykład wczoraj rozprawialiśmy wiele o tem, jak to: „uderz w stół, a nożyce brzękną“. Albo: „na złodzieju czapka gore“. Już to może i nie wykwintnie, ale, dalibóg, mądrze.

Ty nie gniewaj się, że tak ni stąd, ni zowąd, zamiast tobą się zajmować, zajmuję się przysłowiami.

Zresztą, natychmiast się poprawię. Oto, wracając do pana Karskiego—répondez, chère dame, à cet interrogatoire:

1) Czy jakeście się poznali w Zermatt, on miał projekt spędzenia lata w Champex?

2) Czy rozmawiacie tylko o medycynie, szpitalach, doświadczeniach i o rozmaitych *scie'nc'e'ach* wyłącznie?

3) Czy on ci nigdy w oczy nie patrzy, nie mówił ci nigdy, jak masz ładną, zgrabną nóżkę? Czy nie widzi, kiedy masz nową suknię, i czy ci w niej do twarzy? Czy nie dowodzi, jak o całe niebo wyższą jesteś od wszystkich kobiet na świecie? Czy nie odkrywa w tobie samej rozmaitych zalet, talentów, nadzwyczajności, o których istnieniu nie miałaś pojęcia?

4) Enfin — o! wybac, ale to niezbędne: czy nie całuje cię nigdy w rączkę?

Nie mam czasu pisać więcej, bo strach! jak jestem zajęta.

Elka.

Moja doświadczona, a wielce  
sroga siostrzo!

Jestem przygnębiona twoją przenikliwością, i z pokorą biję się w piersi. Tak, słusznie zgadujesz, że te pytania miały zdradziecką intencję. Mea culpa! Tak, tobie oczy otwierać, ciebie uczyć, ciebie, taką doświadczoną niewiastę—masz rację: to dziki i śmieszny pomysł. Nie obrażam się nawet, żeś się śmiała z mego listu.

I wybaczam Ci nawet, że nie chcesz mi odpowiadać na moją dziecinną listę zapytań, bo jestem z listu twego strasznie zadowolona.

Nie gniewaj się!

Doprawdy, żart na stronę: wszystko, co się ciebie tyczy, tak miano mi obchodzi, iż za cenę niedelikatności z mojej strony chciałam trochę wyciągnąć z ciebie wiadomości o panu Karskim, który mi intriguje swoją niezmienną obecnością przy tobie.

I wyznam ci, że dopiero wtedy właściwie była-bym zdziwioną i oburzoną, gdyby on, siedząc przy tobie tygodnie, w tobie się nie zakochał. Ty zaś nie była-byś sobą, gdybyś temu nie przeczyła. Więc przeczysz energicznie.

All right.

Wszystko w porządku.

Nie będę Cię tem już więcej nudzić, niech się wypełniają wyroki.

Piszesz mi, że wkrótce opuścisz Champex. Ależ chyba nie wracasz już do Paryża: w sierpniu tam najnieznośniejsze upały i najnie-możliwsze powietrze.

Ale... ale... kiedyż pan Karski wraca do Lozanny, gdzie, jak mi pisałaś, ma posadę asystenta przy klinice oftalmologicznej profesora Dufoura? Zdaje mi się, że pisałaś mi również, iż pan Karski w jesieni wraca już do kraju i ma założyć w Warszawie własną lecznicę? Wiesz, co? Ty masz rację: on się w tobie nie kocha, ale po prostu stara się pozyskać dla swej lecznicy doktora do pomocy. Prawda?



Ach! ty się specjalizujesz w chorobach nerwowych, a on jest okulistą... Właśnie, właśnie — to nic nie przeszkadza.

Dość na dziś, jestem strasznie zajęta.

H.

P. S. Ukłony ode mnie Jego Miłości panu Emilowi.  
(Ładne ma imię).

---

„Moja najdroższa.

Czem jestem zajęta?

Robię portret.

Rien que ça.

Pierwszy portret w życiu.

Nic gorszego w życiu swoim nie popełniłam.

P. Stanisław zachwyca się.

On się na tem zna tyle, co...

Chciałam powiedzieć brzydkie słowo. To nie uchodzi.

Jemu mówię:

— Proszę pana, niech się pan z łaski swojej nie odzywa o mojej robocie. Naprzód nie zna się pan absolutnie na malarstwie, tak, jak ja np. nie znam się ani mrumru na minerałach. Po drugie, co bodaj ważniejsze, bo nie do wykształcenia — patrzy pan nie na płótno, ale na moją rękę... Żeby to jeszcze malowała jaka stara ciocia pana, to by pan może się i zdobył na jaki taki sąd — ale że to ja...

Przytem on się niemożliwie kręci przy pozowaniu. Co minuta wypada mi z pozy i zrozumieć nie może, że nie wolno mieć pałających oczu, wtedy kiedy się siedzi w spokojnej i zamysłonej pozie.

Muszę mu tylko oddać sprawiedliwość, że cierpliwym jest, jak marzenie, to jest mogę poprawiać go, gniewać się, wymyślać, tupać nogą, rzucać pendzle — wszystko znosi.

Ale zrozumieć, że portret mi nie idzie, i że to nie mój rodzaj, nie!

I czego się irytuję!

Bywają chwile, kiedy przez jedno mgnienie oka myślę: czyżby więcej było we mnie artystki, niż kobiety? Nie, po tysiąc razy nie!

Jestem szczęśliwa.

Wczoraj deszcz był, jak na sierpień, trochę oryginalny, bo chłodny, siekący, z akompaniamentem wiatorku i szaremi chmurami na niebie. Siedzieliśmy w salonie wszyscy razem, ale jakoś wkrótce stadko nasze się rozpełzło: wuj z chłopcami zasiedli do wina, ciocia poszła doglądać kwaszenia ogórków, Jadzia z p. Ludwikiem została w salonie—oboje odcyfrowywali jakąś partycję wagnerowską—więc skinęłam na pana Stanisława i wymknęliśmy się do mego pokoju.

Czy nie wspominałam ci nigdy, że pokój mój jest niezmiernie przytulny, i na tutejsze warunki i gusta oryginalny, bo niby pracownia malarska urządzone. Sama wszystko poustawiałam: jest niezłe, brakuje mi tylko moich paryskich rzeźb i bibelotów. Nawet kominek jest.

Powiedziałam Stachowi, aby zaczekał, i poleciałam do kuchni; sprowadziłam Kaśkę z całym stosem drzewa w ramionach i wkrótce wspaniały ogień buchnął na kominku.

Stach zachwycony wołał:

— Świetny pomysł. Co za rozkosz. Żeby tylko kto nie wlaź do nas...

Zgromiłam go surowo, więc zrobił pokorną minę i na przeprosiny uwięził obie moje ręce w swych dłoniach.

Je ne manque pas des expedients, tu sais...

— Suknia się zapaliła!

— Co, gdzie!

Ani myślała się zapalać naturalnie, ale ja, uwolniona z niebezpiecznych więzów, ani dbałam, że robi zawiedzioną minę.

Przysunęliśmy fotele do kominka i dawaj zapatrywać się w ogień.

Palący się ogień to żywa istota.

Mieni się, formuje w kształty, zapada się, syczy, gawędzi...



P. Stach—jak jestem w dobrym humorze, to go tak nazywam— przysunął swój fotel jak można najbliżej do mojego, i w wielkiej tajemnicy mówił mi:

— Jesień jest, chłodno, wiatr na dworze, aż dusza kostnieje, a my tak sobie, u siebie w domu swoim, siedzieć będziemy przy ogniu i kpić z zawieruchy. Kiedy to będzie?

Wzruszyła ramionami z uśmiechem.

— Teraz, prędko, za trzy, za dwa miesiące... tej jesieni... prawda?

— Nie wiem.

— To trzeba wiedzieć. Tej jesieni... tej jesieni—dobrze? wtedy malutka pani moja nie będzie... o! tak odsuwać się ode mnie.

— Będę.

— Ot, nieprawda. Czy ja wtedy pozwolę.

— Oho! pozwolę! Mnie trzeba słuchać.

— Ja będę prosił, błagał i pani moja będzie grzeczna, posłuszna.

— Nie.

— Nie kocha mnie?

Milczę, aby milczeć.

On odsuwa się trochę ode mnie.

— Dlaczego pani nigdy nie chcesz powiedzieć, czy mniekochasz? Mnie tak chwilami dzikie myśli przychodzą do głowy; a może ty mnie niekochasz!

— Nie Kocham.

— To nieprawda!

— Więc po co mam mówić, jeżeli pan lepiej wie ode mnie.

— Pan! Brr... jak ja tego słowa nie lubię. Zdaje mi się wtedy, że ktoś mnie brutalnie chwyta za ramię i mówi: idź precz! to już nie twoje miejsce. Nie każesz mi nigdy iść precz?

— Nie wiem.

— Czy ja mam wszystko za ciebie wiedzieć.

— I owszem.

— To tak? A to świetnie. Więc ja sobie będę rządził.

— Dopóki ja nie zaprotestuję.

— O! ja wiem, że moja pani kapryśna, ale ja nie zasłużę na protest.

— Taki pan będzie słodki?

— Jak miód! Zobaczysz pani. Więc w jesieni?

— Mój Boże, że też panu tak pilno nałożyć na siebie jarzmo małżeńskie.

— Ty zawsze tak mówisz o małżeństwie, ale na seryo tego nie myślisz.

— Tak myślę na seryo.

— Nie. Ja panią znam dobrze .. nie uśmiechaj się drwiąco... i wiem, co się kryje pod lekkomyślnymi i często gorzko sceptycznymi twymi słowami. Ale wyznam szczerze, że są rzeczy, które wołał-bym, abyś traktowała z większym zaufaniem.

— Np. małżeństwo?

— Mnie się zdaje, że małżeństwo jest piękną i poważną instytucją społeczną, która nie jest ani jarzmem, ani niewolą, jeżeli jest dobrowolnym i uczciwym związkiem dwojga kochających się osób.

— W teorii.

— I w praktyce, jeżeli tych dwoje kocha się naprawdę.

— A jak przestaną się kochać?

— Dlaczego mieli-by przestać... Zresztą zostaje zawsze przywiązanie, i szacunek, i przyjaźń, jeżeli tych dwoje jest parą dobraną. A potem są i obowiązki, są wspólne cele, jest droga już w części przebyta razem, kawał życia, który łączy nierozzerwalnie dwie dusze, jeżeli to są dusze szlachetne i czujące...

— Jeżeli, właśnie! Jeżeli to są dusze czujące, szlachetne i dobrane, przedewszystkiem dobrane.

— Widzi pani moja: zgadzamy się z sobą.

— Na tym punkcie jak być powinno. A tak, jak być powinno, bywa tak rzadko w życiu.

— Trzeba być trochę optymistą, aby być silnym i pewnym.

— Aby być silnym i pewnym trzeba być szczęśliwym.

— Ten frazes tak cię tłumaczy... Malutka moja, czy ja potrafisz wrócić ci spokój? czy zmęczona twoja dusza odpocznie trochę przy mnie? Czy to nie jest zarozumiałość z mojej strony, że chcę, abyś się na mnie oparła? Takbym chciał mieć już prędzej prawo nazwać cię moją. O, widzisz: miłość nie daje mi praw społecznych do ciebie, zaś małżeństwo pozwoli mi chronić cię, strzedz i opiekować się tobą jawnie, przed światem całym... nie protestuj: ja wiem, że jesteś niezależną i pozostaniesz swobodną, ale też moja opieka ciężyć ci ani ubliżać nie będzie, i pomyśl: o ile lżej jest żyć, nie będąc samotną. Świat ma swoje wymagania, które należy uszanować.

— Bo inaczej mści się złośliwie.

— Kto wie, czy tak nie trzeba? Ja sam jestem rzecznikiem swobody, ale czasem jest dobrze, jeżeli ta swoboda ujęta jest w pewne formy.

— Cała kwestya, czy formy dobre...



— Póki niema lepszych... Zresztą teraz małżeństwo przedstawia mi się jako forma najlepsza z najlepszych, ponieważ ma dać mi ciebie.

— Daje mnie panu nie małżeństwo, lecz miłość.

— Nie będę się sprzeczał: jeszcze wolę, że to miłość. Byle-byś mnie zawsze kochała.

— Voilà. Bo jak przestanę...

— To będzie nieszczęście.

— A jeżeli pokocham innego?

— To będzie jeszcze większe nieszczęście.

— Czy pan sądzi, że pana wtedy zdradzę?

— Nie. Nie wyobrażam sobie, abys mogła zdradzić.

— A co-bym mogła wtedy zrobić?

— Nie wiem.

— A co-by było, żeby pan mię przestał kochać?

— Ja? Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł cię przestać kochać.

— Ale jeżeli?

On zaśmiał się, jakby pytała się go o coś nieprawdopodobnego, a potem wziął moje ręce w swoje dłonie i przytuliwszy do nich usta, powiedział:

— Nie będziemy o tem mówili, dobrze, malutka? Nie wiemy oboje, co być może, co się stanie, ale ja nawet zastanawiać się nad tem nie jestem zdolny.

Jak ty ciągle rozumujesz, zamiast czuć.

On ma rację.

— Biedna pani moja maleńka!

On ma rację.

On ciągle ma rację i czuję się w porównaniu z nim rzeczywiście taką maleńką i taką głupiotką ze swemi zdaniem, przekonaniem, doświadczeniami życiowemi, i taką śmieszoną ze swemi dziwactwami, ze swemi nerwami...

Robię na tobie pewno wrażenie waryatki. Czy nie zbrzydło ci wyczytywanie tych całych rozmów, które bez żadnej ceremonii żywcem przenoszę na papier. I to się nazywa list do ciebie.

Ale wszak to cała istota moja, wszystkie uczucia, myśli, — cała dusza.

Daję ci siebie w tych kartkach.

Daję ci więcej niż Stachowi, więc nie jesteś zazdrosną o niego, najdroższa?

Nie wiem, jak pogodzić te dwa uczucia w mem sercu. Musicie się teraz porozumieć z sobą i oboje pomieścić się tam, gdzie zdaje się było tylko locum dla ciebie, jedyna.

Czy nie dotyka to ciebie?

Jestem ciągle niby we śnie. A może mię kto zaczarował? A może mnie się to wszystko tylko zdaje?

H.“

.Moja jedyna!

Staję się teraz sentymentalną aż do cikliwości. Tak dłużej być nie może. Cała moja indywidualność buntuje się przeciwko temu. Co się stanie z moją brawurą, z mojami paradoksami, z moim paryzaniem i fin de sièclelizmem?

Słyszę jak wolisz:

— Chwała Tobie Panie na wysokościach!

Nie ciesz się zawczasu, srebrzysta.

Uważasz, jeżeli mam, jak ciele, stuliwszy uszy, milczeć i pozwalać się napychać słodyczami, aż do niestrawności, to w końcu zrobi się ze mnie taki moralny pantofel, że dusza moja z obrzydzenia udławi się. Bo w takim razie co ja mam myśleć o życiu, ludziach, faktach, uczuciach? Nie przypuszczałam, a raczej przekonałam się dawniej, że to nie sielanka.

A teraz? Co ja mam robić? Replacer tout ça. Bo jest prawdziwa idylla. Więc gdzie się wtedy podzieje moje „ja“ i jakież to będzie „ja“! une reproduction, mais pas un être.

W mądrej głowie swojej mam rozmaite myśli, z których ani ty, ani p. Stach, nie bylibyście zadowoleni. Powiadam ci: albo ja się myliłam, i wtedy czuję się tak upokorzona, iż najśłodszy ton najśłodszego frazesu pana Stacha nie zdolen jest mię udobruchać, albo teraz się myślę i to wszystko jest fałsz.



Nie mogę z tych dwóch kombinacji wyciągnąć takiej, która-by dała mi nadzieję wyjścia z tego błędnego koła.

„Nie rezonować i basta! bo tak mi babcia mówiła, kiedy się sprzeczałam—powiada Stach.

Jak kto jest taki mądry, że zawsze może robić to, co sobie obmyśli za dobre—a! to winszuję.

Ja, nie.

Wstyd mi swego szczęścia, bo to jest najstraszniejsza niekosekwencya mego życia.

Voyons un peu: un nouveau spectacle à grand tra la la dans une boîte vidée...

Ale mniejsza o to.

I najgorzej mię martwi moja przewrotność.

Czy sądzisz, że ja mówię jemu cokolwiek o tem, co przechodzę? Gdziez tam! Nous filons le parfait amour i on wygląda jako ten naiwny młodzieniec, który w damie swego serca widzi samą wiosnę.

Przecież nie zostawię go w tem przekonaniu. Muszę powiedzieć mu, że nie jest pierwszym w mojem życiu.

Widzisz, Janiu, ty rozumiesz, że to zatruwa mi rozkosz, gryzie mię, gryzie...

I wyrzucam sobie całą świeżość uczucia, do którego czuję się, niestety! zdolną, albowiem jest to policzek, wymierzony mojej przeszłości.

I on musi o tem wiedzieć.

Miłość się apoteozuje, stawia się ją w świątyni, sztuki i poezya składają jej holdy; ale mężczyzna kobiecie nie przebacza nigdy, jeżeli miała nieszczęście żyć, myśleć i czuć przedtem, zanim go poznała.

I widzisz, Janiu, ja czuję, że jeżeli się on odwróci ode mnie, to mnie to zaboli, zaboli...

Czyż on nic nie wie?

On, który tyle słyszał o mojej kokieteryi, o moich flirtach, powinien się domyślać.

Powiem mu.

Każda chwila upojenia, którą przeżywam u jego boku, jest nieprawnie zdobyta.

Popełniam kradzież.

. . . . .

Pytasz, czy nikt o niczem nie wie?

Nikt.

Ja myślę, że krążą już nie tylko w domu u nas, ale i w okolicy domysły. Ale napewno nikt nie wie. Porozumiewaliśmy się w tej kwestyi: po co sobie mają nami ludziska głowy zaprzętać i losem naszym się zajmować. My sobie sami damy radę.

Choć Stach powiedział mi któregoś dnia:

— Oto! wielkie rzeczy. Ja gotów jestem na placu stanąć w wielkiem mieście i krzyżeć:

— A moja! moja jest! i żebyście wiedzieli, aha!

Bardzo mu wdzięczna jestem za to bohaterstwo, ale wolę nie skorzystać z tego świętego zapalu.

Ja jeszcze muszę się z nim rozmówić.

Bo choć zdaje mi się, że nie jestem ani przewrotna, ani nieśmiała i nieraz gorzkie alluzye do swej przeszłości głośno czyniłam, ale zakochani są czasem dziwnie niepojętni i głusi, tak. jak są ślepi nieraz na oboje oczu.

Więc trzeba wyciągnąć na światło boże wszystkie moje występstwa.

Spowiedź, co?

Dobrze to ironizować, patrzeć z boku na czyjeś udręczenie, ale jak o własną skórę chodzi...

Robak gryzie.

Życiel! życie!

Do każdej czary nektaru wlewa przeznaczenie kroplę piekielną.

Stare to jak świat, ale to tak, jak miłość:

Es ist eine alte Geschite, doch bleibt sie immer neu!

Elka. "



Słuchaj, czy chcesz wiedzieć, jak to się odbyło?

Siedzieliśmy nad brzegiem rzeki, która, czerwona i zlocista u stóp naszych leżała. Słońce bowiem zachodziło i kolorowemi, metalowemi blaskami stroiło wodę, a samo, wśród poszarpanych, ciemnych, stalowych obłoków, uciekało rozplomienione.

Orgia kolorów przed zapadającym mrokiem, którą-by może mój pendzel odtworzył, ale nie pióro.

Sami, bo coraz częściej chodzimy na spacerów we dwoje. Jak to się robi, sama już nie wiem, ale się robi i mamy coraz więcej swobody, i ciszy, i samotności dla siebie.

Siedzieliśmy na ławie dłoń w dłoni.

On mi mówił:

— Za chłodna jesteś dla mnie, ale taka świeża i czysta, że nie śmiem wyznać ci, że nieraz zapach twych sukien odbiera mi zmysły... Czy dotknąłem cię tem wyznaniem?

Spojrzałam mu ostro w oczy.

— Nie, — rzekłam sucho.

Ale on jest jak mimoza.

— Co tobie?

— Proszę cię, odsuń się ode mnie, puść moje ręce, nie obejmuj mnie ramieniem i nie patrz na mnie temi oczyma.

— Dlaczego?

— Bo chcę ci powiedzieć, że nie jesteś pierwszym w mojem życiu, i nie wiem, jakie to na tobie zrobi wrażenie.

— Dlaczego mi mówisz o tem?

— Jakto, dlaczego? Nie chcę pana oszukiwać.

— A ja nie chcę nic wiedzieć! — zawołał gwałtownie.

Odwróciłam głowę i zamyśliłam się mocno.

Czy jest tak słabego ducha, iż zajrzeć w oczy niebezpieczeństwu nie ma siły?

On wstał, odgarnął włosy z czoła, usiadł znowu. Głos jego był tępy trochę, kiedy mówił dalej:

— Ja wiem, że taka, jak ty, kobieta, nie mogła przejść przez życie nietknięta niczyjem uczuciem, lub pożądaniem. Domyślałam się, iż w życiu twojem była miłość... była może namiętność... choć, czy ja wiem! może nie?

Zatrzymał się chwilę, jakby czekając odpowiedzi ode mnie, ale trwało to sekunde, i ciągnął dalej:

— Nie mów mi nic! Ja jestem tylko mężczyzna, nie ideał. I choć rozum mi każe przejść po nad wszystkim i wszystko przebaczyć, ale gdybym wiedział dokładnie... ty wiesz, zazdrość wybuchła we mnie czasem gwałtownie... Ja-bym się mógł zapomnieć i ubliżyć ci, a ty, ty przecież nie byłaś i nie będziesz nigdy zdolną popełnić nic moralnie brudnego.

— Więc przeszłość moja...

— Nie mów mi nic! Ja nie mam prawa sądzić twej przeszłości, przecież nie byłaś wtedy moją. A rozumiem życie i jestem o tyle mocny, że przyjmuję to, czego zmienić nie mogę. Czy kochasz mnie?

Pochylił się do mnie łagodnie, miękko.

Siedziałam milcząca, niezdolna słowa przemówić i lzy, których powstrzymać nie miałam siły, spływały z wolna po mej twarzy.

On pochylił się więcej jeszcze.

— Nie płacz. Będziesz mi tem droższą, im więcej poświęcić ci będę musiał. Kochał-bym cię nawet... nawet... Ale nie! to ja jestem twoim dłużnikiem. Przeszłość twoja jest może bolesną, ale dusza twoja pozostała czysta i szlachetna. Nie mówmy już o tem, malutka.

.....

I ja nie mam kochać tego człowieka? Nie mam mu oddać wszystkich myśli swoich, całej zdolności serca swego? Aa... cóż ja mam w życiu i kim jestem, abym skarbem takim pogardzić miała!

I robię w duszy postanowienie: ten człowiek przeze mnie nigdy cierpieć nie będzie, albo ja to życiem przyplacę.

H.



Nie, złociutka moja, szczęście jest najlepszem, najszlachetniejszym na nerwy lekarstwem. Nie obawiaj się egzaltacyi z mojej strony, nie mi nie bądźcie. Ale sama przecież przyznajesz, że to złoto, nie człowiek. Tak, masz rację: tout comprendre c'est tout pardonner, ale któryż na to się zdobędzie? Kocha mnie nie egoistycznie, prawdziwie, z nieporównaną delikatnością. Sama to mówisz. A widzisz? I ja mam się nie egzaltować?

Ale już nie! już nie!

Jestem spokojna i staram się być dobra, równa, łagodna.

Pytasz mię, czy wreszcie przestanę rezonować i rozmaite kwestye wytwarzać. Chcesz, żebym pozwoliła dniom płynąć spokojnie i zesła trochę z koturnów.

Owszem. On się sam do tego przyczynia. W życiu codziennem ma taki nieporównany humor, taką pogodę ducha, iż najchmurniejsze oblicze rozchmurzy i wypogodzi. Ja nie umiem ci tego opowiedzieć, bo to są drobiazgi, ale faktycznie, takie drobiazgi nieraz nadają ton wszystkim chwilom życia.

I ja z nim jestem prawie tak, jak dawniej, kiedy był tylko dla mnie kandydatem na wielbiciela! Pojmujesz ty tę monstrialność. Traktuję go, jakbym królową była, podczas kiedy dusza się we mnie rozplywa ze wzruszenia, i kiedy pełno jest we mnie wdzięczności dla niego. Oto jest zuchwałość kobieca! Pozwalam mu się uwielbiać i łaskawie przyjmuję jego hołdy! Pozwalam się zdobywać—ja, która niewolnicą jego jestem.

Tylko że on tego nie wie, i może w tem właśnie moc moja.

Ale co za bezczelność z mojej strony, co za bezczelność!

Pojmujesz, że jednak to wszystko nie przeszkadza mi trzeźwo patrzeć na rzeczy, i ostatecznie powiadam sobie: mój Boże, jeżeli to jemu robi przyjemność. że jestem królową—tant mieux, ja również to wolę...

I przyzwyczajam się do tej myśli, że wszystko jest w porządku, i że tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes possible.

Ty mi doradzasz, abym nareszcie namyśliła się i postanowiła coś na przyszłość. „Nie rozumiem, dlaczego mieli-byście zwlekać. Bardzo mi się podoba jego zamiar: w jesieni. Świetnie-by było: ja przyja-

na twój ślub, odwiedzę was wszystkich przy tej sposobności, będzie wielka uroczystość i wielkie szczęście“.

Myśl sobie co chcesz o mnie, ale ja sobie nic tych uroczystych rzeczy nie wyobrażam. Pewnie, że to się tak skończy, ale teraz ja jestem en pleine idylle. Wszystko, co ziemskie, formalne, matrymonialne, jest tak dalekie ode mnie... Nie jestem w stanie myśleć o tem. Oboje zapominamy, że nas czeka, musi czekać ślub et tous les ennuis qui s'en suivent. Dajcie tymczasem nam pokój. Czy jest na świecie co innego, niż lato, Stach i ja? Przyjdzie jesień — no, jak przyjdzie, to wtedy zobaczymy, co będzie. Więc pojmujesz, że nie nie wiem, co zrobić z mem mieszkaniem i pracownią w Paryżu. Niech będzie — to najprostsze. Nie dawaj congé, nie śpiesz się, czy ci tak chodzi o to, żebym nie zbankrutowała, opłacając zbyteczne komorne? Mniejsza o to. Jakoś mi się w głowie pomieścić nie może: jakto? Więc mam nie wrócić do Paryża? Więc skończyła się moja latanina do Akademii, więc finis moje kopie w Luksemburgu, moi koledzy, moje flâneries en quête d'impressions artistiques, moje środy takie ożywione... Nie będę kokietowała mego cher maitre. Jakże to? Jego, który mnie tak zachęcał do wystawienia w Salonie na przyszły sezon i obiecał mi protekcyę? Czy ja sobie dam radę bez niego? Wyrzec się wszystkich moich wielbicieli, nie flirtować z Julkiem, mym przyjacielem pomimo to, że się niby we mnie kocha. Kiedy mi mówił impertynencye, wiedziałam, że nie powinnam go więcej drażnić, bo to już szczyt tego, co mi dać może. Miałam słabość do niego i przebaczałam mu wszystko.

To skończono. Co jeszcze? Kto jeszcze?

Gdzie ja żyć będę, w jakim otoczeniu, jak?

List<sup>7</sup> twój naprowadza na mnie ździebelko spleenu. Ale maluchne ździebelko. Nie jestem w stanie nie żałować. Stach ma posadę w Kijowie i mówi, że to niesłychanie malownicze miasto. Więc i ja mam być w Kijowie? Nie a nie sobie tego nie wyobrażam.

Jakto, więc ciągle razem?

Czy miłość nasza ostoi się wobec tego faktu?

Pamiętasz, jak zawsze mówiłam: nie wytrzymała-bym, żebym miała ciągle kogoś przy sobie, w chwili wesołej i smutnej, bezustanku, wiecznie. Teraz obawiam się tego również, ale nie dla siebie. Mnie się zdaje, że on mi nie obrzydnie, ale ja jemu?

Ja — taka nierówna, kapryśna, fantastyczka.

Jak mu będę ciągle tkwić u boku, co to będzie?

Jak długo miłość jego ostoi się wobec tej próby?



Jeżeli-by miał mię zbudzić do szczęścia, a potem zepchnąć brutalnie, bo to zawsze bywa brutalne... Ożeni się i zobojętnieje.

Co za myśl okropna.

Dość! dość!

Elka.

---

Jakaś ty dobra, moja najdroższa, anielska, że tak się troszczysz o mnie, i jaka ja niegodziwa jestem, że tak się wciąż niepokoję. Ależ, naturalnie, wszystko będzie dobrze. Nie będę sobie wytwarzała urojonych niebezpieczeństw, dobrze, Janieczko. Nie będę wymyślała fantastycznych machin, służących do bezcelowego udreczania samej siebie, dobrze, złota. Chcesz wiedzieć, co słychać u nas, co porabia Jadzia, chłopcy, p. Ludwik? Ach! ty... chcesz odwrócić uwagę ode mnie samej, masz rację. Jakaś ty mądra. To obrzydliwie tak się grzebać bez ustanku w samej sobie, jak ja.

To musi być rodzaj małego bzika, prawda? Czy można się leczyć od tego? Wylecz mnie.

Ale mnie nic nie poradzisz na to, że w tej chwili jedna rzecz tylko istnieje dla mnie na świecie: miłość.

Co się ze mną stanie, jak on przestanie mię kochać?

Nie, nie będę o tem myślała. To nonsens.

Co się u nas dzieje? Wujowstwo zawsze zajęci gospodarstwem. Podziwiam ich. Móźdz oddać duszę całą, wszystkie myśli i wszystkie uczucia ziemi, dzieciom i dniowi codziennemu, i niech się świat cały zapada! To szczęście i filozofia może najlepsza.

Jadzia. Ona jest wyborna. Przekomarza się p. Ludwikiem i wystarcza jej to, że ten słodki idyota nokturny pisze, które jej poświęca. A dobry jest jak anioł—i inteligentny, z wyjątkiem tych chwil, kiedy z nią rozmawia.

Chłopcy—chaque jour la même histoire: wint, polowanie.

Co prawda, Edek mi się skarżył, że niema porządnej panny w okolicy, z którą-by warto poplirtować, i że brak mu jest laboratorium, i że z przyjemnością wróci do Petersburga.

Tadzio studjuje, zdaje się, z powodzeniem winta, i bardzo gorąco mówi o chłopach, od których się trzyma w oddaleniu. To... będzie dopiero, jak skończy uniwersytet. Teraz zaczynać nie warto, bo nie jest swobodny.

Józiek siedzi albo w lesie, albo przy zielonym stoliku. Ostatnimi czasy namiętnie przesiaduje nad brzegiem rzeki z długą wędą.

Podejrzewam, że jest to ulubiony rodzaj drzemki.

Nic nowego.

Przynajmniej tak mi się zdaje, mało doprawdy zwracam uwagi na to, co się dokoła dzieje.

Sąsiedztwo mniej więcej zostawia nas w spokoju, albowiem wszyscy przy rzadkich okazjach odbywania pańszczyzny po salonach sąsiedzkich, nieprzyzwocie się nudzimy, czem naraziliśmy sobie, zdaje się, całą okolicę.

Zabij mię, ale [nie więcej w tej materji nie mam do powiedzenia.

Pan Stach chce ciebie poznać.

Powiada, że ponieważ ja kocham cię nad miarę, więc i on przywiązał się już do ciebie, jak do siostry.

Chce, żebym poznała jego brata i bratową, którą bardzo lubi. Mają troje wspaniałych podobno bębnów.

Ciekawa jestem, czy on lubi dzieci?

Dotąd znajomość ta się nie zrobiła. Wiesz, ile tu we wszystkim ceregieli: jestem u wujowstwa, zaraz musieli-by i oni rewizytować, wogóle to musiało-by przyjąć pewne formy, a nie to, że ot, poprostu chcę poznać jego brata i bratową. Rozumiesz? więc jakoś to się zwleka.

Tembardziej, że nie śpieszy się nam z podzieleniem się naszą tajemnicą, nawet z rodziną.

Czy nie masz mi za złe, najdroższa, że nie jestem w stanie pisać teraz do ciebie porządnie. Nowe życie budzi się we mnie i tyle, tyle energii; myśli i uczucia zużywam na swój wyłączny użytek.

Nim ja to wszystko przetrawię — jestem trochę jakby nieprzytomna.



Wracasz już do Paryża? Tak wczesnie, dlaczego? Przecież to dopiero koniec sierpnia.

Pisz mi często i szegółowo o sobie i daj mi dyspensę: muszę cię trochę zaniedbać dla mego niegodziwego Stacha, który despotyczny jest i zazdrosny i zabiera mnie całą dla siebie.

Jak długo to będzie trwało, mój Boże, jak długo?..

H.“

AL. SUSZCZYŃSKA.

(Dokończenie nastąpi).

---

# Elekcya Augusta III.<sup>1)</sup>

---

Wśród takich-to warunków krajowych, śmierć Augusta II otworzyła bezkrólewie. Wedle praw Rzpltej, prymas-między-król obejmował rządy naczelne. Natychmiast, podawszy sobie ręce z posłem francuskim, Montim, prymas z całą energią przystąpił do przeparcia kandydatury Leszczyńskiego. Zaczął od arcyważnego kroku: poszukał zgody z Familią. Sam pozornie porzucił, a raczej ukrył, odłożył zadawnioną niechęć, miarkował gwałtowne wybuchy krewkiego Wiśniowieckiego, porywającego się już z szablą na Czartoryskich, bezbożnych sprawców choroby i zgonu Króla Jegomości, wstrzymywał i tłumił, jak mógł, powszechną przeciw nim zawziętość magnateryi, a zwłaszcza panów litewskich. Zobowiązał się nadto zachować nienawistnego Poniatowskiego przy szacownem regimentarstwie, aż póki przyszedł król nie rozda buław; obiecał także dopuścić Familię w odpowiednim stosunku do przyszłych wakansów. Wzamian przyrzekali Czartoryscy

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt sierpniowy.



odstąpić elektora i łącznie z Potockimi popierać Stanisława; w istocie też niezwłocznie, z zapewnieniem o swojej wierności, wprost od siebie Jabłonowskiego, starostę ruskiego, wyprawili do Chambordu, do Leszczyńskiego. Jednocześnie Monti, i to bez straty czasu, tego samego dnia jeszcze, kiedy król zamknął oczy, pchnął kuryera do Paryża, z prośbą o *nervus rerum*, o jakie cztery do pięciu milionów liwrów. Zachnął się oszczędny Fleury, ofiarował trzykroć, lecz niebawem odebrał jeszcze dotkliwszą, a nagłą zapowiedź od posła z Warszawy: „trzeba rzucić do Polski dziesięć do dwunastu milionów“. Odbyła się tymczasem w Warszawie pod przewodnictwem prymasa tak zwana rada konwokacyjna senatu, i wyznaczyła termin na sejmiki przedkonwokacyjne na połowę marca, na sejm konwokacyjny — pod koniec kwietnia. Wydany uniwersałom towarzyszyły dehortatorye prymasowskie na sejmiki, gdzie już otwarcie wyrażoną została potrzeba wyłączenia cudzoziemca, to jest Sasa, z liczby kandydatów do tronu. Szła tedy gorączkowo Stanisławowska robota. Ale zarazem już uwydatniały się jej strony słabe i nietrwałe. Już przebijała wyraźnie kruchość pozornej między możnowładztwem zgody. Nienaturalny sojusz Potockich a Czartoryskich niezdrowe przynosił owoce. Rozmaici malkontenci wielkopańscy, zwłaszcza magnaci litewscy, z Wiśniewieckimi na czele, widząc Czartoryskich, wchodzących do obozu francuskiego, sami w te pędy jęli zawracać ku saskiemu. Zaczęli zaraz poufnie układać się z Brühlem. Ten, jedyne wtedy minister saski, obecny przy śmierci królewskiej, zatrzymał się rozmyślnie jeszcze dni parę w Warszawie, w celu nawiązania tych układów i przygotowania gruntu dla kandydatury elektorskiej. Co zaś najciekawsza, sami Czartoryscy, zaraz w tych pierwszych dniach po zgonie Augusta, podając rękę prymasowi i wyprawiając poselstwo do Chambordu, jednocześnie, snać niezbyt pewni ani szczerości Potockich, ani sukcesu Stanisława, zabezpieczali sobie odwrót, i z całą dyskrecją otworzyli rokowania z Brühlem względem poparcia elekcji saskiej, oczywiście wzamian za stosowną dla Familii porękę i korzyści. Brühl skwapliwie, a zgrabnie i zosobna, te obustronne przyjmował i zachęcał wynurzenia, i takim sposobem pierwsze w Warszawie poczyniwszy kroki, prosto stąd pośpieszył do Drezna.

W Dreźnie wieść o śmierci Augusta zaskoczyła wszystkich. Wiedziano, że król był chory, lecz tak rychłego nie oczekiwano końca. Nie oczekiwano też tak rychle bezkrólewia i kłopotów elekcyjnych. Nowy elektor, August III, nie zdążył ojcowi zamknąć oczu, ani też najgłówniejszych zarządzeń przygotowań dla objęcia po nim pol-

skiej sukcesyi. Zaś z przygotowań ojcowskich naprawdę nic się nie ostało. Z tylu traktatów, tylu rokowań, tylu matactw nieboszczyka króla, w rzeczywistości nie pozostało dla jego następcy nigdzie żadnego realnego punktu oparcia. Dzięki przemądrej, pseudo-machiawellowej, obracającej się w kole błędnem znoszących się nawzajem intryg, polityce ojcowskiej, syn był zupełnie osamotnionym. Był na papierze złączony po ojcu węzłami przyjacielskimi, sprzymierzeńczemi, subsydyowemi, z całym światem: Rossyą, Austryą, Anglią i Hannoverem, Francją i Bawaryą, Prusami, Szwecyą, a w istocie na nikim nie mógł polegać. Miał przeciw sobie Rossyę, upominającą się pierwotnie o Piasta, i Prusy, które w tym względzie oddawna podniecają Rossyę; miał przeciw sobie Austryę, która ostatecznie stanęła za Portugalczykiem, i świeżo w tym względzie zyskała Rossyę i skaptowała Prusy; wreszcie miał przeciw sobie Francję, koniec końcem, naturalną Leszczyńskiego protektorkę. Nie mógł także w gruncie rzeczy na nikim polegać w Rzpltej, oprócz kupionych przez ojca ludzi, którzy go zdradzą natychmiast, pomimo obietnic i cyrografów, oprócz nowych przygodnych adherentów, których dopiero ściągnie prywata i pieniądze, i oprócz kilku biskupów, którzy nie mogą wyżyć z imperatywnym prymasem, i pójdą za wskazówkami Rzymu, jeśli te wskazówki obrócą się na dobro kandydatury saskiej. To też w Rzymie, w rzeczy samej, jedyne było miejsce, gdzie dla ułatwienia tej kandydatury grunt poniekąd był przygotowany, i to nietyle przez nieboszczyka króla, ile właśnie osobiście przez jego następcę. August III miał tutaj znaczne wpływy osobiste jeszcze z czasów swoich boñońskich i wiedeńskich. Były to zresztą wpływy nieszczęśliwie sympatyczne, utrzymywane za pośrednictwem sposobów i ludzi w najlichszym gatunku. Trwały wtedy w Rzymie — przypomnieć należy, — oplakane, ciemne i nepotyczne rządy Klemensa XII, doba *Vincam Domini* i *Unigenitus*, będąca ciągiem dalszym i rozwinięciem poprzedzającej ciężkiej doby Klemensa XI. Dopiero jasna i światła głowa następnego rządcy Stolicy Apostolskiej, reformatora Pijarów i Jezuitów, Benedykta XIV, miała nieco odświeżyć i rozwidnić owoczesną duszną i przyémioną atmosferę rzymską. Tymczasem jednak ster naczelny, zwłaszcza w sprawach politycznych, spoczywał tutaj ciągle w ręku możnego domu Albanich, synowców - nepotów Klemensa XI, którzy aż dwóch naraz przedstawicieli naczelnych liczyli wtedy zasiadających w kolegium kardynalskiem. August III zdawna, jeszcze z czasów swojej konwersyi za nieboszczyka papieża Albaniego, utrzymywał najlepsze stosunki z rządzącymi kardynałami tego domu, a nadto wszędzie w Rzymie otwarte miał wstępy za pośrednictwem



kardynała jezuitę Giovannię Salerno, który go był nawrócił na łono Kościoła. Teraz natychmiast skierował się tędy po poparcie. Znalazł je też istotnie, w pierwszej przynajmniej chwili. Kardynał Alessandro Albani pośpieszył wyświadczyć w tym wypadku tę samą usługę Sasowi przeciw Stanisławowi Leszczyńskiemu, jaką po trzydziestu latach jego synowiec, kardynał Gianfrancesco Albani, wyświadczył Stanisławowi Poniatowskiemu przeciw Sasowi, i z tych samych pobudek, niemających nic wspólnego ani z dobrem Kościoła, ani z dobrem Rzpltej. Niezwłocznie wyszło najlaskawsze *breve* do elektora do Drezna. a zarazem inne do Warszawy, pod adresem prymasa i Stanów, z gorącym zaleceniem elekcji saskiej. Niebawem jednak i z tej strony poważne wynikły wątpliwości. Starania drezdeńskie w Rzymie z dwóch stron jednocześnie zaczęto krzyżować, z Paryża i Wiednia. Z Paryża, kardynał Fleury energicznie zaczął wstawiać się za postpowowanym Leszczyńskim, teściem Francji, najstarszej córki Kościoła. Z Wiednia wprawdzie również energicznie ostrzegano Watykan przed Leszczyńskim. „Jasną jest rzeczą, — pisał cesarz Karol osobiście do kardynała Cienfuegos — czego się świat chrześcijański spodziewać może po Stanisławie, który zbiegł do Turcyi i tam szukał schronienia, nadto zaś, jak Nam dobrze wiadomo, już kilkakrotnie podmawiał najusilniej Portę, aby, pojednawszy się z Persyą, na Nas i cesarżową rosyjską uderzyła. Łatwo tedy przewidzieć, jeśliby on królewskiej w Polsce dostąpił godności, jakie-by stąd nieszczęścia na całe spłynęły Chrześcijaństwo, i jakie w szczególności niebezpieczeństwo groziło-by Włochom“. Ale podkopując takim sposobem sprawę Leszczyńskiego, cesarz w tej chwili bynajmniej nie myślał jeszcze o przysłużeniu się Sasowi, lecz miał na myśli forytowanie ukartowanego Portugalczyka, i istotnie, przez kardynała Cienfuegos pracował pierwotnie w Rzymie za infantem Emanuelem przeciw elektorowi Augustowi. Kardynał Albani, który w swoim charakterze „komprotektora“ cesarstwa i krajów dziedzicznych domu austriackiego, był zmuszony liczyć się bardzo z wolą cesarską, znacznie ostygł w zapale dla kandydatary saskiej. Zaraz też w wydanej instrukcyi dla nuncjusza w Warszawie, Pauluccego, ograniczył się już tylko do wskazówki ogólnej, ażeby przyszedł elekt „był dobrym katolikiem“, — co, oczywiście, również dobrze stosować się mogło do Augusta, jak do Emanuela, albo Stanisława.

Tutaj inną jeszcze należy podnieść okoliczność. W tym-to samym właśnie czasie, a już od lat dziesięciu, trwała Rzplta w arcyciekawym i nader ostrym zatargu kościelno-politycznym z Watykanem.

Chodziło o dwie rzeczy sporne: o nadużycie jurysdykcji nuncyatorskiej w Warszawie, oraz o niepewne obsadzenie opactw wprost z wyboru braci zakonnej bez oglądania się na obowiązkową prezentę i nominację królewską. W obu tych sprawach na ostatnim sejmie grodzieńskim gwałtowne zapadły uchwały, żądające od Watykanu, aby odwołał nuncjusza z Warszawy, „aby nam wolnym narodom *in jurebus cardinalibus Majestatis et Reipublicae* ubliżać nie pozwalał“. Ta okoliczność i wywołany przez nią nastrój opinii publicznej nie obiecywały. w tej właśnie chwili, zbytniego w kraju posłuchu przychodzącym z Rzymu skazówkom. Naogół zresztą stwierdzić przychodzi, iż w ówczesnej Rzpltej, jakkolwiek wolnej od pojęć gallikańskich, przejętej tradycyjnym i głębokim dla Stolicy Apostolskiej respektem, panował przecież, w stosunku do Rzymu, równie głęboki i tradycyjny, a zupełnie wyraźny i świadomy duch niezawisłości w rzeczach politycznych. Takim duchem, w samej zasadzie, a zwłaszcza w danym wypadku, kiedy chodziło o sprawę kardynalną, o zazdrośnie strzeżoną prerogatywę elekcyjną, przeniknięty był zarówno ogół narodu szlacheckiego, jakoteż sam ówczesny prymas — Potocki. To też naprawdę jak już wskazaliśmy, elektor mógł liczyć z tej strony jedynie na poparcie pewnej części wyższego duchowieństwa krajowego, niektórych mianowicie infulatów, zdolnością osobistą, a dworską protekcją wyniesionych ze skromnych nieraz początków i małego stanu, przeznaczonych z natury rzeczy dla zrównoważenia zbyt przemożnej i autokratycznej, pańskiej razem i prymacyalnej Teodora Potockiego przewagi. Takim był Hozyusz, biskup poznański, łagodny, miłosierny, pobożny, ale głowa nietęga, charakter lękliwy, zanadto pamiętający o własnem pospolitem pochodzeniu, zanadto dworak z usposobienia i zanadto z kultury Niemiec. Takim był Lipski, biskup krakowski, dużo zdolniejszy, niemałego sprytu, bystrości, wymowy, ale bez żadnych podstaw moralnych, intrygant, karcciarz i smakosz, który, bawiąc się, robiąc politykę, robiąc przedewszystkiem własną karyerę, więcej przesiadujący za stołem Augusta II, albo w gabinecie ministeryalnym Brühla, aniżeli w swojej dyecezyi, dawał gorszący przykład nieposzanowania dla godności księcia Kościoła i podniosłych obowiązków dusz pasterza. Gorszącym też sposobem, wbrew prawom uświęconym, które prymasa biskupa krakowskiego i kilku innych wyłączały od piastowania pieczęci, Lipski, przy Brühla pomocy posunięty na podkanclerstwo, siedząc na stolicy krakowskiej, wbrew wszelkim protestom trzymał przez lat kilka pieczęć mniejszą koronną, a nawet już i o wielką się ubiegał. Omylił się jednak w rachubie, gdyż mimo wszystkie jego zasługi w niniejszem położone bezkrólewii, August



III nie mógł zdobyć się na powierzenie takiemu człowiekowi kanclerstwa i wolał go nagrodzić kapeluszem kardynalskim, zaś odebraną mu pieczęć powierzyć w godniejsze ręce, Załuskiego. Załuski Jędrzej, wtedy biskup płocki, później kanclerz wielki k., później biskup krakowski, w końcu, z własnej woli wszelkie złożywszy dostojęstwa, cichy członek zakonu oo. Jezuitów, którym całe swoje mienie przed śmiercią zapisał, mniej głośny od młodszego brata, bibliomana i gaduły, a postać dużo poważniejsza. umysł światły i wszechstronny, dusza silna i dosyć zagadkowa, miał sobie zdawna na piśmie przyrzeczoną od Augusta II pieczęć wielką koronną, piastowaną ongi przez uczonego stryja, czuł się i był w istocie kandydatem do niej najgodniejszym, widział przecie ostatnimi czasy swego antagonistę Lipskiego jawnie wchodzącego mu w drogę, niecnymi sposobami wysadzającego go u monarchy, i ciężko rozżalony odwrócił się od dworu, za pośrednictwem Czartoryskich, blizkich swoich przyjaciół, wcześniej zeszedł się z Montim, związał się ze sprawą Stanisława, i obecnie w swojej dyecezyi zaraz rozpoczął starania względem wprowadzenia do laudów sejmikowych płockich wyrażnej ekskluzyi cudzoziemca, t. j. Sassa. Drugi, młodszy Załuski, Józef, późniejszy biskup kijowski. pamiętny czynem Repninowskim, poczciwy a niemądry, erudyta a zupełnie bez smaku, wtedy tylko referendarz k. i od niedawna proboszcz w kollegiacie warszawskiej, chętnie i często ukazywał się na kazalnicy, wygłaszając mowy bardzo uczone, bardzo długie i bardzo „nudne“ zdaniem pobożnych Warszawian, jak twierdzi Kitowicz i jak zresztą z kilku zachowanych druków snadnie przekonać się można, poza tem szedł we wszystkim za starszym bratem biskupem i w jego ślady połączył się obecnie z partją Leszczyńskiego, aby następnie z nim razem powrócić do dworu. Daleko wybitniej, choć również jeszcze młody, przedstawiał się już wówczas Adam Grabowski, sufragan poznański, późniejszy biskup kujawski i warmiński, prałat rzadkich zdolności, ukształcenia i charakteru, trafnie wyróżniony przez nieboszczyka króla, a w czasie niniejszego bezkrólewia skromny, lecz jeden z najzdolniejszych, pomocnik sprawy elektora.

Jakkolwiek bądź, na innych, realniejszych i potężniejszych czynnikach, niż pomoc Rzymu i biskupów polskich, zawisło powodzenie sprawy elektora-królewicza w Rzpltej i w Europie. W obu kierunkach podjęto z Drezna ruchliwą i rozległą działalność. Natychmiast po powrocie Brühla z Warszawy, w gabinecie elektorskim w Dreźnie odbyła się stanowcza narada nad całą przyszłą akcyą polską i zagraniczną. Uchwalono przedewszystkiem w samej Rzeczypospolitej roz-

porządek ostrożnie zachowywać na sejmikach przed-konwokacyjnych, aby nie dopuścić w instrukcyach poselskich wyłączenia cudzoziemca od korony. Do tej roboty będą użyć: na Mazowszu referendarz k., Antoni Dembowski, na Rusi Jan Cetner, kuchmistrz k., w Małopolsce oboźny k., Ożarowski, na Podlasiu wojewoda podlaski, Michał Sapiela, na Podolu podolski, Stefan Humiecki, na Litwie Wiśniowiec. Do Prus Królewskich wyprawiony pułkownik Unruh z 10,000 dukatów, oraz tajemnymi obietnicami dla dyssydentów; ten punkt ostatni, rzeczywiście nader drażliwy ze względu na Rzym i opinię publiczną polską, trzymany był w największym sekrecie i wysłańcowi dano w tym względzie nie piśmienną, lecz tylko ustną instrukcję. Na wydatki w Rzpltej wyznaczono tymczasem pół miliona dukatów; ułożono, iż nie należy śpieszyć się z opłacaniem stronników, lecz starać się, o ile można, przychodzić z gotówką po ambasadorze francuskim. Tymczasem jednak zaraz znaczniejszą kwotę wysłano nuncyuszowi Pauluccemu do Warszawy na pierwsze potrzeby. Do Warszawy postanowiono wyprawić dwóch urzędowych posłów pełnomocnych saskich, lecz dopiero na samą konwokację. Na wypadek scyssyi, uchwalono trzymać wojsko w pogotowiu.

Jednakowoż, dobrze rozumiano w Dreźnie, iż wszystko ostatecznie zależało od mocarstw. Tutaj zaś znowu wszystko zależało od Wiednia. Napróżno posłowie sascy w Petersburgu, doświadczony Lefort i gładki Lynar pukali do Loewenwoldów: ci nic nie mieli-by w gruncie rzeczy przeciw elekcyi Augusta, radzi-by byli mu pomóc za stosownem wynagrodzeniem, byle tylko zniweczyć niebezpieczną, francusko-stanisławowską kombinację Münnicha, ale, sami najściślej związani z cesarzem Karolem, stawili swoje spółdziałanie w ściślejszej zawisłości od zgody wiedeńskiego dworu. Wnet też z Dreznia wyprawieni zostali do Wiednia dwaj zaufani dyplomaci sascy: minister gabinetu hr. Lätzburg i baron Zech, w charakterze posłów nadzwyczajnych. Mieli oni sobie poleczone działać głównie przez cesarżową wdowę, Amalię, matkę elektorowej, oraz przez kanclerza Sinzendorffa, któremu jednocześnie miano odnowić dawniejszą pensję saską. Prócz tego August wystosował pismo własnoręczne do ks. Eugeniusza Sabaudzkiego, dopraszając się jego osobistego poparcia. Wysłańcy drezdeńscy w pierwszej chwili trudną mieli przeprawę w Hofburgu. Spotkali się tutaj z uprzedzeniem do wiarołomnej polityki nieboszczyka Augusta II, z gorzkimi wyrzutami za jego podstępny opór przeciw Sankcyi Pragmatycznej na sejmie Rzeszy, z podejrzliwym zwłaszcza niepokojem z powodu ostatnich knowań sas-



ko - francuskich, a wreszcie z ułożoną już kandydaturą Portugalczyka do korony polskiej. Na szczęście, w tej samej chwili, najniespodziewanym sposobem, owa kandydatura sama przez się upadła. Otrzymano mianowicie w Hofburgu niespodzianą wiadomość z Lizbony, iż infant Emanuel cofa swoją kandydaturę polską, na rzecz drugiego swego brata młodszego, dona Antonia. Wynikała stąd komplikacya nieprzewidziana, a tem przykrzejsza, iż dokonane porozumienie austro-rossyjskie, do którego po tylu zachodach wciągnięto i Prusy, było szczegółowo i imiennie ułożone na rzecz samego infanta. Z drugiej strony agenci austriacy w Warszawie, poseł Wilczek i rezydent Kinnern, donosili z niepokojem o ruchliwej akcji Montego i prymasa, o powszechnym zapale szlachty dla Stanisława, o wzrastającym powodzeniu kandydatury francuskiej. Nie było tedy czasu do stracenia. Ta okoliczność, przy czynnem nadto wstawiennictwie cesarzowej Amalii i Sinzendorffa, przechyliła szalę na rzecz elektora. W końcu marca odbyła się w Hofburgu, pod przewodnictwem cesarza, konferencya poufna względem elekcji polskiej. Sinzendorff, w zręcznem przemówieniu, przekonująco wyłożył, iż August III, tępy i ograniczony, pozbawiony talentów swego ojca, nie może być niebezpiecznym, iż korona polska, zamiast go wzmocnić, jeszcze raczej go osłabi, jako księcia niemieckiego, iż jako królowi polskiemu, trudniej mu jeszcze przyjdzie, aniżeli teraz, sięgnąć po ziemie austriackie, iż przeciwnie, obejmując dożywotni tron polski, może tylko przez to narazić swoje dziedziczne posiadłości saskie, na podobieństwo Zygmunta III, który swoją elekcję w Rzpltej musiał opłacić utratą dziedzicznej Szwecyi. Cesarz Karol przychylił się do argumentacyi kanclerskiej: uchwalono w zasadzie porozumieć się z Augustem względem poparcia jego kandydatury. Pozostawało jednak jeszcze bliżej wyszczególnić i sformułować to porozumienie. Pozostawało także przeprowadzić odpowiednie porozumienie pomiędzy Dreznem a Petersburgiem. Pozostawało w końcu, podobnie jak poprzednio, kiedy chodziło o Portugalczyka, tak samo teraz kiedy chodziło o Sasa, wyzyskać to porozumienie wyłączenie na rzecz obu uczestniczących dworów sąsiednich, Austrii i Rossyi, nie dopuścić natomiast wyzysku, zarobku, złej woli i szkodliwych wpływów trzeciego sąsiedzkiego dworu, berlińskiego, a więc Fryderyka-Wilhelma jak najdłużej utrzymać w błędzie i bezczynności, zatrzymać mu na oczach jak najdłużej przepaskę Loewenwoldowej „punktacyi“, i w taki sposób, bez przeszkód z jego strony, a nawet przy jego nieświadomym udziale i jego po części kosztem, przeprowadzić wedle nowej myśli całą sprawę elekcyjną.

W rzeczy samej, Fryderyk-Wilhelm, zaspokojony i oślepiiony Loewenwoldowym „traktatem“, w pierszej chwili ze wzruszającą naiwnością dal się prowadzić w pożądanym kierunku. Jego agenci w Warszawie, poseł pruski Brandt i rezydent Hoffmann, odebrali z Berlina rozkaz wspólnego działania z Wilczkiem i Loewenwoldem. Wszakże ten stan błogiej ufności nie miał trwać długo. „Traktat“ grudniowy berliński, darowujący Prusom Kurlandę, niezawodnie piękną był rzeczą: cóż z tego jednak, kiedy jakoś ciągle nic nie było słyhać z Petersburga o ratyfikacji tego „traktatu“. Przeciwnie z Petersburga, od tamecznego posła pruskiego, Mardefelda, najpodejrzniejsze przychodziły relacye. Biren stanowczo odmawiał przyjęcia ofiarowanych sobie za Kurlandę 200,000 talarów pruskich, a to dla tej prostej przyczyny, że miał już w kieszeni tyleż austryackich florenów wraz z tym w dodatku widokiem, iż sam dla siebie zachowa Kurlandę. Loewenwoldowie wykręcali się sianem i opóźnienie ratyfikacji zwalali na przeciwnie machinacye francuskie Münnicha, a tymczasem pocichu już zaczynali chodzić koło interesów saskich. W sercu Fryderyka-Wilhelma zbudziło się podejrzenie. Przez cały luty liczył jeszcze bądź na infanta, bądź też „jeśli wszystkie sznury pękną“, na Piasta, Wiśniowieckiego, Mniszcha albo Sanguszkę. Jednakowoż, choć według umowy berlińskiej był obowiązany złożyć do wspólnej kasy elekcyjnej warszawskiej 36 tysięcy dukatów, wstrzymywał się z tem ciągle, swoim posłom w Warszawie zalecał nie szafować pieniędzmi do czasu, i wogóle, do czasu, tj. do nadejścia upragnionej ratyfikacji, starał się, bez obrazy swoich „sprzymierzeńców“, nie oddawać się im zupełnie przy kierowaniu robotą warszawską. W marcu, coraz bardziej zaniepokojony ciągłemi z Petersburga wykrętami, wciąż nie słysząc nic ani o ratyfikacji, ani o infancie, a już czując w powietrzu zgodę sasko-austryacką, zaczął domyślać się, że go oszukano i że może skończyć się na Sasie. Zaraz też zaczął podkopywać kandydaturę Augustowską jednocześnie w Petersburgu i Warszawie. Przypominał w Petersburgu przez Mardefelda świętą wolę Piotra Wielkiego i uroczyste traktaty prusko-rossyjskie przeciw utrwaleniu dynastyi saskiej w Rzpltej. a nawet zademuncyował tutaj własne knowania podziałowe z Augustem II, odkrył, t. j. na swój sposób opowiedział, sekretne spotkanie krośnieńskie, i całą winę oczywiście zwalając na nieboszczyka, ze zgrozą odsłonił. jak ten Sas niecnota, pomimo najczulszych Grumbkowa perswazyi, nie dał odwieść się od swoich, tak niebezpiecznych dla sąsiedztwa, a zwłaszcza dla Rossyi, zamysłów rozbiorowych i despotycznych, które obecnie, najniezawodniej, będzie kontynuował jego syn, August III, skoro tyl-



ko, broń Boże, ze szkodą sąsiadów, a zwłaszcza carowej, zostanie obrany królem polskim. W Warszawie znowu przez Hoffmanna i Brandta rozkazał Fryderyk-Wilhelm „nie zabawiać się dłużej infantem, lecz, co tylko jest w ludzkiej mocy, użyć na rzecz Piasta“, a mianowicie, na rzecz Sanguszkii, zalecanego mu przez Ostermanna; denuncyować również przed opinią publiczną polską tajne plany podziałowe i absolutystyczne nieboszczyka króla i całego domu saskiego: czynić to atoli jak najdyskretniej, przy pomocy osób trzecich a najlepiej za pośrednictwem pism anonimowych, pochodzących rzekomo od patryotów polskich, „które należy rozpowszechniać ze wszelką możliwą ostrożnością, żeby na Was żadne nie mogło stąd spaść podejrzenie“. Do tego rodzaju robót Brandt i Hoffmann mieli na swym żołdzie Jerzego Kryszpina, kasztelana żmudzkiego, wcale sprytnego człowieka; nadto zaraz w początku marca zgłosił się do nich i ofiarował swoje usługi Wiktor Bagniewski, poseł i sędzia kapturowy z województwa Chełmińskiego. którego niezwłocznie kazano z Berlina wziąć także na pensję pruską i trzymać w pogotowiu dla zerwania, w razie potrzeby, sejmu konwokacyjnego, „albowiem — pisał król — interes nasz nieodzownie tego wymaga, ażeby skrycie, o ile tylko sił naszych starczy, zamieszać (*troublieren*) i powikłać sprawy Rzpltej.“ Tę swoją akcyę podziemną z tem większą zaciekłością prowadził król pruski, odkąd, w połowie kwietnia, dostał języka o dokładnem już porozumieniu między Dreznem a Wiedniem. Wtedy zaczął zbliżać się do Francyi i objawiać coraz żywsze zainteresowanie dla sprawy Leszczyńskiego. Zarazem jednak, w miarę jak sprawa Augusta zyskiwała na poparcie, nawiązał również rokowania w Dreźnie. W każdym razie, tak czy owak, umyślił nie przepuścić tej sprawy bez tłustego dla siebie odczepnego, wszystkim szkodzić, nikomu nie pomódz, samemu zarobić.

Tymczasem w Dreźnie teraz dopiero, skoro już zasadnicze układy wiedeńskie na dobrą weszły drogę i tym sposobem zdobytą została pierwsza realna podstawa polityczna, zdecydowano się na pierwszy krok urzędowy w samej Rzpltej. Wysłano uroczyste poselstwo do Warszawy. Do tej trudnej misyi przeznaczono dwóch wysokich dostojników saskich, ludzi wytrawnych i poważnych: hr. Wackerbartha i generała Bandissina. Mieli w oni w Warszawie radzić się i stale porozumiewać „z czterema przyjaciółmi głównymi, dopuszczonymi do sekretu“, t. j. z Lipskim, Mniszchem, Dembowskim i Sapiełą Michałem, jakoteż z nuncyuszem Pauluccim. Posłowie otrzymali na drogę elektorskie pismo wierzytelne do prymasa, pierwszy dokument urzęd-

dowy, gdzie August III publicznie stawiał swoją kandydaturę do tronu polskiego. Otrzymali zarazem jak najszersze pełnomocnictwo do „zyskiwania magnatów przez przyrzeczenie urzędów, łask, pieniędzy i innych darów“, do „najtajniejszych rokowań względem godności i dostojenstw duchowych i świeckich, królewskich i ziemskich“. Otrzymali wreszcie na pierwsze wydatki znaczny zapas gotowizny. Pod koniec kwietnia, na kilka dni zaledwie przed otwarciem sejmu, konwokacyjnego, posło wie przybyli do Warszawy. Położenie rzeczy jakie tutaj zastali, zapowiadało się z wielu względów nader niepomysłnie dla sprawy saskiej. Prymas i poseł francuski nie stracili czasu nadaremnie, i przez dwa miesiące, upłynione od śmierci królewskiej, mając ręce zupełnie wolne, znacznie zdążyli posunąć sprawę Leszczyńskiego. Pokierowane przez nich sejmiki przedkonwokacyjne wypadły jak najfatalniej dla kandydatury Augusta. Trzydzieści województw, więc niemal wszystkie, w myśl dehortatoryów prymasowskich, oświadczyło się w instrukcyach sejmikowych za zupełnem wyłączeniem kandydatury cudzoziemskiej. Prymas z wielką wystawnością udzielił audyencji posłom saskim, przyjął z ich rąk pismo elektorskie, chwalił nieboszczyka króla, grzecznie upewniał o swojej życzliwości, lecz widocznie, mocny świeżo odniesionym na sejmikach sukcesem, już był pewien wygranej Stanisława. Zaraz też na tem pierwszym posłuchaniu wyrwał się z uwagą, że „nieznajomość języka narodowego przez monarchę była-by ze szkodą dla sprawiedliwości i dobrego zarządu“. Istotnie zewsząd zaczęto natarczywie dopytywać się posłów saskich, czy elektor umie po polsku; ci zaś w odpowiedzi zaręczali solennie, że on umie doskonale. Co najgorsza, w tych ciężkich wstępnych przeprawach warszawskich, Sasi z nikąd nie otrzymywali poparcia. Wilczek, tutejszy poseł cesarski, zachowywał się względem nich bardzo wstrzemięźliwie, wyczekując widocznie bliższych wskazówek z Wiednia. W ambasadzie rosyjskiej rządził teraz Loewenwolde starszy, wielki koniuszy, który na czas bezkrólewia przybył z Petersburga do pomocy niezdatnemu bratu, a który, zapatrząc się na Wilczka, również zachowywał się całkiem „neutralnie“, a nawet zdawał się oglądać raczej za jakim drugorzędnym Piastem jako kontr-kandydatem przeciw Leszczyńskiemu. Posłowie sascy, pozostawieni samym sobie, rozpoczęli działania na własną rękę. Lip-ski odrazu został głównym doradcą, a jednocześnie głównym pośrednikiem przy przekupstwach. Albowiem, po dokonanych już tymczasem milionowych ekspensach francuskich, wypadło teraz Sasom sięgnąć do trzosa. Nasamprzód, acz bezskutecznie, próbowali zyskać prymasa obietnicami purpury kardynalskiej, Józefa Potockiego



obietnicami wielkiej buławy. Natomiast łatwo i tanio kupili Antoniego Potockiego, wojewodę bełskiego: żądał z początku 12,000 dukatów, lecz za perswazyą Lipskiego zadowolnił się połową i wziął 6,000; jeszcze mniejszym kosztem dał się pozyskać drugi Potocki, Franciszek, starosta i poseł bełski na konwokacyę. Niemniej czynnym od Lipskiego pomocnikiem okazał się Dembowski, referendarz k., człowiek zdolności powszednich, ale niezwyklej rutyny, nabytej pod Szembekiem, byłym kanclerzem w. k., u którego przez szereg lat był regensem kancelaryi. Ten zaraz ryczałtem wziął na korupcyę ogromną summę 21,000 dukatów, z której nigdy się nie wyliczył. Wogóle należy tutaj stwierdzić, że znaczna część pieniędzy, wydatkowanych z obu stron na przekupstwa, najniezawodniej nie doszła nigdy do właściwego swego przeznaczenia, lecz utonęła w kieszeni sprytnych pośredników. W istocie, w owej chwili, w przededniu konwokacyi, udało się przeciągnąć na stronę saską, oprócz biskupów i senatorów, głównie samych tylko posłów wielkopolskich i pruskich, zyskanych nie tyle pieniędzmi, ile ruchliwą agitacyą Unruha, który złote góry obiecywał tamecznym dyssydentom. To też, wrzeczy samej, na sejmiku generalnym, czyli t. zw. „generale“ pruskim, nie dopuszczono ekskluzyi cudzoziemca. Zyskani zostali także wojewodowie chełmiński, inowrocławski i malborski, kasztelanowie rawski i elbląski, oraz posłowie wieluńscy i łęczyccy. Gorzej było z wielkimi panami. Ci, pod świeżem wrażeniem wyników sejmikowych, jeszcze w pozornej zgodzie trzymali z prymasem, albo też jeszcze wszystkich nagród nie wybrali od Montego, a jeśli który z nich, jak Mniszech, dał się nawet przez Lipskiego ściągnąć do ambasady saskiej, to tylko po to, aby odebrać tam piękne „bijou“ drezdeńskie dla małżonki, która w dalszym ciągu utrzymywała najspokojniej korzystne stosunki z ambasadą francuską. Najgorzej było z Czartoryskimi, na których znacznym wpływie i mądrej radzie wiele zależało elektorowi. Naprózno pełnomocnicy sascy, polegając na przywiezionych do Drezna zapewnieniach Brühlla, próbowali odwołać się do Familii, do jej obowiązków wdzięczności względem dworu, do jej tylokrotnych obietnic, a nawet pisemnego cyrografu na rzecz kandydatury elektorskiej. Poniatowski i Czartoryscy wykręcali się ogólnikami, mówili z wylaniem o swoich najlepszych uczuciach, upewniali, że są jeszcze „sans engagement“, a tymczasem już pogodzeni z prymasem, w bezpośredniej komunikacyi z Leszczyńskim, sami dopiero co na sejmikach byli agitowali najmocniej za ekskluzyą cudzoziemca i elekcją Piastowską. A czynili to nietylko z przyjaźni dla prymasa, albo z miłości dla Stanisława, lecz w innych jeszcze, własnych, najtajniejszych intencyach. „Czartoryscy — donosił do Drez-

na przenikliwy Wackerbarth—umieją tak politycznie się zachowywać aby służyć trzem panom naraz: Francyi, Saksonii i sobie“, Ta ostatnia okoliczność jest zewszeczmiar zastanawiającą. Familia już w tym czasie przemyśliwa o słuzeniu sobie samej, w najobszerniejszem znaczeniu, w ten mianowicie sposób, ażeby samej sobie otworzyć przystęp do tronu. W tej-to właśnie myśli ubocznej, a już odtąd dla nich naczelnej, Czartoryscy tak gorliwie popierali na sejmikach zasadę Piastowską. Istotnie pewną jest rzeczą, iż już przemyślivali w szczególności o kandydaturze ks. Augusta, wojewody ruskiego, jakkolwiek zresztą, jak się zdaje, i sam Poniatowski pieścił na własną rękę widoki na koronę. Jest to fakt niepośledniej doniosłości dziejowej. Tutaj-to, w tem bezkrólewiu, pomiędzy zgonem Augusta II a powtórny obiórem Leszczyńskiego, mieści się fatalna data narodzin owej fatalnej królewskiej imprezy Czartoryskich, która będzie w trzech z kolei pokutowała pokoleniach, podniesie i przygasi świetność ich domu, i obróci się na niepowetowaną szkodę ich samych i Rzpltej.

Otwarty został tymczasem, pod laską Massalskiego, pisarza w. l., zdeklarowanego sługi Potockich i stronnika Leszczyńskiego, sejm konwokacyjny. Znieprawiony przez posła francuskiego wszelkimi środkami przekupstwa, sterowany był mocną ręką prymasa, przy pomocy wszelkich środków podniecenia patryotycznego i gorliwości religijnej. Stanęła oplakana uchwała przeciw dyssydentom: „jako w tem prawowiernem państwie *exoticos detestamur cultus*“, przeto wyrzuceni dyssydenci z izby poselskiej, trybunałów i kommissyi, urzędów koronnych i litewskich, wojewódzkich, ziemskich i grodzkich. Wreszcie na ostatniej sessyi sejmowej stanęła najdobitniejsza uchwała, wyłączająca cudzoziemca. „*Pro firmamento et perennaturo in posteritatem fundamento publicznego szczęścia, zakładamy sobie, i przy tej Generalnej Konfederacyi poprzysiężonej fide, honore et conscientia* obowiazujemy się, że przyszłego Króla Imci Pana Naszego, prawdziwego *natione* Polaka i Rzymskiego Katolika, *ex utrisque parentibus orthodoxe fidei* urodzonego, żadnych państw i prowincyi dziedzicznych i wojsk swoich za granicami krajów Naszych niemającego, z królową katoliczką, a nie innej, strzeż Boże, religii, obierzemy, innych zaś *etiam indigenatu* zaszczycających się, nominować, promulgować, do tronu promować nie będziemy“. To było wyraźne aż nadto. To mierzyło wyraźnie i bezpośrednio w Augusta III, który wprawdzie miał indygenat z urodzenia, jako królewicz polski, i z prawa, jako właściciel dóbr w Koronie, był prawowiernym katolikiem i żonaty był z ka-



tolicką, ale władał dziedzicznym elektorstwem saskiem i był urodzony z matki, księżniczki Baireuth, wyznającej wiarę protestancką. Rzezona uchwała sejmowa równała się zatem bezwarunkowemu wyłączeniu go od tronu. W dodatku, ażeby przydać jej tem większą wagę i niewzruszoność, wymyślono dla niej, niezależnie od ogólnej przysięgi konfederackiej, wyjątkową nadto sankcyę i zażądano na nią wyjątkowej, osobnej przysięgi wszystkich sejmujących. Była to chwila niezwykła i przejmująca. Ogromna sala sejmowa natłoczona była po brzegi. Pośrodku zgromadziły się obiedwie połączone izby; dokąła na galeryach, gęstym rzędem stanęli arbitrowie. W powietrzu, ponad ciężkim oddechem tłumu i upałem dnia majowego w zamkniętej sali, unosiło się powszechne napięcie i gorączka. Jasna była w scisku zupełna Stanisławowców przewaga, jasnym oraz ułożone mocne ich postanowienie. Wszystko z góry najrzęczniejszy inscenizowane przez prymasa. Ale w tej chwili doniosłej, brzemiennej w następstwa, on sam został porwany impetem własnego dzieła. Trzymając w lewicy krucyfiks, prawicę wznosząc ku niebu, zaprzysiął pierwszy, głosem wzruszonym i donośnym, iż nikogo, wbrew przyjętej uchwale, ani obierać, ani nominować nie będzie. Widok przysięgającego starca prymasa powszechne wywołał uniesienie. Kilka nieśmiałyh protestów, podnoszących się z kątów sali, zakrzyczano gwałtownie. Nikt naprawdę przeciw się nie śmiał. Przysięgę prymasowską powtórzyli wszyscy biskupi, z tym jeszcze dodatkiem, iż „ani *primatiale jus*, broń Boże, gdyby do scyssyi w Rzpltej przyjsć miało, przez swoją osobną nominacyę *violabo*, i przeciwko takiemu, który-by ten święty obowiązek chciał psować, powstanę i onego za nieprzyjaciela ojczyzny mieć będę.“ Za duchowieństwem przysięgli w należnym porządku kolejnym, ichmoście panowie senatorowie, ministrowie i poslowie. Przysięgli wszyscy, bez żadnego wyjątku, i przysięgę potwierdzili podpisem na akcie konfederackim. Zarazem dla tem większej jeszcze mocy, w uchwale konfederackiej dołożono prawo, ażeby podług tej samej roty składano tę samą przysięgę po województwach, ziemiach i powiatach, na sejmikach relacyjnych, w ręce senatorów województwa albo marszałków sejmikowych, ażeby tym sposobem cały naród szlachecki tą jedną walną przysięgą nierozłącznie związać i zjednoczyć.

Uczyniony więc został krok stanowczy i nieodwołalny. Wzniesiona nieprzebyta przegroda pomiędzy tronem a Sasem. Spalone ostatnie mosty pomiędzy Augustem a Rzpltą. Owóz, od tego kroku nikt się w sejmie nie uchylił. Przysięgli wszyscy, jak jeden człowiek

Augustowcy porówno ze Stanisławcami. Stronnicy dworscy, którzy wczora dopiero w ambasadzie saskiej najpiękniejsze dawali obietnice, naraz w sali sejmowej zgoła zmiękli i ulegli co do jednego. Co prawda, niektórzy odważniejsi, a raczej podstępniejsi, dla uratowania pozorów i wytłómaczenia się w następstwie przed swoim dobrodziejem elektorem, w tej samej chwili, składając przeciw niemu narzuconą przysięgę, dodali do niej pewne zastrzeżenia, założyli tak zwane „salwy“. Tak Lipski, główny reżyser Augustowski, wprawdzie przysiągł pokornie najpierwszy po prymasie i najpierwszy podpisał się na akcie konfederackim, a nawet innych do przysięgi i podpisu namawiał, aby mieć więcej współników i tem łatwiej z winy wspólnego odstępstwa oczyścić się przed ambasadą saską; ale za to dodał sakramentalne wyrazy „*salvis omnibus constitutionibus de libera electione*“. Za przykładem sprytnego biskupa krakowskiego wielu innych senatorów i posłów, zyskanych dla Sasa, a nie ważących się stanąć w jego obronie, chwyciło się tej dwuznacznej taktyki, t. j. złożyło przysięgę przeciw obiorowi cudzoziemca, dodając ogólnikowe zastrzeżenie o „zachowaniu wolnej elekcji“. Tak poradzili sobie wojewodowie: witebski, podlaski, podolski; tak z posłów: Dembowski płocki, Siedlnicki podlaski, Mączyński sieradzki, Kalkstein i Płaskowski chełmiński, Grabski, Skrzyński i Skarbek łęczyccy, i inni. Jednakowoż, nie może być dwóch zdań o istotnej wartości tego przemądrego, a nawskroś lichego i niencziwego wybiegu. Trzeba nasamprzód wiedzieć, czem właściwie były na ogół owe rzekome zastrzeżenia według praktyki owoczesnej. Trzeba wczytać się uważnie w te „salwy“, gdzie z reguły znajdowały się wszystkie rywalizacye dzielnicowe, wszystkie partykularne zatargi, wszystkie prywaty. Tak więc, między innymi, gdy konwokacya niniejsza, w przewidywaniu wyboru Stanisława, przywróciła, najsluszniej zresztą, przyszlemu królowi prawo swobodnego rozdawnictwa pieczęci, ten sam Lipski, przewidując, że w ten sposób nienawistnemu Żaluskemu może dostać się kanclerstwo z rąk Leszczyńskiego, założył w tym względzie szczególnym, w tym samym akcie konfederackim, bezwarunkową „protestacyę solenną“, — kiedy znów Żaluski, godząc w rywala, dodał do swojej przysięgi ostrą salwę przeciw nieprawemu połączeniu pieczęci z biskupstwem krakowskim. Skoro zatem chodziło o własny interes osobisty, umiano zdobywać się na zastrzeżenia wyraźne i stanowcze; skoro natomiast chodziło o interes dobrodzieja Sasa, czyli właściwie o najwyższy interes Rzpltej. ograniczono się do ogólnikowej, dwuznacznej, a naprawdę nic nie mówiącej salwy o „wolnej elekcji.“ Cóż bowiem miał i mógł znaczyć w rzeczy samej taki dodatek, warujący „wolną



elekcyę“, a przyczepiony do przysięgi, ścieśniającej wolność elekcyjną w wyłącznych granicach kandydatury Piastowskiej? Jeśli ten szczególny dodatek mógł wogóle posiadać jakiegokolwiek prawne znaczenie, to chyba tylko takie, że—w niczem zresztą nie osłabiając raz wyrzeczonej ekskluzyi cudzoziemca, Sasa,—warował obok Leszczyńskiego równe tytuły do korony dla każdego innego pretendenta Piasta. To też, w istocie, okazuje się, że ową tanią salwę Lipskiego przyswoili sobie natychmiast i do swoich dołączyli przysięg najrozmaitsi domorośli pretendenci, zupełnie bez względu na to, w jakim wtedy byli stosunku względem dworu saskiego, i że znachodzi się ona również w dosłownem brzmieniu przy podpisie Wiśniowieckich, Lubomirskich a nawet, co najciekawsza, przy podpisie Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego, który przecie napewno nie był Augustowcem ani towarzyszem broni biskupa krakowskiego. Skąd oczywisty płynie wniosek, iż wszystkie te sławne salwy konwokacyjne popleczników saskich, wyzyskane później dla uprawomocnienia obioru Augusta III, nie mieściły w sobie żadnej istotnej mocy, ani nawet intencji prawnej, i nie były w rzeczywistości niczem innem, jeno zwyczajną *reservatio mentalis* krzywoprzysięstwa. Rozumieli to doskonale przenikliwsi i lepiej z prawem obyci Stanisławcy, Tarłowie i kilku innych, i odrazu, warując nietykalność zaprzysięganych ustaw konwokacyjnych, pośpieszyli ze swojej strony założyć jasne i dobitne salwy nieważności przeciw dwuznacznym, urojonym, albo zgola niedorzecznym salwom stronników saskich. Zresztą, dodajmy, znaczna część tych stronników nie śmiała nawet uciekać się do wątpliwego wybiegu, jakim się okrył Lipski. Wszyscy inni biskupi, sprzyjający dworowi, a wśród nich Hozyusz, który miał mianować Augusta III, ministrowie, na pozór zyskani dla Drezna, jak Mniszech, najruchliwsi działacze sascy w izbie poselskiej, jak Małachowski, poseł sieradzki, dali poprostu, bez żadnego zgola zastrzeżenia, bezwarunkową przysięgę na ekskluzyę Sasa. Koniec końcem, tak czy owak, przysięgli wszyscy. Prawda: później będą bronili się przymusem. Będą się powoływali na brzęk szabel, na okrzyki zgorączkowanego tłumu, na groźby rozsiekania albo wyrzucenia za okno. Ale na tę próżną, spóźnioną obronę trafnej udzieli odprawy wymowny manifest młodego Tarły. „A czy nie pomna,—trafnie odezwie się starosta jasielski, — że na sejmie 1726 roku jeden poseł usłyszał od izby, że go za okno wyrzucić trzeba? A byłże wyrzucony oknem? Nie pokazało się na nim, że daleko od słów do czynów? Czy za to od sejmu 1726 roku upadła kontradycytowania się wolność? Kto posłom zawiąże gębę, że czasem na zdrającą oczywistego krzykną? Tysiącznemi razy trafia się

to na sejmach i sejmikach... A ponieważ przysięga ta, jako allegują teraz, wynalezioną jest na zgubę i ruinę ojczyzny, czemuż tedy między zelantami tymi, za jakich się głoszą, nie znalazł się żaden, czemu nie skupili się wszyscy, żeby choć i z jakim azardem, przeciw przysiędze powinną w należnym miejscu wobec Stanów uczynić protestację? Kogo poczciwość, staropolska cnota, serce i rozum rządzi, czy nie powinien był odważyć się i na to dla upadającej ojczyzny?" Na te proste słowa nie masz repliki. Niezawodnie, przysięga, znięta narzucona przez prymasa, była aktem gwałtownym, wyjątkowym, niebezpiecznym. Niezawodnie, w tym akcie był ukartowany nacisk, był umyślny przymus moralny, był przygotowany zawczasu terroryzm opinii publicznej. Ale tembardziej trzeba było się oprzeć, jeśli się ten akt uznawało za przeciwny dobru publicznemu. Nikt się nie oparł, bo dla pieniędzy, ani nawet dla dygnitarstw nikt się nie ważył nadstawić karku. Nikt się nie oparł z Augustowców, bo nikt z nich czystem i wielkiem sumieniem nie stał na straży dobra i zbawienia Rzplitej.

Fatalny wynik konwokacyi niepomalu stropił pełnomocników saskich w Warszawie. Ale nie stracili nadziei. Teraz wszystko zależało od niedopuszczenia przysięgi na ekskluzyę na sejmikach relacyjnych. Tembardziej zatem zależało na pozyskaniu ludzi wielkich i małych. Sasi znowuż spróbowali zmiękczyć prymasa, doręczyli mu cenny krzyż dyamentowy wraz z łaskawem pismem elektora, lecz żadnego nie osiągnęli skutku. Na wszystkie strony sypnęli pieniędzmi. Kanclerzyna Wiśniowiecka otrzymała 10,000 talarów, wojewoda podlaski 80,000, Bieliński, marszałek w. k., 8,300 dukatów, Dunin, kasztelan radomski, 2,000, tyleż wziął Malachowski, starosta opoczyński, szwagier Dembowskiego i przez niego protegowany, śmiały, zręczny człowiek, używany odtąd do najryzykowniejszych robót i do świetnej powołany karyery, posunięty, niestety, w końcu aż do wielkiej pieczęci koronnej, a który tymczasem, korzystając z zamętu bezkrólewia, z tytułu jakichciś rzekomych pretensyi do skarbu Rzplitej wybierał sól zajazdem z żup wielickich. Pomniejsze summy rozdawano między posłów: Józef Bukowski, chorąży sanocki, poseł ruski, dostał 600 dukatów, Jan Gurowski, starosta obornicki, poseł kaliski, 2,000 talarów, w jednych tylko Prusach Królewskich rozdano naraz 16,000 dukatów. Obdarowani brali pieniądze za formalnemi rewersami, a brali zazwyczaj bądź pod pozorem swoich dawniejszych „pretensyi“ do skarbu bądź też przyszłych „kosztów“ na agitację. Niektórzy istotnie wydawali sporo na dalsze korrupcyje, a przeważnie na traktamenty;



większość jednak, jak rzekliśmy, ile sądzić można, wprost chowała do kieszeni i „pretensye“, i „koszta“. Wszakże na tych środkach podziemnych niepodobna było poprzestać. Niepodobna było ludzi się co do stanu opinii publicznej, najwidoczniej sprzyjającej Leszczyńskiemu ze szczerego i powszechnego przekonania. Trzeba było koniecznie podziałać perswazyą, a więc przede wszystkim wymową drukowanego słowa. Owóż, dotychczas pod tym względem ogromna przewaga była po stronie Stanisławców. Monti zawczasu był wykupił wszystkie drukarnie warszawskie. Nawet tłocznię pijarską, tj. urzędową drukarnię Rzpltej, kupił za tysiąc dukatów. To też dotychczas kraj był zalewany wyłącznie pamfletami na rzecz Stanisława a przeciw Augustowi. Co gorsza, Sasi nietylko nie mieli pod ręką tłoczni drukarskich, lecz nawet nie mieli autorów. Grabowski, chorąży czerski, napisał dla nich „Rozmowę dwóch szlachty między sobą, braci rodzonych, obywatelów ziemi warszawskiej“, gdzie bratu „domatorowi, zawsze na roli gospodarstwa pilnującemu“, wymownie tłumaczy brat „dworzanin, za towarzysza służący i lepiej wypolerowany“, jak znaczne położył zasługi dla kraju król nieboszczyk, i jak znaczne są racye, aby obrać po nim syna; lecz ten elaborat tak był lichy, że nie zdecydowano się puścić go w obieg publiczny. Niewiele lepiej przedstawiały się podobne próby pióra Dembowskiego. W tym kłopotcie niespodzianie przyszedł z pomocą posłom saskim człowiek nieznanymi a niepospolity, pijar, Konarski Stanisław. Był to jeszcze Konarski z doby Klemensa XII, początkujący, szukający drogi i szczęścia, już duża głowa, jeszcze mały charakter. W tej chwili wychodząc dopiero na szerszą widownię świata, był tylko kondotyrem pióra. Trzeba mu lat kilkunastu, trzeba doświadczenia i dojrzałości, aby wyszedł na wielkiego obywatela. Jego rola i położenie dotychczas dyło dwuznacznem. Blizko spokrewniony z Tarłami, ale sam ubogi, był gubernierem nieletnich dzieci Jerzego Lubomirskiego, wojewody sandomirskiego. Był metrem pańskim, i trochę z tego zawodu pozostało aż do końca w kierowniku pańskiego konwiktu. Wcześniej jednak obok gubernierki wdał się w politykę, wciągnięty do niej najpierw przez Poniatowskiego, który pierwszy poznał się na jego talentach. Dla Poniatowskiego też napisał najpierwszą swoją rzecz polityczną, nader ciekawą „Rozmowę pewnego ziemianina ze swoim sąsiadem“. To pismo ukazało się z druku w styczniu 1733 roku i było przeznaczone na sejm ówczesny, a mianowicie miało uzasadnić oddanie wielkiej buławy Poniatowskiemu. Były wprawdzie i inne sprawy poruszane dowcipnie i rozsądnie w tym świetnie napisanym pamflecie, ale jak szydło z worka dobywała się co krok apo-

logia przyszłego hetmana. Szeroko wyluszcza ciemnemu sąsiadowi oświecony ziemianin wspaniałe dzieła wojenne i publiczne Poniatowskiego; cytuje własne słowa króla Jana III, który jakoby młodego Poniatowskiego, powracającego z obcych krajów, stawiał za wzór wszystkim polskiej młodzieży i wielką przepowiadał mu przyszłość; czyniony mu zarzut wykradzenia w Sztokholmie aktu abdykacji Augusta II nazywa „wierutną bajką“. „choćby to zresztą—dodaje—honorowi jego nie szkodziło bynajmniej“; daje wreszcie interlokutorowi „jako wiatyk na drogę, książkę ciekawą, która wiele razy Poniatowskiego pięknie wspomina“, tj. „Historję Karola XII“, przez pana Voltaira świeżo właśnie wydaną. Przedewszystkiem zaś, obok tych górnych pochwał, usłużny pamphlecionista z rzadkim sprytem sili się utożsamić sprawę buławy Poniatowskiego z powszechną sprawą całej szlachty. „Podsędkowstwa, wójtowstwa, stolnikowstwa, burgrabstwa, cześnikowstwa,—tak każe przemawiać z goryczą swojemu ziemianinowi,—nam miernej szlachcie; buławy, krzesła, ministerya. samym tylko Ichmościom jako Panom z Panów należą, im to jest własne, im to dziedziczne. Rozumieją, że zamiast naturalnej krwi mają w żyłach sam jakiś likwor z purpur wycedzony. Nas szlachtę odsadzają i zdaleka mieć chcą od łask królewskich i smacznych tych w Rzpltej książków... To też innej racyi nie mają, dla której-by ich szczęście Poniatowskiego bardziej korciło, jedno, że jest tylko rodowity szlachcic, że tylko ziemianin, że nie pan z panów. To nie jest samego Poniatowskiego interes, ale całego rycerskiego stanu, tak na pogardę idącego, że nas w konkurencyi ze sobą i cierpieć nie chcą“. Tak piorunował z ukrycia, tak na obstalunek a bezimiennie pisał przeciw panom giętki dyalektyk, który sam jeszcze wtedy im się wysługiwał, i który niezawodnie sam rozumiał najlepiej, iż jego argumentacja była sztuczna i tumaniąca, iż sprawiedliwe i ważne jej założenia ogólne nic nie miały do czynienia z jej właściwym apologetycznym wnioskiem, iż Poniatowski był czemś mniej i czemś więcej od prostego szlachcica, iż w stosunku do zwykłej szlachty był takim samym panem, jak jego szwagrowie Czartoryscy i jego przeciwnicy Potoccy, iż chodziło tutaj o zatarg nie pomiędzy oligarchią a szlachtą, lecz pomiędzy dwiema oligarchiami. To było na początku roku. Teraz, po paru miesiącach zaledwo, wnet po konwokacyi, Konarski potajemnie zgłosił się do ambasady saskiej w Warszawie, ofiarując swoje usługi pisarskie. Zwrócił wnet uwagę na sprawę w tej chwili najważniejszą, na sprawę przysięgi, którą jakimkolwiek sposobem należało unieważnić lub przynajmniej podważyć w opinii publicznej. Pomógł naprzód Dembowskiemu w ułożeniu pamfletu „List poufny“, potem sam napi-



sał bezimiennie „Refleksye przyjaciela do przyjaciela,“ gdzie z niepospolitym dyalektycznym talentem, potrójną bronią: prawną, teologiczną i polityczną, uderzył na akt przysięgi konwokacyjnej i wprost zaprzeczył mu wszelkiej mocy obowiązującej. Te rzeczy natychmiast z polecenia posłów saskich drukowane były we Wrocławiu na tłoczniach austriackich, i w znacznej liczbie egzemplarzy sprowadzone do Warszawy. Ostre pióro Konarskiego wywarło silny efekt i dotkliwie dało się we znaki przeciwnikom. Dokoła jego anonimowej broszury, obficie rozrzucanej przez ambasadę saską, wielka wszczęła się wrzawa. Prymas osobiście czuł się głęboko dotkniętym i chwycił się środków gwałtownych. Pamflet przeciw przysiędze, wyrokiem sądu kapturowego warszawskiego, uznany za zbrodniczy „*pasquinatus libellus*“ i skazany na spalenie, z całą uroczystością, wobec licznie zgromadzonej gawiedzi, spalony został na stosie ręką kata na rynku staromiejskim. Nawet samym pełnomocnikom elektorskim ta sprawa nie wyszła na sucho: nie oszczędził im przykrości rozgniewany prymas, koniecznie chciał do sądu pociągnąć Wackerbartha za rozdawnictwo występnego pisma, i zaledwo przez wstawiennictwo wszystkich innych posłów cudzoziemskich, nie wyłączając nawet Montego, dał się powstrzymać od kroków repressyjnych, przeciwnych uświęconej zasadzie nietykalności poselskiej.

Ruchliwa czynność przedstawicieli saskich w Warszawie ożywiła nadzieje dworu drezdeńskiego. Już w początkach czerwca August zawiadomił posłów, że gotów jest nawet przybyć do Polski, jeśli jego obecność okaże się niezbędną. Stawiał tylko warunek, ażeby uprzednio z zaproszeniem zgłosiła się do niego, do Drezna, deputacya polska, z ludzi dostatecznej powagi i wpływu. Skądinąd wnioskować można, że jeszcze w owym czasie nie tracił z oczu dawnych widoków ojcowskich w celu wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce. Zawiadamiał poufnie Wackerbartha, że i nadal stoi niewzruszenie przy swoim wielkim planie, „*mon grand dessein*“, dla którego jedynie zdobywa się na wielkie poświęcenia, związane ze sprawą elekcyjną. Niebawem zdecydował się na krok bardzo ryzykowny: wydał w ręce Unruhowi, dla użytkowania w województwach pruskich, pisemną sekretną „deklaracyę na rzecz dyssydentów“, obiecującą wziąć ich w obronę przeciw ostatnim uchwałom konwokacyjnym warszawskim. Co zaś może jeszcze bardziej godnem jest uwagi, to ta okoliczność, że równocześnie z Wiednia działano w tym samym kierunku w sprawie dyssydenckiej, i że cesarz Karol, przez swego rezydenta w Gdańsku, Rosenberga, w największej tajemnicy wspierał radą i pieniędzmi projekt konfederacyi dyssydenckiej w Prusach Królewskich, byle tylko

przyłożyć się do rozbitcia sukcesów sprawy Stanisławowskiej na konwokacyi warszawskiej. Wszystkie te różnostronne działania istotnie nie pozostały bez skutku. Sejmiki relacyjne, po konwokacyi w ciągu lipca odprawione, wypadły w wielu miejscach bardzo burzliwie. Dunin i Małachowski wywołali scyssyę gwałtowną w duchu saskim w województwie Sandomierskiem. Wprawdzie Tarłowie, bardzo mocni w tej części kraju, wzięli ostatecznie górę, ale znaczna część szlachty, zwłaszcza z powiatu Opoczyńskiego, wyszła z sejmiku i zaniósła protest formalny przeciw przysiędze na ekskluzyę cudzoziemca, jako pogwałceniu swobód elekcyjnych. Podobnież doszło do scyssyi w województwach Sieradzkim i Łęczyckim, gdzie w każdym po dwa powiaty hurmem odmówiły przysięgi. To samo powtórzyło się w Mazowieckim: mimo wszelkie zabiegi wpływowego tutaj wojewody Poniatowskiego, połowa sejmikujących, ziemie: Ciechanowska, Zakroczymska, Nurska, Wyszogrodzka, oparły się przysiędze. Podobny był wynik nawet w województwie Ruskim, dzięki żywej agitacyi saskiej zręcznego Cetnera, a z niemalym despektem wojewody ruskiego, ks. Augusta Czartoryskiego. Na sejmiku podlaskim, w Drohiczyźnie, wojewoda Michał Sapieha, razem z Siedlnickim i Branickim, chorążym w. k., na czele adherentów saskich gromadnie opuścili sejmik i w kościele franciszkańskim zawiązali konfederacyę wojewódzką w obronie wolnej elekcyi przeciw ścieśniającym uchwałom i przysięgom konwokacyjnym, poczem znówuż w te pędy tutejsi Stanisławcy w kościele jezuickim zawiązali przeciwną konfederacyę przy konstytucyi konwokacyjnej i elekcyi Piastowskiej. Tak samo poszły rzeczy w Wielkopolsce. W Chelmińskiem wojewoda, Jan Czapski, podniósł konfederacyę w interesie saskim, naprzeciw województwu Malborskiemu, które złożyło przysięgę na ekskluzyę. W Brzeskiem-litewskiem Jan Sapieha, kasztelan trocki, i Pocięj, strażnik l., doprowadzili do scyssyi na rzecz Augusta. W województwie Nowogrodzkim i Mińskiem dzięki zabiegom Radziwilla i Zawiszy, nie złożono przysięgi wcale. Jednem słowem, na wszystkich krańcach Rzpltej tworzył się szybko rozgardyasz nierozwikłany i podnosiło się widmo wojny domowej.

Wszakże, jakiegokolwiek były postępy akcyi saskiej wewnątrz kraju, jasnem było, iż nie ona rozstrzygnie o losach bezkrólewia, lecz przedewszystkiem akcyą zagraniczną. Ta w dalszym ciągu z całym natężeniem była popieraną przez dyplomacyę dworu drezdeńskiego. Zgoda elektora z Austryą, jak widzieliśmy, już była w zasadzie ubitą z końcem marca i początkiem kwietnia. Chodziło teraz o zgodę z Ros-



szą. Rząd wiedeński, zaniepokojony nie na żarty wynikiem konwokacji warszawskiej i namacalną już groźbą zwycięstwa Francyi i Stanisława, ożywił się teraz nadzwyczajnie i podjął się skwapliwie pośrednictwa pomiędzy Dreznem a Petersburgiem. Za pośrednictwem Wilczka zaczęły się w Warszawie rokowania traktatowe pomiędzy posłami saskimi a dwoma Loewenwoldami. Ułożono projekt potrójnego do spółki planu działania. Sam cesarz, z uwagi na własne niebezpieczeństwo ze strony Francyi, uchylał się wprawdzie od obszerniejszej pomocy zbrojnej w Rzpltej, lecz obiecywał pełne poparcie dyplomatyczne i pieniężne. Natomiast pomoc czynną wojsk rossyjskich uznano za niezbędną. Ponieważ sejm elekcyjny wyznaczony został na konwokacji na koniec sierpnia, z czasem trwania nie dłuższym ponad ordynaryjny, tj. sześciotygodniowy, zatem ułożono, że wojska rossyjskie na jakie dwa do trzech tygodni przed tym terminem, czyli już w pierwszych dniach sierpnia, powinny wkroczyć do Rzpltej drogą na Smoleńsk i Rygę, i w każdym razie przed początkiem samej elekcji stanąć pod Warszawą. Równocześnie i wojska saskie, w liczbie czterech tysięcy jazdy i ośmiu tysięcy piechoty, mają być gotowe do wymarszu do Polski. Umówiono także, że do wspólnej kasy elekcyjnej Loewenwoldów i Wilczka, wynoszącej 72 tys. dukatów, elektor przystępuje w równej części, to jest dodatkowo z sumą 36 tys., niezależnie od jego postronnych wydatków na własną rękę. Rozdawnictwo wakansów pozostawiono uznaniu elektora, obowiązując go atoli w ogólności do uwzględnienia rekomendacji obu alliantów. W końcu przychodziły właściwe nagrody saskie dla obu sprzymierzeńczych protektorów. Elektor raz jeszcze najuroczystszym sposobem potwierdził Sankeyę Pragmatyczną cesarzowi Karolowi i obiecywał całym swoim wpływem popierać ją w Rzeszy niemieckiej. Z drugiej strony carowej Annie przyznawał tytuł cesarski w imieniu Saksonii i obiecywał w imieniu Rzpltej opiekę dla dyzunitów polskich, oraz dogodne uregulowanie spornych granic polsko-rossyjskich. Nareszcie w najważniejszym artykule dodatkowym projektowanego układu zawarowanem zostało wyraźnie, iż Kurlandya, po śmierci obecnego księcia, ostatniego bezdzietnego Kettlera, nie będzie wcieloną do Rzpltej, jak tego wymagało prawo, lecz będzie pozostawioną i nadal jako oddzielne lenno wieczyste i oddaną, tytułem dziedzicznym, nowemu księciu, którego obiorą stany kurońskie, a który okaże się „dogodnym cesarzowi, Rossyi, Prusom i Rzeczypospolitej“. Znaczyło to inemi słowy, iż Kurlandya oddana będzie Birenowi. To miała być główna, namacalna zapłata za elekcję Augusta III.

Projekt powyższy, ułożony przez posłów w Warszawie, niezwłocznie posłany został dla ostatecznego zatwierdzenia do Dreżna, Wiednia i Petersburga. Rzeczy jednak nie poszły tak gładko, jak się spodziewano. W samym Dreżnie wynikły pewne trudności i skrupuły. August wahał się brać na siebie uciążliwe zobowiązania w imieniu Rzpltej, których następnie, być może, nie potrafił-by wykonać. Niepokoiła go także sprawa własnej akcyi zbrojnej w Rzpltej: miał jeszcze w żywej pamięci krwawą klęskę tarnogrodzką, pragnął jak najmniej narażać wojska saskie i wprowadzić je do Polski w jak naj-szczuplejszej liczbie i nie wcześniej, jak na poparcie dokonanej już swojej elekcji. Wreszcie, w projektowanych paktach z cesarzem i carową był punkt jeden, który wyraźnie szedł w poprzek ówczesnych jego intencji: była tutaj, między innymi, mowa o zachowaniu swobód i wolności Rzpltej, co poniekąd równało się gwarancji polskiego nierządu i krzyżowało wszelkie próby powrotu do ojcowskiego *grand dessein* w duchu naprawy monarchicznej. Elektor spróbował potargować się nieco w Wiedniu i Petersburgu. Szczególnie ze strony Rosyi, którą przecież hojnie nagradzał Kurlandją, upominał się o ustępstwa w innych rzeczach. Chciał nie wiązać sobie zanadto rąk projektowanym traktatem sprzymierzeńczym sasko-rosyjskim, chciał ograniczyć go do lat sześciu, pominąć w nim wzmiankę o „swobodach“ polskich, zaś przedewszystkiem chciał opóźnić termin wejścia wojsk saskich do Rzpltej i obniżyć ich kontyngens, a natomiast przyspieszyć i liczebnie wzmocnić obowiązkową interwencję zbrojną rosyjską. Wszakże te targi saskie nie zdały się na nic. W Petersburgu, dokąd koniuszy, Loewenwolde, dla tem większego pośpiechu, osobiście był zaniósł projekty warszawskie, nietylko nie było mowy o jakichkolwiek ustępstwach, lecz cały projekt warszawski i cała negocjacja warszawska omal nie zostały utopione doszczętnie, a zarazem omal zgoła nie utonęła cała kandydatura elektora. Przeciwnicy Augusta nad Newą nie zaspali sprawy. Münnich z Magnanem w dalszym ciągu mocno popierali u carowej interesa Francyi i Stanisława. Z drugiej strony, Ostermann z Mardefeldem, popychani z Berlina, gdzie z coraz większą goryczą oplakiwano brak ratyfikacyi „paktów“ Loewenwoldowych, podkopywali u carowej interesa Austrii i związanego z nią obecnie Augusta. Przebiegły Ostermann wyniósł na stół wyższą rację stanu, odwołał się do wielkich tradycyi Piotra Wielkiego, do wyraźnego brzmienia i ducha traktatów i recesów prusko-rosyjskich z czterech ostatnich panowań, do tej oczywistej, kardynalnej zasady politycznej, iż nie należy dopuścić wzmocnienia rządu i rządności w Rzpltej, zatem nie należy tam na tron dopuścić możnego księcia eu-



dzoziemca, w żadnym razie nie należy dopuścić faktycznej successyi elektora saskiego, będącego królewiczem polskim, a natomiast należy koniecznie oddać koronę polską w ręce bezsilnego i zależnego Piasta, który za udzieloną mu protekcyę wyplaci się najlepiej przez utrzymanie i większe jeszcze utrwalenie zbawiennej dla sąsiadów anarchii. Tym sposobem, unikając wszelkich pozorów związku z francuską sprawą Leszczyńskiego, chytry wicekanclerz, z najogólniejszego stanowiska samych tylko interesów czysto rossyjskich, tem śmieiej gardłował za elekcją Piastowską, przyczem na kandydatów zalecał bądź Sanguszkę, bądź Lubomirskiego, bądź którego z Wiśniowieckich. Głos Ostermanna, oparty na uświęconych już pojęciach polityki rossyjskiej, a złączony nadto z pokrewnem zdaniem Münnicha; nie przeminął bez wrażenia na carowej. Przez jedną chwilę sprawa saska mogła się wydawać zupełnie przegraną. Ale strwożeni Loewenwoldowie, których los już nazbyt z tą sprawą był związany, użyli wszelkich sposobów, aby ją uratować. Wysunęli faworyta Birena, zainteresowanego bezpośrednio ze względu na Kurlandyę, poróżnili go nieodwołalnie z Münnichem, doprowadzili do gwałtownej sceny z feldmarszałkiem, uczynili osobistym rzecznikiem sprawy Augusta przed carową. Na niebezpieczną, bo trafną, argumentacyę Ostermanna, której odparować nie było sposobu, skuteczne znaleźli lekarstwo: uderzyli w strunę najczulszą i troskliwie zwrócili uwagę carowej na tę podejrzaną okoliczność, iż tak zwani Piastowie, to jest wielcy panowie polscy: Wiśniowieccy, Sanguszkowie, Czartoryscy, wywodzący się z dawnych rodów książęcych litewskich, są spokrewnieni z Trubeckimi, Golicynami, Kurakinami i innemi możnemi rodami tutejszych bojarów, iż zatem którykolwiek z nich, zostawszy królem polskim, mógł-by łatwo nadużyć swojej władzy dla wsparcia niebezpiecznych uroszczeń swoich kumów rossyjskich. To był dobitny argument *ad hominem* dla Anny Iwanówny, która ledwo co zdążyła pozbyć się narzuconych jej więzów oligarchicznej kurateli staro-moskiewskiej i obalić bojarские rządy Dolhorukich. W dodatku, w tej samej chwili, zręczne insynuacye Loewenwoldów, najpiękniej potwierdzone i ułatwione zostały z Warszawy ze strony samych Stanisławców. W tym-to bowiem czasie, prymas, nie mający żadnego pojęcia o stosunkach petersburskich, wybrał się z wyprawieniem do carowej solennego póselstwa, ani mniej, ani więcej, jak tylko w celu obalenia Loewenwoldów i wszystkich rządzących tam Niemców, oraz w celu pozyskania tym sposobem pomocy rossyjskiej dla Stanisława. Wysłany z tą missyą nadzwyczajną poseł Rudomina, podkomorzy braclawski, oprócz urzędowych listów wierzytelnych, otrzymał na drogę poufne pismo prymasa do

carowej, pełne skarg na koniuszego, Loewenwolda, oraz kapitalny list sekretny Wiśniowieckiego do starego Trubeckiego, gdzie nieoszacowany książę powoływał się wymownie na wspólne pochodzenie ze wspaniałej krwi Gedymina, gorzko użalał się na Loewenwoldów, siarczyście powstawał na gospodarujące w Rosyji plemię niemieckie, i wreszcie na wszystko zaklinał Trubeckiego, jako przeznaczonego w Moskwie „senatora“, aby wziął do serca wspólną sprawę dwóch „bratnich narodów słowiańskich“, aby nie pozwolił wysyłać wojsk rosyjskich do Polski, aby najlepiej sam, w miejsce obcych Niemiaszków, podjął się przyjacielskiego w Warszawie poselstwa. Naturalnie, że dosłowną kopię tych „sekretnych“ listów natychmiast w drodze przekupstwa wydosłała ambasada saska w Warszawie i niezwłocznie zakommunikowała do Petersburga. Można sobie wyobrazić efekt, wywołany tam podobnym odkryciem, powszechną złość wszystkich rządzących Niemców, mściwe w szczególności rozjuszenie Birena i Loewenwoldów, niezadowolenie samej carowej, która ostatecznie stała przedewszystkiem na swoim otoczeniu niemieckim, a miała tutaj dowód czarno na białem, iż kumowie polsko-rosyjscy już zawczasu poza jej plecami zaczynają porozumiewać się pomiędzy sobą w duchu zgoła niepożądanym. Piastowskie kandydatury, zalecane przez Ostermanna, odrazu spadły zupełnie w cenie. Szala saska podniosła się raptownie. Skorzystał z tego niezwłocznie elektor. Powiadomiony już o niebezpiecznym nastroju nad Newą, wyrzekł się wszelkich targów, byle tylko dobić ostatecznej ugody, chociażby na mniej dogodnych warunkach. Wystosował zaraz dwa pisma własnoręczne do Anny Iwanówny, bez żadnych już zastrzeżeń dopraszając się alliansu. Zgodził się nawet dodatkowo na formalne wyrzeczenie się wszelkich pretensyi polskich do Infantant. Zresztą przyjął wszystkie główne zasady pierwotnego projektu warszawskiego. Jednocześnie, względem pomniejszych kwestyi spornych, ułożył się pojednawczo z cesarzem. Już w połowie lipca podpisany został w Wiedniu formalny, w ostatecznej redakcyi, traktat sprzymierzeńczy sasko - austriacki. Na tych robotach zeszedł cały lipiec. Dopiero w początku sierpnia koniuszy Loewenwold, zatrzymany w Petersburgu wszystkimi temi trudnościami przez całe dwa miesiące, zamiast dwóch tygodni, jak rachowano pierwotnie, powrócił do Warszawy. Jeszcze dni kilkanaście wypadło stracić na formalnościach. Nareszcie, w ostatniej niemal godzinie, w sam dzień otwarcia sejmiku elekcyjnego, ostateczny formalny traktat sprzymierzeńczy sasko-rosyjski, wraz z konwencyą dodatkową, podpisany został w Warszawie przez Loewenwoldów i posłów elektora. Lipcowy traktat wiedeński i sierpniowy warszawski, poręczając Augustowi czynną i bezpośrednią pomoc cesarza i carowej w jego



przedsięwzięciu polskiem, stawały nareszcie to przedsięwzięcie na mocnych podstawach materialnej przewagi. Trójprzymierze sasko - austriacko-rossyjskie w sprawie elekcyjnej polskiej stało się czynem dokonanym.

W tej samej chwili, kiedy w pałacu ambasady elektorskiej na Placu Saskim kładziono podpisy na instrumencie traktatowym, w Szopie na Woli odbywał się akt otwarcia sejmu elekcyjnego. Z obu stron uczynione były wszelkie przygotowania do tej stanowczej rozprawy. Posłowie elektora w przededniu sejmu zdwoili swoje wysiłki. Usiłowali pozyskać biskupa Zułuskiego, i za jego pośrednictwem przyciągnąć Czartoryskich. Raz jeszcze próbowano skaptować prymasa: Loewenwolde i Wilczek zaofiarowali mu 200 tysięcy rubli, w połowie od każdego z dworów, petersburskiego i wiedeńskiego; pośrednictwa podjął się Antoni Potocki. Oprócz pieniędzy, dawano sute obietnice w urzędach; Loewenwolde zaopatrzył się w tym celu w osiem blankietów z podpisem carowej. Wszystkie te próby chybiły. Natomiast z innymi przeciwnikami łatwiej przyszło trafić do ładu. Tutaj głównym argumentem stała się wiadomość, iż Rossya postanowiła nie dopuścić do tronu nikogo z „polskich bojarów“, i oświadczyła się przeciw elekcyi Piastowskiej. Odbierało to wszelką nadzieję kandydatom-Piastom, a zarazem odbierało im wstręt dla kandydatury elektora, którą wielu z nich zwalczało dotychczas nietylko z przywiązania dla sprawy Leszczyńskiego, ile we własnej tajnej myśli o koronie. W rzeczy samej, według skromnego rachunku, liczono dotychczas nie mniej, jak dwudziestu czterech domorosłych Piastów - kandydatów do tronu. Owóż tym rojeniom obecnie wypadło dać pokój. Wypadło także w szczególności panom litewskim liczyć się odtąd z przewidywaną inwazyą wojsk rossyjskich i z twardą repressyą sąsiedzką, zagrażającą przedewszystkiem ich majątkom na Litwie. Te względy przemawiały zbyt dobitnie, aby miały nie znaleźć posłuchu u wielu „królewiał“. Pierwszy dał się zmiękczyć Lubomirski, wojewoda krakowski, który zresztą od samego początku był siedział na dwóch stołkach, a obecnie dał posłom saskim zobowiązanie piśmienne, iż nietylko będzie czynnie popierał wybór elektora, lecz nawet sam urzędownie wezwie czterotysięczny oddział Austriaków ze Spiża i sprowadzi do Krakowa. Podobnież został całkiem zyskany Sanguszko. Najcenniejszym atoli nabytkiem byli Wiśniowieccy, w ostatniej chwili przecignięci na stronę saską przez sprytnego Kinnerna, rezydenta austriackiego, przy dzielnej pomocy księżny kanclerzyny. Równocześnie nie zaniedbywano też zabiegów koło zyskania skromniejszych adeptów wśród wyborców szlacheckich. Ale i z drugiej strony nie próżnowano. Ambasador francuski rozdawał summy ogromne na prawo i lewo. Prymas

dniem i nocą pracował nad zjednoczeniem i umocnieniem swoich adherentów. Umiał nawet ugłaskać i przekonać wielu z opornych dotychczas biskupów, w czem teraz właśnie niemałe znalazł ułatwienie, gdyż wtedy-to wpływem wersalskim udało się na krótko wziąć górę w Watykanie. Główna jednak potęga sprawy Stanisława spoczywała najoczywiściej w rozbudzonym dla niego zapale powszechności stanu rycerskiego, w żywiołowym poparciu wielotysięcznych tłumów szlacheckich, zgromadzonych na sejm elekcyjny w Warszawie.

Sejm elekcyjny na miejscu uświęconem, na polu pod Wolą, rozpoczął obrady. Według uchwały sejmu konwokacyjnego, był on wyraźnie ustanowiony jako konny, to jest nie z delegacyi, lecz pospolitem ruszeniem. Stawilo się też na Wolę do dwudziestu tysięcy szlachty. Ogromne Koło sejmowe wspaniała i barwny przedstawiało widok. Pośród kontuszów, pasów litych i szabel staroświeckich, zrzadka dojrzeć modnej sukni i szpady francuskiej. Duch odrębności narodowej, duch oraz wstrętu dla cudzoziemczyzny widomie wionął nad zgromadzeniem i onieśmielił zarówno świetnych wytwornisiów, jak partyzantów saskich. Ta szlachta, postawiona na nogi przez Francję, przyszła tutaj przecież nie dla Francyi, ale przyszła z najdalszych zakątków, z głębi Rzpltej, aby swojego brata na swoim osadzić tronie. Już jednak zgromadzone tłumy nurtowała gorączka i niepokój. Już dochodziły wieści o wkroczeniu wojsk rossyjskich od granicy litewskiej. Gwałtownie na regimentarza l. napadła szlachta, czemu on wstępu nie broni, czemu obowiązku swojego nie wypełnia; sam prymas w uniesieniu publiczne z tego powodu czynił mu wyrzuty. Wiśniowiecki, ciężko dotknięty, a nauczony od żony i Sasów, odpowiedział w ten sposób, iż zaraz na trzeci dzień sejmowy wycofał się z Koła i przeniósł na drugą stronę Wisły, na Pragę. Tutaj już był zatrzymał się Radziwiłł i tutaj teraz zebrali się: drugi Wiśniowiecki, kasztelan krakowski, Lubomirscy i parę tysięcy szlachty. Powoli, z dnia na dzień, chyłkiem zaczęli ściągać ku protestantom na Pragę inni poplecznicy sascy, paru biskupów, oraz głównie panowie i szlachta litewscy. Prymas czynił, co było w jego mocy, aby ich nawrócić i odwołać z powrotem. U Kapucynów na Krakowskiem miał tajne spotkanie z Michałem Wiśniowieckim, ofiarował mu od posła francuskiego dwa miliony złp., zaklinał na dobro ojezyny, zalewał się łzami, zachwiał go nawet na chwilę, lecz ostatecznie nie przekonał. Tymczasem w Kole, po ustąpieniu przeciwników, tem oczywistsza Stanisławców przewaga. Obrany marszałkiem sejmowym Franciszek Radzewski, podkomorzy poznański, zagorzały stronnik Leszczyńskiego. W tem wieść, naprzód niepewna, wnet niewątpliwa, rozbiega się po sejmujących: Leszczyński stanął w Warszawie. W rzeczy samej, król Stanisław przybył do swojej sto-



licy. Wprawdzie przybył nie tak, jak marzył, jak był zapowiadał swoim stronnikom w Warszawie, jak od zięcia dopraszał się w Wersalu. Nie przybył eskortowany przez zwycięską armię, albo boda przez wspaniałą eskadrę francuską. Skoro Fleary odmówił nietylko wojsk, lecz nawet okrętu do Gdańska, powolny pretendent ukorzył się i bez wielkich trudności zgodził się na nieco odmienny powrót do „swego“ państwa. Nieco skromniej, samowtór, w przebraniu, w czarnej peruce, pod fałszywym paszportem, jako subjekt kupiecki „Brambak“, przekradł się przez Niemcy, gdzie wszędzie na niego czatowano. Czuł niewyraźnie, że to wszystko było trochę niestosownem dla byłego i przyszłego monarchy wielkiego narodu. Ale ostatecznie cała ta awanturnicza maskarada dość go bawiła i przypadała mu do gustu. Wszak w „Pamiętnikach kawalera d'Artagnana“, w „Intrygach markiza Montbruna“, i innych współczesnych arcydziełach Coartilha, albo Lesage'a, pełno było zupełnie takich samych romansowych przygód. Dla króla-emeryta z Chambordu ta powtórna wyprawa po koronę była jedną więcej przygodą w pełnym przygód żywocie. Zresztą, pocieszał się, że i Karol XII wrócił *incognito* z Benderu do Sztokholmu. Tylko, że on nie był Karolem. Do Warszawy przybył z początkiem września, w nocy, na dwa dni przed samą elekcją. Stanął w ambasadzie francuskiej na Krakowskiem Przedmieściu, w gmachu, przytykającym do kościoła Świętego Krzyża. Zawczasu były już stąd przebite drzwi do nawy kościelnej. Nazajutrz zrana, na pierwszej mszy, król w polskim stroju pojawił się w kościele. Czekali go tutaj tłumnie zebrani znaczniejsi adherenci, panowie i panie, już uwiadomieni o jego obecności, a i prosty lud miejski, ściągnięty niezwykłym zjazdem o tak wczesnej godzinie, zaczął tłoczyć się do świątyni. Owa-cyjnie witano króla-wygnańca, całowano go po rękach, przyglądano mu się, niby cudownemu zjawisku. Co prawda, nie był to już ów świetny młodzieniec, którego widziano tutaj przed trzydziestu laty, kiedy-to, na samym wstępie do życia, rzadki, najniespodzianwszy uśmiech fortuny był wyniósł go bez trudu, bez zachodu, do najwyższej godności i rzucił mu odrazu płaszcz królewski na młode ramiona. Jakże inaczej wyglądał on obecnie. „Otyły, średniego wzrostu, twarz okrągła, duże brwi siwe, nos mierny orli, zęby zniszczone, szerniałe od tytoniu, wiek od lat 50 do 60, lecz bliżej sześćdziesiątki“. Tak głosił urzędowy rysopis Leszczyńskiego, rozlepiony na wszystkich pocztaach cesarskich, gdzie wszędzie wydany był surowy rozkaz pochycenia go podczas przejazdu przez Niemcy. Dokładnie był on wtedy w 56-tym roku życia. Dać rysopis moralny Leszczyńskiego było-by rzeczą dużo ciekawszą. Ale to zadaleko zawiodło-by nas na tem miejscu. Wypadnie może kiedyindziej podjąć się tego niewdzięcz-

nego, a jednak potrzebnego, bo ciągle niewypełnionego zadania. Tutaj tyle tylko powiemy: ten król, podwakroć obrany, w duszy swojej nigdy naprawdę nie był królem. I z tej właśnie strony zasadniczej i niczem nie odkupionej,—jak i z wielu zresztą rysów drugorzędnych, do latnich, czy ujemnych. z dobrego w gruncie serca a miękkiej, jak воск, woli, ze szlachetnych lecz migotliwych porywów, a zakorzenionej żyłki sybaryckiej, z dużej łatwości słowa i pióra, a zupełnej nieudolności do trwałego czynu,—był on uderzająco podobny, zanadto podobny, do ostatniego i najopłakaniejszego ze swoich następców, którego jeszcze po dalszych trzydziestu latach, sam już zgrzybiały i stojący nad grobem, będzie oglądał wstępującego w podobnej, jak on niegdyś, aureoli młodości i fortuny na złote stopnie fikcyjnego tronu. Dla oka głębszej psychologii dziejowej, Stanisław I Leszczyński i Stanisław II August Poniatowski, niezależnie od wszelkich oczywistych różnic czasu, położenia i losów, pozostaną zespoleni tajemnym węzłem fatalnego duchowego powinowactwa.

Tymczasem wybiła stanowcza godzina elekcji. Złączyły się w Kole na Woli obadwa Stany, senat z duchowieństwem i rycerstwo, skupione razem przy chorągwiach każdego województwa. Sami już prawie teraz zebrali się Stanisławcy, a było ich jeszcze do kilkunastu tysięcy; drugie tyle widzów zbiegło się z miasta. Prymas drżącym głosem zaintonował *Veni Creator*. Poczem dosiadł konia, i poprzedzany przez trębaczy, w otoczeniu licznej świty paruset jeźdźnych, zaczął objeżdżać województwa, ziemie i powiaty, uświęconym porządkiem, odbierając wota. Wszędzie bez wyjątku oddawano głosy za Leszczyńskim. Zwolna, krok za krokiem, odbywał prymas ten uciążliwy objazd, przez osiem godzin z rzędu, pod koniec na ulewnym deszczu, a ciągle w niesfornym tłoku, przy groźnych hukach rozgorączkowanych tłumów. Nazajutrz od samego rana tym samym trybem odbywało się w dalszym ciągu objeżdżanie elektorów i po południu nareszcie doprowadzonym zostało szczęśliwie do końca. Około trzynastu tysięcy wyborców jednomyślnie oświadczyło się za Leszczyńskim. Nie było opozycji żadnej. Wbrew późniejszym przeciwnym twierdzeniom Augustowców, niezawodną jest rzeczą, że w tej chwili stanowczej, wewnątrz Koła elekcyjnego pod Wolą, nikt nie osmieleł się jawnie podnieść wyraźnego protestu przeciw obiorowi Leszczyńskiego. Całe pole od krańca do krańca rozbrzmiewało jednym potężnym wołaniem na cześć Stanisława. Gwałtownie dopominano się od prymasa natychmiastowej nominacji elekta. Prymas jeszcze dla formy po kilkakroć przepytawał zgromadzenie, czy jest pełna i powszechna zgoda. „Zgoda, zgoda na Stanisława“, odpowiadał za każdym razem grzmiący okrzyk tłumu. Wtedy-to, tegoż dnia 12 września, o godzinie czwartej



po południu, prymas uroczyście nominował królem polskim Najjaśniejszego Stanisława Leszczyńskiego. Poczem zaintonował *Te Deum laudamus*. Zawtórowało wielkim głosem wszystko zgromadzenie. Z równiny, zapelnionej wielotysięcznym ludem, uderzyła w jesienne niebo wielka pieśń dziękczynna, iż osierocona Rzplta nareszcie wedle myśli swojej obrała sobie pana.

Akt powtórnego obioru Stanisława Leszczyńskiego, dotychczas akt małej i pospolitej rachuby stronnicznej, oraz obojętnej i odległej rachuby międzynarodowej, odsłania w tem miejscu inne, poważniejsze oblicze. Ukazywał się on dotychczas, jako wynik połączonych interesowanych wysiłków oligarchii polskiej i dyplomacyi francuskiej. Obecnie ukazuje się, jako wynik woli szlacheckiego narodu. Prawda, ten naród we wskazanym z góry kierunku prowadzony był na pasku przez samolubną taktykę oligarchii domowej i lakome kuszenia zagranicznego złota. Ale istniały inne jeszcze, wyższe, samorodne czynniki, które w jednolitym oporze przeciw Sasowi, w jednozgodnym porwywie zapalu dla Piasta Stanisława, skupiały niemal wszystką rozstrzeloną powszechność szlachecką, a nawet i tę wielogłową gawieź pospolitaków miejskich, okalającą Koło wyborcze na Woli. I znowu prawda, iż wśród tych z kolei czynników były takie, gdzie przebijała dążność negacyjna i niezdrowa. Był szowinizm narodowy i nienawiść dla cudzoziemszczyzny. Był fanatyzm religijny i nienawiść dla herezyi. Ale nawet i tutaj, i tam, były także pobudki zrozumiałe i naturalne. W kraju katolickim, nazajutrz po groźbach toruńskich, nie chciano króla z ziemi protestanckiej, doradzanego przez ministrów protestanckich, z tytułu i z prawa naczelnika ludów protestanckich. W kraju polskim, nazajutrz po doświadczeniach tarnogrodzkich, nie chciano Sasa. Nie zapalano się dla oligarchów domowych, bo choć służono im z musu, wiedziano dobrze, co za jedni, wiedziano, czego od nich można oczekiwać, i niejednokrotnie, jak ostatnio jeszcze w krwawym wybuchu olkiewickim, dotykalnie odkrywano im tę gorzką samowiedzę. Ale rwano się sercem do Stanisława. Było to proste i piękne uczucie zbiedzzonego narodu dla króla rodaka, którego już raz się obrało, a nie pamiętano, nie chciano pamiętać wśród jakich warunków, za którego się krew przelewało, którego straciła obca przemoc, a którego nikłą i zwyczajną postać otaczała aureola wygnania, nikłe i zwyczajne rysy przesłaniała i zacierała odległość czasu i miejsca. A wreszcie, żeby wszystko powiedzieć, była to wprawdzie rzecz nieziszczalna, nie było do tego podstaw w faktycznym przebiegu losów narodu, który, z winy fatalności, po dwakroć utraciwszy własną dynastję, trzeciej z siebie wydać nie zdołał, — ale to był w głębi pęd żywiołowy i przyrodzony, owo pragnienie instynktowne wyborców pol-

skich 1733 roku mieć pana na prawdę swojego, z krwi i kości własnej, urodzonego z tej ziemi, z tego powietrza, mówiącego tym językiem, wcielającego to wszystko, czem stała i żyła Rzplta, jak wszystkie inne szczęśliwsze narody, którym, bez większych zasług, większa łaska fortuny zachowała swojską rodowitą dynastję. Omylono się na człowieku, omylono w sposobach i nadziejach, i ciężko odpokutowano tę pomyłkę: atoli ostatecznie spełniono tutaj nietylko akt nienawiści, lecz akt ducha publicznego.

W każdym razie zwycięstwo Leszczyńskiego do czasu było zupełnem i niewątpliwem. Usłużny wierszopis Wersalu mógł obwieścić światu cudowny tryumf teścia Francji: „*Stanislas à l'instant vint, parut, et fut roi*“, głosiła oda pochwalna Voltaira na cześć elekcji warszawskiej. Pod względem formalnym Stanisławcy byli zupełnie górą i zupełnie w porządku. Elekcya wolska odbyła się wedle wszelkich wymagań prawa. Obeszło się, jak rzekliśmy, bez żadnego zgola prawnego protestu. Było wprawdzie w Kole kilka nieśmiałych, dwuznacznych prób przemilczenia, lub wykrętu, w rodzaju salw konwokacyjnych, ze strony kilku polityczniejszych Augustowców, postawionych tutaj jakby na czaty, ale tutaj, pod gołem niebem, wśród wzburzonych tłumów, inna była atmosfera, aniżeli na sali zamkowej, i niefortunni politycy, po pierwszych groźnych okrzykach otaczającej szlachty, wnet odwoływali roztropnie swoje dwuznaczniki i razem z innymi poprostu głosowali za Leszczyńskim. Wprawdzie po drugiej stronie Wisły rozłożyło się obozem na Pradze kilkunastu panów i parę tysięcy szlachty, którzy w dniu elekcji nie pokazali się w Kole, ale ich nieobecność przy czynności wyborczej nie osłabiała w niczem legalności wyboru. Nikt nie był obowiązany być na Woli. Elekcya prawnie nie wymagała żadnego przepisaneho kompletu wyborców. Tyle tylko było wymaganem, aby odbyła się według obyczajów, według ustaw konwokacyi, i bez scyssyi w samym miejscu i czasie, w samym Kole i akcie elekcyjnym. Obyczaje i ustawy były zachowane. Scyssyi w Kole nie było. Stanisław najniewątpliwiej i najprawniej był królem. Był nim nadto mocą oczywistej i ogromnej większości narodu, mocą wyjątkowo pełnego i licznego kompletu wyborców. Oddało za nim głosy kilkanaście tysięcy szlachty, stukilkudziesięciu senatorów i ministrów, a nawet całe niemal wyższe duchowieństwo, prymas i ośmiu biskupów, gdyż tylko dwóch w tej chwili znalazło się na Pradze. Świadomość prawnej wygranej Warszawian, poczucie własnej przegranej, zwątpienie i obawa zaczęły przenikać do nielicznego obozu praskiego. Zaczęto stąd niepostrzeżenie, po jednemu, przechodzić do Warszawy, przynosząc skruszone akcesy do wolskiej elekcji. Wtedy-to zdradzili sprawę saską wojewodowie: Czapski chelmiński,



Szołdrski inowrocławski, Potulicki czarniechowski, świeżo kupieni za drogie pieniądze elektorskie, a za nimi wielu najhałaśliwszych zelantów saskich, między innymi ów Małachowski, starosta opoczyński, który później przechwalać się będzie uczynionym jakoby na Woli protestem, i za ten rzekomy protest obliczy sobie sutą od dworu nagrodę, a który teraz dał pismo własnoręczne z uroczystem uznaniem Leszczyńskiego. Wtedy także do sprawy Stanisława przerzucił się Konarski, oddając na jej usługi to samo pióro, którem dotychczas służył sprawie saskiej. Zachwiali się nawet Wiśniowieccy: ks. Janusz powstrzymał się od podpisania gotowego już cyrografu na 40 tysięcy dukatów austriackich, a ks. Michał, w ciężkiej rozterce z wrodzonym poczuciem legalizmu, gryził się, martwił, wrywał do akcesu do prawnie obranego króla, z największym trudem powstrzymywany od tego kroku przez zakłęcia i płacze księżny kancelerzyny. W rzeczy samej, Prażanie w tej chwili byli po prostu rokoszanami. Można było, a nawet należało, po prostu ich znieść. Taką też była śmiała rada Poniatowskiego, której wszakże w otoczeniu Stanisława nie poważono się wykonać, gdyż spodziewano się niechybnie dojść do ładu z przeciwnikami w drodze pokojowej. Istotnie, obóz praski topniał raptownie. Położenie posłów elektorskich było rozpaczliwem. Z Pałacu Saskiego, gdzie mieściło się ich poselstwo, i gdzie, wbrew prawu i uchwał konwokacyjnej, byli pozostali podczas elekcji, starali się oni na wszystkie sposoby podtrzymać upadającego ducha swoich niepewnych przyjaciół praskich. Trzeba było zdobyć się na nowe, jeszcze hojniejsze podarki dla umocnienia chwiejnych przywódców, a trzeba było także łożyć na całe utrzymanie parotysięcznego obozu szlacheckiego na Pradze. Wydatki ambasady saskiej w tych dniach krytycznych doszły do niesłychanej summy piętnastu tysięcy dukatów na dobę. Tamte pół miliona, pierwotnie przeznaczone dla Augusta na elekcję, oddawna były wyczerpane; wypadło przysłać pośpiesznie z Dreżna 200 tysięcy talarów i jeszcze dokończyć znaczną kwotę od Loewenwoldego. Ten zresztą na swój własny rachunek wydawał summy bajeczne, a przynajmniej podawał takie swojemu dworowi. Gdyż należy tutaj stwierdzić nawiasem, iż, jeśli skrupulatni Sasi z niemiecką ścisłością zapisywali każdego dukata, tak, że dziś jeszcze w archiwum dreźnieńskim można sprawdzić najdokładniej wszystkie ich wydatki, natomiast przemyślniejszy Loewenwolde po prostu oświadczył w Petersburgu, iż „dla ostrożności“ musiał spalić swoje rachunki warszawskie, co dosyć wyraźnie zdaje się wskazywać, że praktyczny Kurlandczyk na polskiej elekcji musiał zrobić nienajgorszy interes. Jednakowoż, żadne ofiary pieniężne nie były-by w stanie uratować złej sprawy elektora. Uratować ją mogła jedynie tylko odsiecz zbroj-

na, a mianowicie zapowiedziana oddawna pomoc wojsk rosyjskich. Owóż tutaj właśnie najniespodziana i najdotkliwsza objawiła się przeszkoda. Wojsk rosyjskich ciągle nie było jakoś widać. Loewenwolde zaraz po swoim powrocie do Warszawy, jeszcze z początkiem sierpnia, był posłał rozkaz do wkroczenia na Litwę korpusu rosyjskiego, stojącego w pełnej gotowości pod Rygą. Ale tym korpusem dowodził generał Lacy, podwładny Münnicha, przyjaciel Ostermanna, należycie przez nich obrobiony, a mianowicie inspirowany w tym duchu, iż nie powinien, broń Boże, się śpieszyć, lecz tak wyliczyć się z marszami, aby zostawić jak najwięcej czasu do skręcenia karku kandydaturze saskiej w Warszawie, a tem samem do zupełnego skompromitowania i skręcenia karku Loewenwoldom w Petersburgu. Lacy sumiennie wywiązał się z tego zadania. Wzywany na gwałt przez Loewenwoldego, robił wszystko, co tylko mógł, aby, bez jawnej niesubordynacji, przybyć zapóźno. Przekroczył granicę, wtargnął na Litwę, i przez Grodno obrócił marsz na Warszawę. Ale badał gruntownie drogi, zarządzał rekonesanse, zabezpieczał sobie tyły, czynił zadość wszelkim wymaganiom ostrożnej strategii, i zółwim krokiem ledwo posuwał się naprzód. Tymczasem codziennie odbierał z Warszawy naglące błagania o pośpiech od zrozpaczonych Loewenwoldów i bezradnych posłów saskich. Prosil go choć o kilkaset dragonii, żeby bodaj mundur sprzymierzeńczy pokazać w Warszawie. Lacy tem się nie wzruszał; on ciągle maszerował. „Liczymy godziny, każdy dzień wydaje nam się wiekiem“, pisali do Drezna nieszczęśliwi posłowie elektora. Loewenwolde chodził jak bez głowy, gdyż domyślił się manewru swoich wrogów petersburskich i czuł się zgubionym razem ze sprawą saską. Istotnie, w ten to dopiero sposób stała się możliwą spokojna elekcya Leszczyńskiego. Jeszcze dni parę, a stanie się niemożliwą elekcya Augusta. W samej rzeczy, sześciotygodniowe trwanie sejmu elekcyjnego, zawarowane w konwokacji, już miało się ku końcowi. Sejm, otwarty w dniu 25 sierpnia, gasnął dnia 5 października. Zwątpił ostatecznie sam August III. Oświadczył kategorycznie swoim posłom, iż jeśli do tej daty nie będzie obrany, zrzeka się bezwarunkowo swojej kandydatury. Rozkazał im w tym wypadku natychmiast opuścić Warszawę i powrócić do Drezna. Posłał im nawet odpowiedni, należycie wymotywowany akt zrzeczenia się, który mieli urzędownie doręczyć pełnomocnikom rosyjskim i austriackim. Szczegół to arcyciekawy: August III, na dwa dni przed swoim obiorem na króla polskiego, urzędownie rezygnował z korony polskiej.

Ale losy chciały inaczej. Sumienny Lacy, który niebardzo rozumiał się na finezytach sejmowych i widocznie mniemał, iż uczynił



dosyć, dopuściwszy do elekcji Leszczyńskiego, nareszcie wyczerpał całą swą strategię i zbliżał się do Warszawy. Jego forpocztę pokazały się pod Tykocinem. Natychmiast przewrót gwałtowny objawił się w Warszawie i na Pradze. Struchleli Stanisławcy. Dopiero co piorunowali na interwencję sąsiedzką i wygrażali się pospolitem ruszeniem. Teraz nikt nie porywał się do szabli. Może zresztą i stanęła-by szlachta, ale żadnych nie uczyniono przygotowań do obrony, a przytem nikt z tych wielkich panów, co umieli tak zażarcie wydzieierać sobie bulawę w czasie pokoju, teraz nie kwapił się do laurów orężnych i nie chciał prowadzić na nieprzyjaciela. Każdy teraz przemyślał o własnem bezpieczeństwie. Król Stanisław, król od dni dziesięciu, w otoczeniu swoich najbliższych pośpiesznie opuścił stolicę i nie oparł się aż w warownym Gdańsku. Za nim pobiegli wierniejsi stronnicy. Rozważni Czartoryscy zdążyli jeszcze przed wyjazdem ułożyć się z Brandtem i Hoffmannem o bezpieczny azyl w Prusach i nawiązać rokowania o medyację z dworem berlińskim. Pewna, aczkolwiek jeszcze nieliczna, część Stanisławców wprost przeszła do przeciwnego obozu. Pędem wróciło na Pragę sporo „perekińczyków“, co przed kilku jeszcze dniami przekradali się stąd do Warszawy. Odmieniała się cała postać rzeczy. Z Rzymu, gdzie tymczasem nastąpił trzeci z kolei, zresztą również nietrwały, zwrot na rzecz Augusta, już nadchodziło zwolnienie od przysięgi konwokacyjnej. Wszystko naraz składało się jak najpomyślniej dla Sasów. Jeszcze wypadło im przeżyć kilka chwil ciężkich. W Warszawie, opuszczonej od króla, zagrożonej od wojsk rossyjskich, straszliwy zapanował zamęt. Wzburzone pospólstwo rzuciło się na pałace znienawidzonych posłów cudzoziemskich. Loewenwoldowie byli zmuszeni szukać ratunku u Wilezka, w gmachu ambasady austriackiej. Do Palacu Saskiego formalny przypuszczono atak, do bramy głównej walono z armat, z obu stron byli ranni i zabici, sami posłowie ledwo uszli ze zdrową głową. Ale to był ostatni wybuch bezsilnego oporu. Nazajutrz forpocztę Lacy'ego stanęły na Pradze. Już było w kraju 24 tysiące wojsk regularnych rossyjskich, a jeszcze nadciągnęło sześć tysięcy kozaków i kałmuków. Jeszcze można było wszystko uratować. Ponieważ Lacy-kunktator odmawiał wejścia do Warszawy i spokojnie pozwolił przeciwnikom spalić most na Wiśle, wypadło zadowolić się Pragą. Lecz ostatecznie było to już wszystko jedno. Poprowadzono robotę na Pradze w tempie wyścigowem, gdyż istotnie ani chwili nie było do stracenia. W trzy dni niespełna załatwiono się ze wszystkim. Zwołano skonfederowane stany, otwarto sejm elekcyjny we wsi Kamieniu pod Pragą, gdzie ongi był wybrany Walezy. Marszałkiem sejmu został instygator k., Poniński, lichy wierszokleta łaćniński, naprzód sługa dworski,

potem Augustowiec, a godny stryj osławionego Adama. Przystąpiono nareszcie do aktu elekcijnego. Stańło w kole dwóch obecnych biskupów, kilkunastu senatorów i ministrów, najwyżej około 4,000 szlachty, prawie wyłącznie Litwinów, i trochę nawróconych Wielkopolan. Wszyscy jednomyślnie oddali głosy za elektorem saskim. Był dzień 5 października, godzina piąta po poł., kiedy śród zapadającego zmierzchu biskup Hozysz nominował królem polskim Najjaśniejszego Augusta III. W poblizkim kościółku bernardyńskim biskup Lipski zaintonował *Te Deum*. Rozległ się grzmot salutujących armat rossyjskich. Rzplta miała dwóch królów. <sup>1)</sup>

SZYMON ASKENAZY.

---

<sup>1)</sup> Źródła archiwalne, na których rzecz niniejsza w całości osnuta, ogłoszone będą w oryginale na innym miejscu.



---

# KRONIKA LONDYŃSKA.

---

Zagadnienie południowo-afrykańskie. — Wyprawa chińska. — Sezon wiosenny. — Podróznicy angielscy i sąsiedzi. — Roboty publiczne i budowle Londynu. — Muzeum Ryszarda Wallace'a w Hertford House. — Miliony Andrzeja Carnegie i ich przeznaczenie. — Osiemdziesięciolecie Herberta Spencera i jego życiorys przez Hektora Macphersona. — Trzechsetletni jubileusz Cromwella i jego charakterystyka przez Sir R. Tangye, Lorda Rosebery i S. R. Gardinera. — **T e a t r a**: Opera i operetki — angielski Beyreuth. — „Quo vadis“ i „Cyrano de Bergerac“. — Zaza — Człowiek lat 40-tu — Próba Lady Huntworth.

Wojna zaborcza w Afryce Południowej, o której rozpoczęciu i pierwszym okresie pisałem na tem miejscu przed pół rokiem, nie skończona jeszcze, i stanowi najważniejszy wypadek w narodowym życiu Wielkiej Brytanii. Potężna, bo 200,000-na armia, przykuta jest na tych dalekich kresach, i wciąż jeszcze ujadać się musi z nieuchwytnym nieprzyjacielem. Niema już mowy o walnych bitwach, ale ciągle są potyczki, w których oddziały wolnych strzelców zadają regularnej armii angielskiej dotkliwe ciosy. Jakich 40,000 Anglików legło trupem, poniosło rany, albo padło ofiarą gorączek i tyfusów. Cel końcowy, chociaż na pozór blizki, oddala się ustawicznie. Wzięte są stolice obu Republik, rozwiązane ich rządy, a kraje urzędowo wcielone do Imperyum Brytańskiego: pomimo tego trwa

partyzantka, i pokonane, i zalane armiami nieprzyjacielskimi kraje, posiadają wciąż jeszcze swych dziarskich obrońców w górach i wąwozach, i organizm rządowy, co nie dał za wygraną. Taki stan rzeczy może trwać dalszych parę miesięcy, a ta wojna, na którą szli Anglicy jak na wesoly turniej, albo myśliwską zabawę, potrwa rok cały, rzucając zakrwawiony całun na ostatnie dni dogorywającego stulecia.

Najsmutniejszą przypadłością tej wojny jest, że, nawet zakończona, nie rozwiąże podniesionego zagadnienia. Anglia przedsięwzięła ją w nadziei, że zniweczy żywioł narodowy hollenderski i utworzy na południowym zrębie Afryki, pod swem zwierzchnictwem, potężny, federacyjny organizm. na wzór Dominionu Kanady, albo właśnie co utworzonej Federacji Australskiej. Miała to być nietylko nowa zdobycz rasy anglo-saksońskiej, nowy szczebel na jej jakóbowej drabinie nieprzerwanego postępu, ale, oprócz tego, miał to być tryumf wyższych cywilizacyjnych pierwiastków. Zamiast owej chłopskiej oligarchii, opierającej się na ucisku autochtonów i niewuwzględniającej rozkwitu kultury, Anglicy pochlebiali sobie, że utworzą społeczeństwo, przesiąknięte czynnikami politycznej swobody, brytańskiego samorządu, ekonomicznego dobrobytu, hołdujące wiedzy, umysłowemu i estetycznemu rozwojowi. Tak głęboko byli przeświadczeni, iż na przygotowanej przez nich do posiewu glebie wzejść musi plon bujny i świetny, że pojąć nie mogli złej woli i ujemnego sądu, jakie ich wyprawa napotkała u sąsiadów bliższych i dalszych.

Ale tymczasem zanosi się na bankructwo tej rzekomo cywilizacyjnej missyi. Nie obywateli, garnących się do pierwiastków, reprezentowanych przez Anglię, ale tysiące zawziętych przeciwników jej wpływów i jej polityki pozyskała ona sobie. Nietylko, że dwa nowo podbite kraje będą przez długie lata, a może nawet przez kilka pokoleń, podkopywać jej władzę, przeciwdziałać jej publicznej akcji, ale, podając rękę swym ziomkom, osiadłym w dawnych angielskich koloniach Kapu i Natalu, mogą przeciągnąć nawet na swą stronę wszystkich obywateli hollenderskiego szczepu. Zamiast być rozsądkiem postępu, owa południowa Afryka, zdobyta gwałtem i przemocą, będzie podminowana sprzysiężeniami, gotowa do buntów. Anglia będzie zmuszoną utrzymywać tam liczną i kosztowną armię, a zamiast dać instytucje swobodne, stanowiące jej chlubę wobec dziejowego trybunału, przewiduje stan obłężenia, prawodawstwo wyjątkowe i odracza samorząd i emancypację do nieokreślonego jakiegoś terminu.

Zanim dotrze do słodkiego jądra, długo Wielka Brytania żuć będzie musiała gorzką lupinę. Wyniosłe jej ambicje pozostaną mrzonkami, a urągać się jej będą mogli zawistni przeciwnicy. Nie natychmiastowe zyski, ale straty tylko zapisze do swego bilansu. Koszta



wojny wyniosą około dwóch miliardów rubli; reorganizacja armii pochłonie bająnskie summy, i trzeba będzie dotkliwie podatki nałożyć na naród. Gdy ze świetnego fajerwerku dym tylko pozostanie, i gdy pierwsze odurzenie zwycięzców przeminie, praktyczny zmysł Johna Bulla zaprotestuje przeciwko całemu temu awanturniczemu przedsięwzięciu, i reakcja będzie niezawodnie energiczna. Przewiduje ją rząd, i aby pozyskać sobie sankcję narodu, postanowił pośpiesznie rozwiązać obecny parlament, a zwołać nowy, dopóki trwa sztucznie rozbudzony entuzjazm. Będziemy tedy mieli wybory do Izby Gmin w jesieni, w chwili, gdy zwycięska armia powracać będzie do ojczystych wybrzeży. Maszyniści, co przygotowali tę sztuczną apoteozę, skąpią się w jej jaskrawych promieniach i będą tryumfować: to pewna. Ale zdaje się równie pewnem, że tryumf to będzie krótkotrwały, a przebudzenie bolesne. Gdy społeczność angielska zechce podjąć przerwany wątek swej emancypacyjnej i reformatorskiej akcji, powierzy go innym rękóm, aniżeli sprawcom i odpowiedzialnym autorom wojny afrykańskiej.

---

Wszystkie siły wojenne Anglii potrzebne jeszcze były w Afryce, gdy wybuchły rozruchy w Chinach. Chociaż w chwili, w której piszę, tragedia pekińska nie pokazała się tak okropną, jak obawiać się było można, chociaż sam Pekin znajduje się już w rękach zjednoczonych europejskich armii; to sprawa cała nie straciła ze swojego znaczenia, i niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Zmora ta dusi świat tutejszy. I słusznie. Niespodzianie ryk huraganu przebudził z wygodnej drzemki. Jeżeli w ciągu kilku lat ostatnich zaczęło świtać w umysłach Anglików, że nie oni sami pochłoną i przywłaszczą sobie Chiny, ale że i reszta Europy, nie mówiąc już nawet o Stanach Zjednoczonych i o Japonii, pragnie także wziąć udział w bankiecie, rozéwiartowawszy wprzódy 400-milionowego olbrzyma; to ani na moment nie wątpili, iż sam fakt zwierzchnictwa rasy białej nad żółtą i narzucanie przez pierwszą cywilizacyjnej swej modły — drugiej, jest historyczną koniecznością. Zapomnieli i lekceważyli rady Gordona, który znał świat chiński lepiej, niż ktokolwiek z postronnych, a wobec łatwych zwycięstw, jakie świeżo Japończycy odnieśli nad Chinami, drwili sobie z przepowiedni, uczynionych jednocześnie przez

profesora L. Pearsona w pamiętnym dziele: „National Life and Character“. Ukazał on przerażające widmo rasy żółtej, mszczącej się po barbarzyńsku nad białą za doznane zniewagi, i duszącej Europę tak, jak boa dusi w swych splotach jagniątko.

Cała prawdziwość tych wróżb ponurych i tych nieuwzględnionych przestróg narzucić się musiała w chwili obecnej umysłom angielskim. Nawet jeżeli się uda, jak się spodziewać należy, załatać chwilowo rozdartą szmatę, to leży jak na dłoni, że zbudził się już na dobre smok potworny, i że nie zostawi nas już na przyszłość w spokoju. Stłumiony dzisiaj na jednym miejscu ruch anty-europejski, wybuchnie jutro na innym. Obawa Anglików zwraca się przedewszystkiem ku częściom Chin, sąsiadującym z Birmanią i z Indyami, bo buntury pierwotnych plemion są zaraźliwe, i jakieś niedojrzane, podziemne prądy mogły-by przenieść ich bacylle do krajów, gdzie władza angielska utrzymuje się nie materyalną siłą, ale niezachwianą dotąd powagą europejskiego przewodnictwa.

Nawet gdyby się te groźby nie sprawdziły i odroczone zostały do mrocznej jeszcze przyszłości, to Anglia poniosła już straty bolesne i dotkliwe, i słabą może być pociecha, że nie poniosła sama, ale że dotknęły one i innych przedstawicieli europejskiej cywilizacji. Dzieło chrześcijańskich misjonarzy doznało już klęski, z której przewidzieć niepodobna, kiedy podnieść się będzie mogło. Porównać je można do owego zniweczenia chrześcijańskiej propagandy w Japonii, z którego nie potrafiła się odrodzić od 200 lat. Lord Salisbury, przemawiając niedawno do deputacji misjonarzy, wyrzucał im z goryczą, że przyczyniają rządowi niezliczonych kłopotów i wywołują nieporozumienia międzynarodowe. Z punktu ściśle politycznego nie można mu odmówić słuszności: inaczej z religijnego. W przeświadczeniu o wyższości i o prawdzie chrześcijaństwa, jakże misjonarze powstrzymać-by się mieli w swem apostołstwie? Cała duchowa natura wzdyga się na myśl pozbawienia ich opieki państw chrześcijańskich. A przeświadczenie, że krew wymordowanych kapłanów i ruiny zwalonych świątyń wymagają pomsty, wyrugowaniem z serc naszych być nie może.

Ale oprócz powyższej moralnej, Anglia poniosła już także materyalną klęskę—handlową. Handel jej z Chinami stanowi dwie trzecie całego handlu, jaki Niebieskie Cesarstwo prowadzi z postronnym światem. Opierając się na tej hegemonii, Anglia rości sobie właśnie większe prawa do Chin, aniżeli jakiegokolwiek z mocarstw europejskich. Organizując komory celne chińskie pod dyrekcją swego znakomitego ziomka, Sir Roberta Harta, tworząc dwa wielkie emporya handlowe w Szangai i w Hong - Kong, Anglicy kładli kamienie wę-



gielne dla swego zwierzchnictwa w tej części świata i byli zabezpieczeni co do przyszłości. mając zawarowany sobie wpływ, koncesyje i sferę działania w porzeczcu Yang-tse-Kiangu, to jest samego jądra środkowych Chin. o gęstej ludności 200,000,000-ej, wielkich miastach, spławnych rzekach, bogatych kopalniach. Zdawało się, że żadne mocarstwo europejskie nie będzie mogło tam współzawodniczyć z Anglią, a przewaga jej kupieckiej, przewozowej marynarki, dawała nieledwie monopol handlowy. Przewidywania te jednak, jak się obecnie pokazuje. grzeszyły na kilku ważnych punktach optymizmem mamiącym. Pomijając nawet ewentualną rywalizację europejskich mocarstw w Yang-tse-Kiangu -- gdyż nie uznały one bynajmniej wyłącznych praw Anglii w tej części Chin—handel angielski podkopywany bywa z jednej strony przez wzrastającą z nieprawdopodobną szybkością marynarkę kupiecką niemiecką, a z drugiej Japonia zagarnia rynki zbytu, dostarczając na nie tanich wyrobów swego młodocianego. ale już samodzielnego przemysłu. Pozostała jeszcze Anglii wyłączna prawie dostawa płóciennych i wełnianych tkanin. Całe hrabstwo Lancashire, ta olbrzymia pracownia przemysłowa, rozsiadła naokół Manchesteru, pracowała przeważnie dla Chin. Cóż tam widzimy obecnie? Skutkiem drożyzny węgla, wiele fabryk albo jest tam zamkniętych, albo otwiera się tylko przez połowę dnia. Posiadając znaczne zapasy już wytworzonych towarów, a nie mając na nie zamówień, przemysłowcy zmuszeni są przepołowić zwykłą produkcję. Już obecnie oddziaływa to niekorzystnie na byt materialny warstwy robotniczej, a łatwo wyobrazić sobie można, jak straszny kryzys ekonomiczny pociągnęło-by za sobą zawieszenie całkowite robót podczas zimowych miesięcy. Nic dziwnego, że świat przemysłowo-handlowy angielski, obliczając już poniesione straty i przewidując swą materialną ruinę, wywiera nacisk na rząd, aby wyrzekł się stanowczo wszystkich dalekosiężnych odwetowych, lub reformatorskich planów, i domaga się, po szybkim i jakim takim zagładzeniu trudności, powrotu do s t a t u q u o a n t e. Pojęcie, jakie wiąże się w ich umyśle z tym stanem, jest możność tak znacznych, jak przedtem, zarobków. Gdy polityka rządu zmuszona jest słuchać podszeptów, albo raczej wymagań kół handlowo-przemysłowych, ludzi, tak zwanych praktycznych, to ma już podcięte skrzydła.

---

Strata, jaką poniosła sędziwa królowa Wiktorya przez śmierć swego syna, ks. Alfreda Edymburskiego, od kilku lat ostatnich zasiadającego w charakterze udzielnego księcia na tronie sasko - koburskim, wywołała wśród angielskiej społeczności żywe dla niej oznaki sympatii i lojalizmu. Sama przez się osobistość zmarłego księcia nie cieszyła się taką popularnością, jak inne dzieci królowej: wchodzić w powody tego niema już dzisiaj potrzeby. Od czasu zresztą, jak przestał być Anglikiem a został Niemcem, obojętność dla jego osobistości była usprawiedliwioną. Żaloba dworska, przychodząc w końcu sezonu wiosennego, położyła na nim czarną pieczęć, ale charakteru jego nie zmieniła.

Sezon był bowiem tego roku nadzwyczajnie cichy i jednostajny. Brakowało mu balów i redut, maskarad i żywych obrazów, pikników, regat, wyścigów, brakowało nawet skandalów towarzyskich i lwów salonowych. Gorączkowe zajęcie całej społeczności ześrodkowane było na wojnie afrykańskiej, a bawić się szumnie i hulaśliwie nie wypadało, gdy błękitna krew arystokracji lała się w dalekiej wyprawie. Baden - Powell i feldmarszałek Roberts, oto bohaterowie narodowi, przed którymi zwinąć musieli chorągiew bohaterowie salonów. Salony też były podczas całej ubiegłej wiosny, jeżeli nie całkiem zamknięte, to nawpół otwarte. Wiele dam z wielkiego świata udało się zresztą na teatr wojny w celu pielęgnowania rannych. Ale widocznie przesadziły w dobrych zamiarach, gdyż zarówno pacyenci, pielęgnowani w szpitalach i lazaretach wojskowych, jak i lekarze, rozwodzą się w gorzkich skargach na ich „wścibstwo“. Podług słów jednego z doktorów, ranni żołnierze cierpieli przedewszystkiem na dwie plagi: na komary i na dozór wielkich dam, druga dotkliwsza od pierwszej! Psychologowie towarzystwa londyńskiego utrzymują, że te piękne damy, które udawały się do południowej Afryki z kilku tuzinami wykwintnych sukien, szły tam po prostu szukać nowych sensacyi, których im już tutaj dla ich stępionych nerwów brakuje.

Po skończonym sezonie, angielskie klasy wyższe i średnie mają zwyczaj rozpraszać się na letnie wycieczki po całym lądzie stałym. Ale, jak chybił karnawał wiosenny w stolicy, tak chybił także w znacznej części exod zagraniczny. Przyjmowani zazwyczaj z otwartymi rękoma, jak przystoi „Mylordom“, co placą hojnie rachunki, nie wchodząc w ich szczegóły, Anglicy zrozumieli, że w tym roku mniej będą popularni na obczyźnie. Ubodło ich dotkliwie owo bezwzględne



potępienie ich afrykańskiej awantury, owa klątwa, ciśnięta przez świat cywilizowany ich polityce egoizmu, grabieży i napaści. Każdy z Anglików czuje się osobiście znieważonym, i woli unikać krajów nieprzyjaźnie dla nich usposobionych. Przykład zresztą idzie z góry. Ohydny zamach, dokonany przez niedorostka na księcia Walii w Brukselli, będący wypływem niechęci do Anglików, oburzył, i sprawiedliwie, do głębi duszy wszystkie warstwy społeczeństwa tutejszego, ale jeżeli oburzenie to wzmódz się mogło, to spotęgowało się na widok bezkarności skrytobójcy i braku gorliwości ze strony sferrządowych belgijskich w pochwyceniu go i osadzeniu choćby w domu poprawy. Widząc w tem złą wolę narodu belgijskiego, angielscy podróżnicy bojkotują go na dobre.

Dogodniejszą jeszcze sposobność zemścić się na Francuzach nastąpiła wystawa powszechna w Paryżu. Bierze w niej udział Anglia i spotkać na niej można Anglików. Ale o ileż ich mniej, niż się tego spodziewał Paryż! niema najmniejszego śladu inwazyi brytańskiej. Ci, którzy odwiedzają wystawę, usprawiedliwiają się nieledwie, iż to czynią. Żaden z członków rodziny królewskiej nie pokazał się na wystawie, i koła dworskie i arystokratyczne uważają za swój obowiązek okazywać tę samą obojętność. Francya płaci koszta niesmacznej karykatury Viletta na królową; zemsta sroższa, niż była obraza, z takiego ciśnięta rynsztoka. Wogóle brakuje w publicystyce tutejszej wszelkiego zapалу dla tych stron wystawy paryskiej, które mają wysokie społeczne i naukowe znaczenie, jak naprzykład kongresy i wiece, w których stulecie nasze spisuje swój testament i formułuje programat przyszłości, albo te wystawy retrospektywne, gdzie wszystkie ważne momenta rozwoju historycznego stają uzmysłowane w formach dotykających.

Zamykając oczy i uszy na niezaprzeczoną wielkość tego potężnego wysiłku, Anglicy w korzystnem nie ukazują się świetle. Nizka zawiść, albo intelektualne ubóstwo: oto dylemmat, pomiędzy którym wybór się narzuca. Usprawiedliwienie w tem chyba, że od długich miesięcy dżyngoska prasa tutejsza, chcąc rozgrzać patryotyzm w masach, przedstawia im cały ład stały, jako sprzysiężony na Anglię i czyhający na jej zgubę. Napróżno z wysokości swego stanowiska głowy rządu, Lord Salisbury, odpowiadając na niedorzeczne zapytanie jednego ze szlachetnych Lordów, czy jest prawdą, że Francya ma wypowiedzieć w jesieni wojnę Anglii, wydrwił takie banialuki bezliżnością: tłumy wierzą bezustannie rozsiewanym baśniom. Nie wybijesz z głowy skądinąd rozsądnego John Bulla, że w listopadzie, po zamknięciu wystawy, w braku innej zabawki, Francya wysadzi 300,000 armię na południowych wybrzeżach Wielkiej Brytanii. Gdy zdrowi

ludzie w ten sposób majaczą, to nie można się spodziewać, ażeby stosunki pomiędzy dwoma sąsiadującymi społeczeństwami, z których każde rości pretensye do przewodniczenia cywilizowanemu światu, mogły ukształtować się normalnie i ułożyć do harmonijnego poziomu. Podług dowcipnej definicyi, nie tylko Anglia, ale i każdy z Anglików był wyspą odosobnioną od postronnego świata. W chwili, gdy się zdawało, że ów mur graniczny się walić zaczynał, a solidarność ludzka tryumfowała nad ciasnym i zwietrzałym partykularyzmem, nieszczęśliwa wojna afrykańska wykopała nową jamę pomiędzy światem angielskim a Europą, i pierś każdego z synów Wielkiej Brytanii, jeżeli nie stalową tarczą, to przynajmniej jeżowemi opancerzyła kolecami. Chcemy wierzyć, że sami spostrzegą, iż im w tym rynsztunku nie do twarzy, i że się go zrzucić pośpieszą.

Jeżeli nie bawiono się tego roku tak szumnie, jak zazwyczaj, w Londynie, to pracowano natomiast nadzwyczaj ruchliwie nad wznoszeniem wielkich budowli, burzeniem całych dzielnic miasta ubogich i brzydkich, zastępując je wykwiłtnemi, otwieraniem nowych komunikacyi podziemnych, mostów na Tamizie i t. p. Niejedne z tych robót publicznych są zakresłone na tak rozległą skalę, że trzeba będzie czekać lat kilka na ich dokończenie. Ale już teraz przewidzieć można, jak wielce wygląd stolicy na nich zyska. Stopniowo urzeczywistnia się zmiana, którą niedawno jeszcze można było kłaść między bajki: Londyn staje się pięknym! Jeżeli nie może się ta pochwała rozciągać do całego jego ogromu, to w niektórych dzielnicach dokonane ulepszenia są po prostu zdumiewające.

Na pierwszym miejscu, naturalnie, wymienić należy dzielnicę miasta, znaną jako południowy Kensington. Położona w uprzywilejowanej części na zachód od Hyde-Parku, posiadała już oddawna sąsiadujące z sobą wspaniałe gmachy, jak olbrzymią rotundę Albert Hallu i okazały pałac, mieszczący muzeum Historii Naturalnej. Na rozdzielającej je przestrzeni wzniesiono w ciągu ostatnich lat kilku monumentalny gmach, w którym City londyńska ufundowała techniczne szkoły, Konserwatorium muzyczne, Instytut Kolonialny, zakupiony



w roku zeszyłym na pomieszczenie w nim nowo dopełnionego Uniwersytetu londyńskiego. Obecnie uzupełnioną jest ta nieporównanej okazałości dzielnica gmachów publicznych przez dwa nowe. Jednym jest Szkoła artystyczna prac kobiecych, posiadających widocznie poczetne już miejsce pomiędzy instytucjami krajowymi, skoro tak wspaniałe dają jej pomieszczenie. Ale najważniejszą budowlą, która dopełnia i charakteryzuje tę część stolicy, jest Muzeum południowego Kensingtonu. Niema żadnego wykształconego człowieka, który-by, nawet nie znając Londynu, nie znał z opisów tych niecenionych zbiorów, odnoszących się do sztuk plastycznych i wszystkich działów sztuki ozdobniczej. Zbiory te pomnażają się bez ustanku nowemi fundacyami i legatami. W chwili, w której piszę, bogaty Grek tutejszej kolonii, p. Konstanty Jonides, zapisał kensingtonskiemu muzeum swą artystyczną kolekcję pierwszorzędnej wartości. Czekać będzie musiała na pomieszczenie, aż nowe gmachy będą dokończone. Jedna tylko ich część wzniesioną była jeszcze za życia księcia małżonka i dlatego muzeum to otrzymało urzędową nazwę Wiktoryi i Alberta. Reszta kolekcji mieściła się w przystawkach, budach i szopach, kleconych w miarę wzrastających potrzeb: jednemu tylko dziwić się można, że ich nie zniweczył pożar złowrogi. Obecnie wznoszą się już ponad ziemią gmachy; obejmą one dwie ulice i staną się najwspanialszą budowlą w Londynie: ramy będą godne tych skarbów, którym w nich będzie bezpiecznie i wygodnie.

W sąsiedniej dzielnicy Westminsteru, takich samych rozmiarów przekształcenia zadziwiają przybysza. Wykończa się już naprzód potężna katedra katolicka, o której pisałem na tem miejscu szczegółowo w ostatniej kronice. Szybko także wznoszą się trzy pałace, przeznaczone dla pomieszczenia ministerów, które dotąd rezydowały po różnych częściach miasta. Oko objąć nie może ogromu wykonywających się na tem miejscu robót. Gdy pałace te wykończone zostaną w stylu tych, które nadają tak monumentalny wygląd ulicy Whitehall, wiodącej od placu trafalgarskiego do Opactwa westminsterskiego i do Parlamentu, to śmiało powiedzieć można, że żadna ze stolic europejskich nie będzie mogła poszczycić się czemś podobnem. Ale jak to zwykłem było w Londynie, najpiękniejsze dzielnice miały zawsze w swem bezpośredniem sąsiedztwie ciasne zaułki, brudne i cuchnące domostwa. Obok tych arcydzieł starego i nowego gotyku, jak Opactwo i Parlament, obok skwerów, co się ścielą przed nimi upstrzone kwiatami i posągami, obok królewskiej Tamizy, która zagląda w okna pałacu ś-go Stefana i sunie się nieopodal malowniczego „Dziędzińca Dziekanów“,

w samym środku i sercu Londynu istniała sieć gęsta ohydnych uliczek, niedających dostępu do rzeki. Obecnie przedsięwzięte są już prace do zburzenia tego szpetnego anachronizmu. Rzeka będzie tak samo ocembrowana, jak poniżej ku City i powyżej w Chelsea, założone będą place i ogrody, przeprowadzone szerokie ulice i zabudowane pierwszorzędnymi domami. Biedactwo, co się tam dotąd gnieździło, będzie musiało gdzieindziej szukać sobie siedziby: tę bierze w posiadanie bogaty i wykwintny Londyn, rozmiłowany w plastycznym pięknie, czujący potrzebę artystycznej harmonii.

Ale niech czytelnik nie sądzi, ażeby te dwie grupy prac budowlanych wyczerpały działalność rządu, municypalności i przedsiębiorczych towarzystw: jest jeszcze, pomijając kilka drugorzędnych, trzecia, i to właśnie najważniejsza. Inicytywę ich wzięła Rada londyńskiego hrabstwa, to ciało municypalne o duchu postępowym, zawsze gotowe do szerokich przedsięwzięć, zmierzających do zrobienia z Londynu miasta wzorowego pod względem zdrowotności i wygody. Pomimo zazdrości, jaką czują ku niej organizacje starego autamentu, spleśniałe w rutynie, i pomimo przeszkód, jakie stawia na jej drodze Parlament, pragnący powstrzymać zuchwałę te ambicje, Rada potrafiła przeprowadzić kolosalne przedsięwzięcie. Dążyło ono do kilku naraz celów: burzyło niezdrową, natłoczoną ludnością sieć gęstą nędznych uliczek, otwierało wielką drogę komunikacyjną pomiędzy wschodnim a zachodnim Londynem, i nakoniec rozszerzało zbyt wąską, a jedną z centralnych arteryi, ulicę Strand, znaną ze swych licznych teatrów, restauracji, sklepów i kończącą się przed Pałacem Trybunałów. W części dzieło to już jest dokonane. Zburzoną została cała jedna strona tej ulicy i „Law Courts“ ukazały się nie tylko dostępnymi, ale po raz pierwszy architektoniczne ich właściwości będą mogły być ocenione. Zburzono domy, ale niedotknięto kościołów. Stoi ich dwa, odosobnionych w pośrodku nowo-otwartej ulicy: jest to widok niezwykły. Jeden z tych kościołów, to świętego Klemensa, starodawny, dobrze znany czytelnikom Dickensa; drugi, to kościół św. Maryi, o pięknym frontonie włoskiego renesansu. Ukaze się on dopiero w pełnem znaczeniu, kiedy zburzoną będzie cała masa niekształtnych i szpetnych domów, i zakreślone zostanie szerokie półkole, z którego środka biedz ma wspaniała ulica ku dworcem dróg żelaznych i z trudnością dostępnym dzielnicom. Ażeby dać wyobrażenie o rozmiarach przedsięwziętych na tem miejscu prac i przekształceń, które z nich wynikną, dość będzie powiedzieć, że upadną pod młotem burzycieli trzy teatru, przestronny gmach, który



wzniosła dla swych biur gazeta „Morning Post“ i mnóstwo domów prywatnych. Most Waterloo będzie na przyszłość miał przed sobą drogę prostą jak strzała i zabudowaną wspianiałemi gmachami, pomiędzy któremi pierwsze miejsce zajmie niewątpliwie pałac, jaki dla siebie wzniesie Rada londyńskiego Hrabstwa. Całe to przedsięwzięcie kosztować będzie cztery i pół miliona funtów szterlingów, z których znaczna część odzyskaną zostanie przez sprzedaż gruntów pod mogące się wznieść na nich budowle.

Ale gdyby koszta były o wiele znaczniejsze, jeszcze opłacily-by się sownie. Znikają części Londynu, które były nietylko sromotą cywilizacyi, ale i niebezpieczeństwem ciąglem dla miasta. Trzeba było widzieć taką uliczkę, jak Drury Lane, sąsiadującą ze słynnym teatrem tego imienia i z Operą Covent Garden, aby wyrobić sobie wyobrażenie o tych czeluściach londyńskiego proletaryatu. Ulica była tak wązka, że nie przenikało do niej nigdy światło słoneczne; na bruku wieczne błoto po kostki, na górze rozwieszona w poprzek ulicy, z okien jednej kumoszki do drugiej, brudna bielizna, co dom, to szynk o podejrzaney klienteli, dzieci nawpół nagie, złoczyńcy, dobrze znani czujnie strzegącej ich policyi, wrzawa piekielna, zapach zgnilizny i postacie galerników, krążące wśród wiecznego półmroku. Równego pandemonium nie posiada już ulubiony przez popularnych romansopisarzy Whitechapel: nie trzeba było udawać się tak daleko, aby się przekonać, jak mieszka i jak żyje ostatnia warstwa ludności stolicy. Za lat parę będzie rzeczą niepojętą, że tolerowaną była taka dzielnica w samym środku Londynu. Ten rozsądnik chorób epidemicznych i to gniazdo zbrodni figurować będzie na przyszłość jedynie w historycznych opisach.

Do tego obrazu robót publicznych, przetwarzających fizyognomię olbrzymiego miasta, dodać jeszcze należy podziemne drogi żelazne. Komunikacya na ulicach stawała się niepodobną. Jedna linia omnibusów, dorożek, pojazdów i wozów, towarami ładownych, ciągnęła się od rana do nocy nieprzerwanie w obu kierunkach, w górę i na dół. Tamowana co moment, nie skracała, lecz przedłużała czas jazdy. Cierpiał na tem obrót handlowy, wygoda publiczna i bezpieczeństwo jednostek. Bez pomocy policyanta niepodobna było na wielu centralnych punktach przejść z jednego chodnika na drugi, i zdawało się, że piesi coraz bardziej się stawali *une quantité négligeable*. Nie było dotąd wiele samochodów na ulicach Londynu, ale i na nie godzina wybija. Coby się z nami dalej stać musiało, pojąć trudno.

Jedynym sposobem wyjścia z trudności było przeniesienie wielkiej części ruchu z powierzchni ulic w podziemia. Mamy wprawdzie drogę żelazną metropolitalną, ale przy lokomotywach parowych i idącym z nich dymie, śwędzie, parze i zaduchu, przy tunelach czarnych, zakopcanych, a przede wszystkim przy niedostatecznej obsłudze tą drogą całych rozległych dzielnic miasta, jeżdżą jej pociągami ci tylko, którzy inaczej zrobić nie mogą. W ostatnich czasach dopiero zaczęto tu i owdzie budować drogi żelazne podziemne, obsługiwane elektrycznością, i znalazły one natychmiast wielką popularność. Prawdziwa rewolucya w komunikacyach londyńskich dokonana jednak została tej wiosny przez oddanie na użytek publiczny centralnej drogi elektrycznej. Idzie ona na siedmiomilowej, prostej jak strzała, linii, od Banku angielskiego w City, wzdłuż jednej ulicy o różnych nazwach, na której, pomiędzy innymi, znajduje się centralna poczta, Muzeum brytańskie, pierwsze sklepy i magazyny i Hyde Park, a kończy się na wschodniem przedmieściu Shephards Bush. Połowa Londynu i cały bogaty, wykwiśnięty Westend znalazł narazie arterję komunikacyjną wyborną. Mieszkańcy Londynu rozkochali się odrazu w tej elektrycznej linii. Prowadzi ona na 70 stóp pod ziemią, zdala od ruchu i zgiełku, w temperaturze równej, przez szeroki korytarz, białemi ocembrowany kafkami, oświetlony elektrycznymi lampami, w wytwornych salonowych wagonach, za drobną cenę dwóch pensów, z jednego końca miasta na drugi, bez przerwy od pierwszych godzin ranka aż do północy. Jest to idealna przejażdżka, i lekarze zaczynają ją zalecać pacjentom, chorym na nerwy.

Powodzenie tego przedsięwzięcia zapowiada całkowity przewrót w ustroju komunikacyi londyńskich. Nowe bocznice budowane będą od tej linii centralnej w rozmaitych kierunkach. Stara kolej metropolitalna przygotowuje się do przekształcenia swej trakcyi parowej na elektryczną. Nawet omnibusy i tramwaje, zagrożone w swych dochodach stratą pasażerów, zapowiadają budowę pojazdów podług nowych, ulepszonych systemów. W pierwszym dziesiątku nowego stulecia wielki gród nad Tamizą będzie radykalnie zmieniony, i największe z imperyów poszczyci się godną siebie stolicą.

---



Najważniejszym artystycznym wypadkiem bieżącego lata było otwarcie Muzeum Wallace'a w Hertford House. Posiada już Londyn wiele zbiorów sztuk pięknych i rościł pretensje, iż żadnej ze stolic europejskich nie ustępuje. Gdyby się tylko skarby, przekazane przez starożytność, brało w rachunek, to Muzeum Brytańskie, ze swemi assyryjskimi i egipskimi kolekcjami, z elgińskimi marmurami, z odlamami Partenonu i t. p., śmiało pretendować może o pierwszeństwo. Jego „National Gallery“, jeżeli nie liczbą, to metodycznym zbiorem najznakomitszych szkół malarskich nie ustępuje paryskiemu Luwrowi. Posiada galerję portretów na wzór florenckich Ufficii, kilkanaście pomniejszych, że tak powiem, filialnych muzeów artystycznych, a od lat paru wspinałomyślna ofiara p. Henryka Tate obdarzyła ją nową galerją obrazów, poświęconą współczesnemu malarstwu krajowemu. Niczego nie zdawało się tam brakować, szczególnie, gdy się przypomni, że muzeum Wiktorji i Alberta dopełnia wszystkie powyższe i posiada w każdej gałęzi twórczości artystycznej unikat, nieprzebraną ilość dzieł oryginalnych i kopie wszystkiego, co rozwój ludzkich społeczeństw wydał najznakomitszego.

Ale produkcja artystyczna świata jest tak nieskończenie bogatą, i tyle jest prowincji odrębnych w tym zaczarowanym labiryncie piękna plastycznego, że, chociaż zdaje się posiadać wszystko, zawsze jeszcze ukazują się szczyty, godne zapelnienia, skarby, godne zdobycia. Zanim kolekcje Wallace'a stanęły w zdumiewającej swej pełni przed światem angielskim, nie podejrzewał on nawet, że brakowało mu przedtem prawie zupełnie okazów jednej z najbardziej poużytecznych i jednocześnie najkompletniejszych manifestacji sztuki, mianowicie szkoły francuskiej XVIII stulecia. Zrozumieć się też daje wykrzyk zachwytu przed tą kolekcją i wdzięczność dla magnata, co tak królewskim darem zapisał swe imię w rocznikach narodowych.

A nie należy zapominać, że ta fundacja spadła całkiem niespodziewanie na Anglików. Niezasłużenie, ale szczęśliwie. Ryszard Wallace stronił od swej ojczyzny. Nieprawy syn margrabiego Hertforda wystawiony był w Anglii jedynie na towarzyskie upokorzenia. Od trzech pokoleń członkowie starożytnego rodu Seymourów, noszący od stu lat dopiero dodatkowy tytuł margrabiów Hertford, przemieszkiwali w Paryżu. Synowie wolterowskiej szkoły, sybaryci, namiętnie rozkocharani w miękkiej a błyszczącej sztuce, lechtającej ich zmysły, zakupywali rozmaite dzieła sztuki, idąc za popędem kaprysu, a nie

powstrzymywani nigdy brakiem funduszu. Stworzyli w ten sposób kolekcję, którą Ryszard Wallace, gdy spadła na niego cała fortuna Hertfordów, jaką rozporządzać mogli poza majoratem, potrzebował tylko oczyścić i dopełnić. Wychowany w wysoce artystycznym otoczeniu, znawca i miłośnik fanatyczny dzieł sztuki, posiadał wszystkie warunki do wytworzenia kolekcji, w swoim rodzaju jedynej. Mieściła się ona w paryskiej rezydencji Wallace'a, który, ożeniwszy się z Francuzką, nieraz słyszeć się dawał z zamiarem pozostawienia w Paryżu swych zbiorów. Ale syn jednak zabity mu został w wojnie z Niemcami; różne filantropijne instytucje, zakładane przez niego w Paryżu dla Anglików, zwróciły uwagę rządu angielskiego, który zaczął mu okazywać fawory. Największym było mianowanie go baronetem, co dawało mu legalne stanowisko wśród arystokracji angielskiej, którego był przedtem pozbawiony. Powoli zaczął też przebywać w Londynie i prznosić tam do swej rezydencji, Hertford House, swe artystyczne zbiory. Gdy umarł, zapisał je swej żonie. Ta znowu sporządziła testament, w którym kolekcje męzowskie i jego przodków przekazuje Londynowi, z warunkiem, aby nosiły nazwisko Wallace'ów i aby były po wszystkie czasy pomieszczone w oddzielnym, wyłącznie dla nich przeznaczonym, gmachu. Rząd przyjął legat i dostarczył funduszków na zakupienie gmachu. Wykonawcy testamentu postąpili sobie rozumnie, zakupując dla muzeum Wallace'a ten pałacyk Hertford House, w którym już uprzednio było ono pomieszczone.

Trzeba było czterech lat dla dopełnienia formalności prawnych i przebudowania domu z prywatnej rezydencji na gmach publiczny. Dokonano tego w sposób nadzwyczaj szczęśliwy. W dwudziestu kilku salonach, galeryach i buduarach, na parterze jasnym i na pierwszym piętrze, oświetlonem z góry, rozpościerają się tam pomieszczone dzieła sztuki i artystyczne osobliwości obszernie i wygodnie. Ale charakterystyczną cechą tego muzeum jest to, że niezatarte zostało piętno zbioru prywatnego.<sup>5</sup> Zamiast znajdować się w jednostajnych urzędowych galeryach, gdzie publiczność zapoznawać się jest zmuszona z dziełami sztuki, tutaj widz ma wrażenie gościa, wędrującego pod przyjacielskim dachem z jednego salonu do drugiego, i jednemu się tylko dziwi, iż nie spotyka gospodarza domu z wyciągniętą uprzejmie dłonią. Meble stoją wzdłuż ścian, po środku stoły, zapelnione fraszkami i cackami, z sufitów zwieszają się pająki, na kominach zegary biją godziny i o zmierzchu zapalają się elektryczne lampy, obrazy jaśnieją na ścianach, a każdy drobiazg w urządzeniu pokoiów pokazuje, że przemieszkiwać tu musi magnat i tak wyrefinowany miłośnik piękna, że na każdym drobiazgu starał się znaleźć jego odblask.



Ramy, w których się zbiory Ryszarda Wallace'a znajdują. usposabiają już dla nich korzystnie. Cóż powiedzieć o nich samych? Są tu naprzód nieocenione i doskonałe okazy każdej gałęzi sztuki: miniatury, akwarelle i rysunki, statuetki, wyroby z wosku, ze spiżu, z brązu, z kości słoniowej, emalie, kryształy, majoliki. Jest zbrojownia, gdzie nie wiedzieć co podziwiać naprzód, czy typy rozmaite broni, czy bogactwo materiałów, użytych do ich ozdoby. Rozumieć można, że Ryszard Wallace był dumny z tej zbrojowni, i można-by ją uważać za perłę-kollekcyi, gdyby nie obrazy. A co za obrazy! Nieledwie każda szkoła, nieledwie każdy genialny malarz, którego imię ze czcią jedne pokolenia przekazują drugim, błyszczą tutaj dziełami promiennego piękna. Krajobraz z tęczą Rubensa, Persensz i Andromeda Tycyana, Dama z wachlarzem Velasqueza, Rembrandt, Van Dyck, Murillo, Andrea del Sarto, Hals, Pieter de Hoogh, de Cuyp, Hobbema, a wpośród angielskich mistrzów: Reynolds i Gainsborough: oto mistrze, których arcydziełami można tutaj sycić oczy i wyobraźnię.

Ale gdy się kornie schyliło czoło przed tym gwiazdzistym orszakiem, zapoznaliśmy się dopiero z jedną częścią kolekcyi, z dodatkową, że tak powiem, z tą, którą wielki miłośnik sztuki zebrał, aby udowodnić, że żadna gałąź, żaden kierunek, żadna specjalność w dziedzinie piękna nie były mu obce, że ku wszystkim gotów był wyciągnąć ramiona. Lecz przy tej uniwersalności i wśród niej Ryszard Wallace wybrał sobie jedną szkołę, jedną epokę i ześrodkował na niej swą działalność mecenasa sztuki. Jest nią sztuka francuska XVIII wieku. Można jego zamiłowania nie dzielić, a wybór jego potępić, można wyrazić żal, że innemu, czystszzemu, wyższemu ideałowi nie hołdował. Tak właśnie postępowano sobie względem sztuki francuskiej tej epoki w niejednym kraju i niejednych publicznych zbiorach. Nie brano okazów tej sztuki na seryo, oskarżano ją o materializm, o lubieżność, o manierę, o brak szerokiego stylu, i lekceważono ją w imię jakiegoś purytanizmu, który może posiadać zalety moralne, ale grzeszy ślepotą względem wysoce oryginalnych manifestacji plastycznego piękna. Anglicy odawna, a szczególnie pod wpływem szkoły prerafaelitów i etycznej doktryny Ruskina, nie okazywali najmniejszego upodobania, żadnego szacunku dla typów i dla modły sztuki francuskiej zeszłego stulecia. Ich zbiory publiczne są ubogie w takie okazy, a magnaci, którzy je posiadali w swych zamkach i pałacach, usprawiedliwiali się nieledwie z błędu estetycznego swych dziadów i ojców, po których je odziedziczyli.

Dla publiczności tutejsze muzeum Wallace'a było objawieniem. Roztwarły się przed nią podwoje nieznanego, niepodjezewanego do-

tańd świata. A jakże oprzeć się można czarowi, wdziękowi tej sztuki uśmiechniętej i rozpromienionej? Widocznie jej przedstawiciele postawili sobie jako zadanie przeciwstawić prozie i pospolitości życia praktycznego świat fantazyi, błyszczący, rozkoszny, elizejski. Watteau, Boucher, Laneret, Fragonard, Greuze, Pater Largillière, gdy się przyglądamy licznym i pierwszorzędnym ich obrazom, uderzają nas nie tylko urokiem swej palety i mnogimi technicznymi zaletami, ale jednocześnie pozwalają nam zrozumieć cały nastrój narodowy, daną chwilę w postępowym pochodzie cywilizacyi. Co jednak chwalić trzeba z naciskiem twórcy tego zbioru, to, że nie ograniczył się obrazami tej szkoły, że ich nie odosobnił od innych manifestacyi twórczego zmysłu i smaku wykwintnego owoczesnej Francyi.

Tu właśnie leży artystyczne i, więcej nawet, historyczne znaczenie wystawy sztuki francuskiej XVIII wieku. Obok obrazów są meble, szafy, biura, stoły, kredensy, etc., takich artystów, jak Boule, Caffieri, Gouthières, Rieusenar, są gobeliny i delikatne tkaniny, są kanapy, fotele, krzesła, są porcelany Sevru, emalie Limoge'u, zwierciadła, kandelabry, świeczniki; brzozy, wachlarze, bombonierki, tabakierki, i Bóg już nie wie jakie rozmaite cacka i drobiazgi. Cała epoka, cała ewolucya cywilizacyjna danej chwili, całe życie, nie powiem narodu, ale jego klas zamożnych i wykształconych, występują w niewidzianej przedtem pełni i z zasobem dokumentów, które pozwalają wydać o nich sąd stanowczy. A zasługa jest jeszcze większa dla tego, że wiek XVIII nie stoi odosobniony, ale że znajdują się tam okazy i epok poprzednich i następnych, między innymi świetna szkoła pejzażystów ze środka naszego stulecia. Ten tryumf artystyczny Francyi był dobrze znany gruntownym badaczom sztuki, ale dla Anglików, jak powiedziałem wyżej, jest prawdziwą niespodzianką. Cieszyli się z legatu Wallace'a, gdy słyszeli, że pieniądze jego wartość szacowaną jest na 4 miliony f. szter.; cieszą się bardziej teraz, gdy się rozpatrywać zaczynają w swych skarbach i rozumieć ich artystyczną piękność.



Chociaż zapis Wallace'a jest pokaźny, to znika on prawie do małejkości, gdy się go stawi obok innego, który spadnie niebawem na społeczeństwo angielskie. Ofiarodawcą jest p. Andrzej Carnegie. Nazwisko to nie musi być obcem czytelnikom. Syn szkockiego tkacza, od dziecka wraz z rodzicami osiedlił się w Stanach Zjednoczonych i, przebiegłszy rozmaite stopnie drabiny przemysłowej, zajął na niej przyczółkowe miejsce, jako właściciel hut i fryszerok Homestead w Pittsburgu. Gdy się w początku bieżącego roku z czynnej dykcyci tych fabryk wycofał, pozostając w nich i nadal jako uczestnik, p. Carnegie stał się właścicielem kapitału 40 milionów funtów szterlingów czyli 400,000,000 rs. Niema w Anglii równie wielkiej fortuny, a te, co się do niej zbliżają, są obciążone różnemi prawnemi zastrzeżeniami. P. Carnegie może natomiast fortuną swoją rozporządzić, jak mu się to będzie wydawało najlepszem.

Lubo posiada kilkoletnią córeczkę, nie ma on zamiaru zwalić na tę ukochaną, niewinną istotę, brzemienia fantastycznego tego majątku. Oddawna już wypowiedział w swych książkach zdanie, że wielkie fortuny nie powinny stawać się własnością jednostek, ale przechodzić winny na użytek narodu. Człowiek umierający milionerem umiera zhańbionym: oto jest aksjomat tego Krezusa.

Niema też najmniejszej wątpliwości, że postąpi on w myśl wyznawanych przez siebie zasad. Jako rękojmia tego staje cała jego przeszłość. Wydał już miliony na różne filantropijne instytucye w Stanach Zjednoczonych i w Szkocyi. swych dwóch ojczyznach, jednakowo sercu jego drogich; oświadczył, że rozdzieli swoich 40 milionów pomiędzy dwie gałęzie anglo-saskiego szczepu: Amerykę i Wielką Brytanię. Liczy już 62 rok życia i, chociaż jest zdrów i czerstwy, wie, że go śmierć zaskoczyć może, a że nie chce umrzeć zhańbionym, od roku już zajmuje się w swej obecnej rezydencji, szkockim zamku Skibo, sporządzeniem swego testamentu. Oprócz swych legalnych doradców ma wielu samozwańcnych. Setkami otrzymuje on codzień listy ze wskazówkami i radami, jak ma milionami swemi rozporządzić. Jako człowiek praktyczny o silnej woli i trzeźwym umyśle, nie będzie słuchał rad, o które nie prosi, ale postąpi odpowiednio do swych własnych przekonań.

Klucz do tych legatów, dotąd jeszcze w tajemnicy trzymanych, znaleźć nie trudno w pismach Andrzeja Carnegie. Ten samouczek

i syn dzieł własnych znalazł czas, pomimo żelaznej pracy, do której się zaprzągnął, na ogłaszanie pism rozmaitych. Są pomiędzy niemi opisy podróży i wycieczek, które często przedsiębrał, są znakomite monografie w kwestyach ekonomicznych, finansowych i społecznych, i jest, jako opus magnus, „Triumphant democracy“. W tem dziele, on, naturalizowany obywatel wielkiej Rzeczypospolitej amerykańskiej, złożył jej z prawdziwym entuzjazmem hołd synowskiej miłości.

Można nam postronnym nie podzielać jego zapалу i dostrzegać plamy na tem słońcu; ale p. Carnegie jest szczerym w swym panegyryku amerykańskich instytucyi, publicznego i prywatnego ustroju. Radykalny demokrat, wyemancypowany z zależności od Kościołów, jest on w całym słowa tego znaczeniu homo novus, i jednemu tylko dziwić się można, że, pomimo wstępu, jaki w nim budzą instytucye polityczne, hierarchiczne, arystokratyczne i kościelne Wielkiej Brytanii, nie wyrzekł się tej swojej kolebki. Poezya, co ją owiewa, i wpływ tradycyi oświeciły tak silnie szlachetną jego naturą, że sprzeczne pierwiastki ułożyły się w niej do harmonijnego poziomu.

P. Carnegie wierzy bezwzględnie w reformatorską siłę oświaty i jest przeświadczony, iż pod jej wpływem społeczeństwo angielskie zrzuci z siebie średniowieczny kaptur, który dotąd zatrzymało, i przyswoi sobie społeczne ideały, na których się wychowali jego bracia po drugiej stronie Atlantyku. Zostawiając tedy na stronie i pomijając zupełnie fundacye kościołów, szpitali, instytucyi dobroczynnych itd., poświęci on olbrzymią swą fortunę na biblioteki, czytelnie i zakłady naukowe rozmaitych typów i gatunków. Już dotąd założył w Szkocyi kilkanaście publicznych bibliotek, a ostatnim jego czynem było ufundowanie dwóch katedr nauk ścisłych w nowo organizującym się uniwersytecie w Birminghamie. Bez obawy fałszywego prosectwa można z góry oświadczyć, że przed upływem kilku miesięcy Wielka Brytania otrzyma fundusz jakich 20 milionów, podarowany jej na krzewienie oświaty. Cała jej przeszłość nie jest w stanie pokazać równie wspaniałego indywidualnego daru. Trzeba serdecznie przyklasnąć szlachetnym zamiarom p. Carnegie. Społeczność angielska, mimo swego bogactwa, nie obraca funduszków narodowych na szkolnictwo, zostawiając spełnienie tego zadania inicjatywie indywidualnej działalności stowarzyszeń duchownych i świeckich. Akcya państwowa pedagogiczna znajduje się jeszcze w niemowlęctwie. Łatwo tedy dostrzedz w organizacyi szkolnej angielskiej najrozmaitsze szczyby i braki, często do pojęcia trudne. Brakowało kapitałów



do ich zapełnienia i wzniesienia organicznej budowy. Obecnie świata nadzieja, że miliony pana Carnegie będą dla niej węgielnym kamieniem.

---

Lata jubileuszowe, wielkie historyczne rocznice, jak trzechsetletnia Cromwella, albo urodziny w lata posuniętych narodowych wielkości, wywołują zazwyczaj, obok specjalnych ceremonii, datę tę upamiętniających, całą literaturę, która, na szczęście, nie zawsze jest tylko okolicznościowa. Tak się tu stało nie z Cromwelem jedynie, ale i z Herbertem Spencerem. Gdy ten ostatni obchodził niedawno 80 rocznicę urodzin, świat umysłowy skorzystał z tej okazji, aby mu oddać hołd czci i poważania. Zebrano fundusz, za który akademicki malarz, p. Herkomer, wymalował jego portret, przeznaczony do galerji portretów wielkich mężów krajowych.

Niema wątpliwości najmniejszej, że Herbert Spencer jest potężnym umysłem, który na całym stuleciu wycisnął swe piętno, a filozofia ewolucyjna, której jest przedstawicielem i twórcą, urobiła na swej modle umysł anglo-saksońskiego szczepu.

Jezeli hołd był zasłużony, to nie można zaprzeczyć, że był spóźniony. Cały świat współczesny kruszył oddawna kopie za filozofię ewolucyjną albo przeciw niej, a publiczność angielska sama jedna nie zdawała się troszczyć o jej autora. Przez długie lata ceniony był przez wyższe jednostki i cieszył się przyjaźnią wielu umysłowych znakomitości, ale był, bądź co bądź, osamotnionym myślicielem, pracownikiem bez poparcia u żadnego naukowego ciała, u żadnej krajowej instytucji. Człowiek, który wzbogacił swą ojczyznę najdoskonalszą nauką syntezą, człowiek, z którego dzisiaj jest dumną, byłby zmarł całkowicie, gdyby miał mniej wytrwałości i mniej zahartowanego ducha. Gdyby Herbert Spencer, zamiast być samoukiem, przeszedł był przez gimnastykę klasyczną jednego z dwóch uniwersytetów krajowych, Oksfordu lub Cambridge, ciało naukowe, którego byłby członkiem, było-by go popierało i ułatwiałoby mu umysłową produkcję. Skoro rozwinął się i wyolbrzymiał poza ich koteryą, te potężne organizmy uważały za właściwe nie o nim nie wiedzieć i o niego się nie troszczyć, chociaż stopniowo i widocznie wpływ jego nauki prze-

niakał do najgłębszych pokładów myśli narodowej i ukształtował całe pokolenia.

Można powiedzieć, że niema dzisiaj żadnego wykształconego Anglika i Amerykanina, który-by świadomie lub nieświadomie nie był wyznawcą doktryny ewolucyjnej. Filozofia ta zatryumfowała zupełnie, i jeżeli można przewidzieć, że i jej panowanie się skończy, jak się skończyła wszechwładza pozytywizmu Comte'a, to niema jeszcze oznak nowej syntezy. Świat umysłowy angielski długo jeszcze iść będzie po szlakach, przez tego mistrza wytkniętych.

Cała literatura życiorysów i komentarzy Herberta Spencera i jego dzieła zjawiała się przy tych 80-letnich urodzinach jego. Najbardziej interesującą jest monografia szkockiego profesora, Hektora Macphersona. Życiorys nie obfituje w szczegóły, bo też żadnych nadzwyczajnych wydarzeń w życiu filozofa nie było. Emerson miał słuszną, mówiąc, że najkrótsze biografie są biografie geniuszów: żyją przedewszystkiem przez swe pisma. Wychowywany przez lat kilka przez wysoce wykształconego stryja, nie odpowiedział jego życzeniom, gdyż nie czuł popędu do greczyzny i łaciny i nie przygotowywał się do Uniwersytetu, lekceważąc jego omszałą rutynę. Za to z nieustającym zapalem badał nauki przyrodnicze w różnych ich gałęziach. Fakta a nie abstrakcyjne teorye gromadził przez długie lata w swym umyśle. Jako inżynier cywilny przy powstających wówczas drogach żelaznych, a następnie jako podwydawca tygodnika „*Ekonomisty*“, przez lat dziesiątek miał sposobność zbadać zagadnienia społeczne. Powoli, dojrzewał w umyśle jego pogląd syntetyczny na przyrodę, człowieka i społeczność ludzką. Kilka tu i owdzie ogłaszanych monografi nie wysunęły go o tyle na pierwszy plan, aby należało przewidywać w nim wielkiego mędrca. Gdy w 1860 r., a zatem w 40 roku życia, Spencer ogłosił swój plan ogólny nowej teoryi kosmosu i zapowiedział, że całe swe następne lata poświęci opracowaniu tego światopoglądu, było to istotnie zuchwałstwo nie lada. Ale mniej jeszcze temu zuchwałstwu dziwić się należy, aniżeli temu, że dzieła tego dokonał, że się z zadania tego wywiązał.

Przeszkód do wykończenia swego przedsięwzięcia miał Herbert Spencer wiele: przedewszystkiem brak zdrowia i majątku. Przepracował się i zmuszony był przerywać swe dzieło nieraz na długie miesiące. Wydawał swe pisma własnym kosztem, bo nie znalazł na nie nakładcy. Drukowane w 750 egzemplarzach nie rozchodziły się i do 1870 r. stracił na tych wydawnictwach 1,200 f. szer., a na same tablice socyologiczne wydał 3,000 f. szt. Dopiero, gdy uczynił odezwę do czytelników, że, przywiedziony do materialnej ruiny, zaprzestać bę-



dzie musiał dalszego wydawnictwa, utworzył się w Stanach Zjednoczonych komitet, który mu funduszków niezbędnych dostarczył. Przyjął je jako pożyczkę i spłacił, gdy po 24 letniej pracy pozwoliła na to nakoniec sprzedaż obfitsza jego dzieł. Inne ofiary, czynione przez przyjaciół i wielbicieli, między innymi J. St. Milla, po przyjacielsku odrzucał.

I szły w świat jedne po drugich „Pierwsze zasady“, „Zasady psychologii“, „Zasady Socjologii“, „Zasady Moralności“, ze wszystkimi swemi podziałami i pojedynczo szczegółowo opracowaniami częściami. A starzejący się mędrzec miał nie tylko to rzadkie zadowolenie, że całości dokonać mu się udało i że olbrzymi gmach stanął wykonany aż do ostatnich szczegółów, ale że mógł przedsięwziąć, po ukończeniu pierwszego, drugie poprawne wydanie swej filozofii.

To drugie wydanie pozwoliło mu w przypiskach i notach odpowiedzieć na rozmaite krytyki i zarzuty, wyjaśnić miejsca źle zrozumiane i i wątpliwe i wziąć w rachunek postępy dokonane w biologii i socjologii od chwili gdy przed czterdziestu laty program swój zakreślił. Nikt lepiej od samego autora nie mógł podjąć się windykacji jego naukowej syntezy, chociaż nie brakuje mu dzisiaj pełnych zapалу uczniów, adeptów i stronników. Doktryna ewolucyjna utworzyła sobie już szerokie łożysko naokół kuli ziemskiej, przenikła do najoddalniejszych jej zakątków, a dzieła Herberta Spencera, przetłómaczone na dwadzieścia języków, zyskały sobie powszechne prawo obywatelstwa.

Niema potrzeby już dzisiaj ani kruszyć za tę doktrynę kopii, ani wyluszczać jej podstaw, przemówiła za siebie sama. Nie ulega wątpliwości, że wniknęła głębiej w ostatnie przyczyny, aniżeli to czynił pozytywizm Comte'a, który od ich dociekania z góry się zastrzegł. Zasadnicza jego podstawa, że siła żadna w naturze nie ginie, że nie znika, ale się przetwarza i w coraz wyższych manifestuje formach, nie tylko w coraz wyższych, ale coraz bardziej uspecjalizowanych, nie znajduje już dzisiaj opponentów. Ciągłość fenomenów i ścisły związek oraz zależność organizmu od otaczającego go środowiska stały się oklepanką. Zapatrywanie się na społeczność już nie z politycznego stanowiska, ale z biologicznego, i uznanie konieczności i metody rozwijania się w niej postępu, oddało niezaprzeczone usługi i odda większe jeszcze, gdy na tej podstawie dalsze badania czynione będą. Podczas, gdy inne filozoficzne szkoły usiłowały sztucznie pogodzić różne pierwiastki przeciwdziałające jedne drugim, Herbert Spencer po nici ewolucyjnej przeprowadza je z jednego stadyum na drugie i nie jakościowe, ale ilościowe tylko znajduje pomiędzy nimi różnice. Gdy się przypomni dawniejsze systematy filozoficzne Anglii, rozpoczynające się

od Bakona, Hobbesa, Locke'a, a kończego się na Berkeleyu J. St. Millu, to się widzi, że łączy je z Herbertem Spencerem zasada eksperymentalna i zależność od stanu nauk. Ale zadanie Spencera stało się o wiele rozleglejsze właśnie wskutek olbrzymiego rozrostu nauk. Jedyne radykalny ich przewrót, którego przewidywać jeszcze nie podobna, mógłby zniweczyć dzieło myśliciela, dla którego materya i duch nie są przeciwieństwami, ale tylko dwoma obliczami rzeczywistego bytu.

---

Jak się samo przez się rozumie, 300 rocznica urodzin Cromwella dała powód, nietylko do całego szeregu historycznych monografi i politycznych studyów, lecz i do pamiątkowych obchodów. Ale chociaż trzy wieki blisko zaciążyły już nad jego płytą grobową, chociaż stało się elementarną prawdą, że był on najznakomitszą postacią nowoczesnej Anglii; to widocznie są jeszcze ludzie, którzy mu wielkości odmawiają, traktują go jako przeciwnika, nie chcą mu przyznać prawa do apoteozy i nawet użyczyć prawa do spokoju. Widocznem jest, że poruszył on zagadnienia, które żywotności swej nie postradały dotąd: inaczej-by stronnictwa nie wciągały go nieustannie do swych zbrojnych zapasów. Gdy p. Wertheimer ofiarował Izbie Gmin piękne popiersie Protektora, część Parlamentu chciała to dzieło sztuki, stare a szczęśliwym trafem odzyskane, odrzucić; nie chciał się także Parlament zgodzić na wzniesienie mu posągu w imieniu narodu, a gdy kosztem prywatnym wzniesiony został w obrębie westminsterskiego pałacu, to umieszczony być musiał w niewłaściwym podrzędem miejscu, aby protestacye „wrogów królobójcy“ rozbroić.

Może się to wydawać śmiesznem z oddalenia, ale tu dzieje rewolucyi XVII wieku nie przestały być żywotnem tętnem, roznamiętniają społeczność i czynią po dziś dzień zadanie historyków nielattwem, gdy tej spornej dotyczą epoki i analizują osobistość, w której się ona skryształizowała.

Niepodobna wyliczyć tutaj wszystkich prac, jakie ogłoszone zostały od roku o Cromwellu. Obok największego z żyjących historyków angielskich, Samuela Rowsona Gardinera, którego specjalnością stały się, jak wiadomo, dzieje XVII stulecia i którego każda nowa praca pozwala nam lepiej i głębiej wnikać w naturę skompliko-



waną wielkiego protektora, największą uwagę zwróciła książka Sir Richarda Tangye, pod tytułem „Dwaj Protektorowie”. Naturalnie, że nawet żywa sympatya dla autora nie pozwala postawić tej monografii na tym samym poziomie, co „Olivera Cromwella”, Gardinera. Jeżeli to drugie jest posągowielem dziełem i ostatnim wyrazem historycznej krytyki dzisiejszej, to właśnie przez swój poważny nastrój nie może poruszyć kręgów szerokiej publiczności. A właśnie do tego celu dąży praca Sir R. Tangye. Ten gorliwy orędownik Cromwella znany był, jako posiadacz pięknej kolekcji portretów, dokumentów i relikwi tej epoki, i stały się one arcy-ciekawą ilustracją jego dzieła. Nadały mu w każdym razie piętno autentyczne, zbliżyły tego „największego z Anglików,” jak go nazywał Carlyle, a czemu nie zaprzeczał ani Fryderyk Harrison, ani dr Horton, ani Gardiner, do naszego pokolenia: w tych bohaterskich postaciach postrzegamy rysy i szczegóły ludzkie, że tak powiem, codzienne. W tem-to właśnie główna zasługa pracy Sir R. Tangye. Jedynym zarzutem, jaki temu popularnemu utworowi uczynić trzeba, jest to, że autor posuwa swego ducha wojowniczego aż do rozmaitych wycieczek, a nawet napaści na współczesne zagadnienia Państwa i Kościoła. Obraz epoki Cromwella ma sam w sobie interes tak dramatyczny, że te napomknienia, skierowane do całkiem odmiennych momentów historycznych, zakłócają jednolite wrażenie, którego od autora oczekiwać miało się prawo.

Rozglądając się w różnych pracach, odnoszących się do powyższego przedmiotu, niepodobna pominąć mowy, wygłoszonej na obchodzie trzechsetletnim Cromwella przez Lorda Rosebery. Ogłoszona następnie drukiem, mowa ta znalazła liczne koło czytelników i była komentowana wielostronnie. Naturalnie, że osobistość wielkiego męża stanu przyczyniła się do zjednania tej mowie wyjątkowego rozgłosu. Jakiegokolwiek kwestyi dotyka się Lord Rosebery, zawsze umie uczynić ją żywotną, dzisiejszą. Umysł jego błyszczy tysiącami promieni oszlifowanego dyamentu, a w osobistym jego interesie życzyć-by należało, ażeby, zamiast się rozpraszać w tylu kierunkach, zechciał zogniskować się w jednym. Nikt za historyka specjalnego uważać go nie myśli; wszelako ileż głębokich, ile nowych, ile pobudzających rysów rzucił od niechcenia w tej charakterystyce Cromwella: wystarczyły-by one niemieckiemu historykowi do grubego tomu z nieskończoną ilością cytata i odsyłaczy. Lekko, prawie nie tykając się drażliwych punktów, Lord Rosebery wnika w naturę zajadłej walki, jaka toczyła się pomiędzy purytanizmem a królewskością, i wskazuje, że jest niesłusznem uznawać heroizm jedynie w pierwszym, a odmawiać go orędownikom drugiej.

Czysty, idealny nastrój purytanizmu był głównym czynnikiem w propagandzie za nową formą rządu, głównym, ale nie jedynym. Przypomina też mówca słusznie, jaki łańcuch wypadków, nieporozumień, straconej wiary w działalność Karola I, doprowadzić musiały do katastrofy. W zgodzie z najgruntowniejszymi badaczami owej epoki, Lord Rosebery nie podaje w wątpliwość dobrej wiary Cromwella i jego szczerości: protestuje przeciwko tym, co go podejrzewają o hypokryzję, a sam trafnie a dowcipnie określa go jako „praktycznego mistyka”. Znając zagorzały patryotyzm i imperyalizm Lorda Roseberga, czytelnik z góry wyobrazić sobie potrafi hold, jaki on złożył pośpieszył Protektorowi, który położył podwaliny roli wszechświatowej Wielkiej Brytanii.

Co do p. Gardinera, to chociaż sam ostatnią swą pracę o Cromwellu mieni słowem ostatecznem, dodatkowem i końcowem, nie rezygnujemy bynajmniej, aby się tak stało. Nie można wierzyć klątwom i przysięgom kochanków: poróżnieni powracają zawsze przed ołtarze miłości. Rozkochał się on do tego stopnia w opoce rewolucyjnej i jej bohaterach, że nie potrafi innym już holdować bogom. W swej ostatniej pracy przedstawił nam Cromwella jako żołnierza i jako męża stanu. Nikt lepiej od niego nie potrafi dopełnić jego postaci brakującymi jeszcze stronami.

Przedewszystkiem uderza w sposobie i metodzie historyka to, że uniknął owego „uwielbiania bohaterów”, którem Carlyle grzeszył i o które rozbiła się jego sława, jako dziejopisa. A trudność w obecnym razie była tem większa, że Cromwell sam wierzył i sam się uważał za opatrnościowego działacza. Gardiner, pomimo, że wielkość jego uznaje, nigdy nie pada przed nim na kolana, nigdy nie czyni go nad-człowiekiem, dostrzega jego usterki, niekonsekwencye, i umie być sprawiedliwym względem Karola. Wzniosłe piękniemi są strony, w których pokazuje się niemożliwość dla króla, wierzącego w swą misję i w swe prawo z Bożej łaski, przyjęcia warunków, jakie mu narzucała rewolucya. Wszystkie intrygi, wszystkie wykryty, któremi się pierwaj posługiwał, pierzchły od razu, gdy zażądano od niego ofiary, która-by w jego własnem sumieniu jego majestat królewski raz na zawsze zniweczyła. Jest prawdziwym historykiem, kto szalę sprawiedliwości tak wysoko wznieść potrafi. Ale jest jeszcze inna nieoceniona zaleta dzieła p. Gardinera, mianowicie sposób, w jaki uwidocznia wzrost i rozwój militarne go despotyzmu i niebezpieczeństwo, jakie on niósł z sobą i dla państwowego organizmu, i dla ducha społeczeństwa.

Bez żadnych deklamacyi, tem mniej potrzebnych, że w dzisiejszej Anglii kwestya militarne go despotyzmu jest anachronizmem, i że



walczyć z nim na ostre, jest donkichotowską awanturą, historyk ustala w nas przekonanie, że w epoce Cromwella, pomimo zbawczych rezultatów późniejszych, naród stał nad przepaścią, igrał bezwiednie z ostrzem miecza: losy jego ważyły się wtedy, i doprawdy, tyle szczęścia, co zasługi, że Anglia na schyłku XVII stulecia na spokojnych znalazła się wybrzeżach.

---

Sezon teatralny londyński nie odznaczył się w tym roku żadnym pierwszorzędnym epokowym utworem. Naprzód trzeba wyłączyć operę w Covent-Garden. Niema w niej nigdy, albo rzadko przynajmniej zjawiają się nowości; orkiestra i chóry zostawiają wiele do życzenia, a artyści o głośniejszej reputacji, zjeżdżający się tutaj ze wszystkich stron świata i śpiewający zazwyczaj każdy w swym narodowym języku, z wyjątkiem naszych Reszków, którzy, jako polygloci, śpiewać mogą we wszystkich—stanowią rodzaj bigosu hultajskiego gwiazd, ale nie mogą nigdy dać wrażenia jednolitego, spójnego. Konwencyonalność tych reprezentacji uderza w tym roku bardziej jeszcze, niż zazwyczaj. Wyższe warstwy towarzyskie uczęszczają do opery dla tego, że wymaga tego od nich ich światowe stanowisko. Ani istotnego znawstwa, ani prawdziwego zamiłowania muzyki nie posiadają.

Szybki, niespodziewany odjazd Jana Reszkego posłużył za pretekst, że uczęszczać do Opery nie warto, i loże przerażały pustką.

Gdy się wie, że reprezentacje w Covent Garden trwają zaledwie jakie dwa miesiące, a że przez resztę roku Londyn nie posiada Opery, gdy się wspomni, że kilka przedsięwzięć stałej Opery narodowej zbankrutowało sromotnie; to chciało-by się odmówić publiczności tutejszej wszelkiego smaku i wszelkich zdolności muzycznych. A jednakże koncerty wirtuozów i koncerty symfoniczne cieszą się tutaj ogromnem powodzeniem, a są miasta, jak Birmingham, których filharmonijne koncerty, oratoria etc., wymagające olbrzymich wysiłków i starannych przygotowań, posiadają już oddawna europejską sławę. Trzeba się tedy wstrzymać od wydania bezwzględego wyroku. Jednakże wolno się zadziwić, słysząc o projekcie wybudowania w jednym

z miast prowincjonalnych idealnego teatru, który ma być Beyreutem angielskim. Wspaniałe ongi, o monumentalnych budowlach miasto Bath, miejsce kąpielowe, zostało obrane jako siedlisko tej przyszłej angielskiej Opery. Mają się tam przez dwa miesiące, albo trzy, corocznie odbywać doskonale przedstawienia oryginalnych oper krajowych. Przedsięwzięcie, zdaje się, zuchwałe, gdyż pomimo kilku konserwatoryów muzycznych i widocznej pracy nad kształceniem muzyków, nie widać dotąd takiej produkcji, aby trzeba było wybierać dla niej stolicę, budować teatr i urządzać turniej muzyczny.

Nie można wątpić, że się znajdą fundusze na to artystyczne przedsięwzięcie, gdyż w bogatej Anglii znajdują się one na wszystko, ale pytanie, czy znajdzie się powodzenie. Napróżno oglądamy się za mistrzem, coby wydobył harmonijne dźwięki z tej harfy. Miejmy nadzieję, że się opery zrodzą, gdy się wybuduje dla nich nieposzlakowana siedziba.

Jeżeli poważniejszej muzyki nie są hołdownikami, to natomiast przepadają Anglicy za operetkami. Jest sześć teatrów w Londynie grających je bez przerwy i nawet podczas skwarów letnich, gdy się inne teatry pozamykały jedne po drugich, one zawsze rachować mogły na pełne sale. Operetki liczyć mogą swe przedstawienia na setki, nie skąpią tedy kosztów na jaskrawą i błyskotliwą wystawę sceniczną.

Balety, piosnki bez sensu, ale z nieprzyzwoitą podszewką, usiane dwuznacznikami, obfite alluzye do publicznych i lokalnych wypadków improwizowane przez aktorów, bawią niewybredną publiczność i pozwalają jej spędzić wieczór bez żadnego umysłowego wysiłku. Nie potrzeba zapewne dodawać, że z wyższą sztuką nie takie operetki nie mają wspólnego. Można je wszystkie sprowadzić do jednego mianownika i trzeba szczególnej łaski, aby odróżnić i wynieść głębokie wrażenie z „San Toy“ albo „Florodon“ z „Belle of New-York“, albo „Casino Girl“, z „Messenger Boy“, albo innej jakiej tego rodzaju sztuki. Tego tylko zaprzeczyć nie można, że marnuje się i gubi w tych szumowinach nie jeden talent artystyczny, wart lepszej doli.

Wypadkami teatralnymi sezonu miały być dwie sztuki cudzoziemskie olbrzymiego rozgłosu: obie zawiodły oczekiwania.

Pierwszym było „Quo Vadis“, osnute na arcydziele powieściowem Sienkiewicza. Sprawa ta musi być znaną w najdrobniejszych szczegółach czytelnikom naszym: zbytecznem było-by je powtarzać.



Amerykańska przeróbka pióra Stanisława Stange uprzedziła przeróbkę Wilsona Baretta, upoważnioną przez autora. Była ona tak surowo i tak jednogłośnie potępiona przez krytykę tutejszą, że pomimo energicznych wysiłków dyrekcji i niejednej zalety wspaniałego uscenizowania, skończyła swój zawód po kilkotygodniowej, bezskutecznej walce. Zaledwie się podwoje Adelphi zamknęły za Amerykanami, przybył, stugębną poprzedzony reklamą, p. Wilson Barrett ze swoją wersją „Quo Vadis.“

Ponieważ zapoznaliście się z nią w Warszawie, niema potrzeby rozpisywać się w tym przedmiocie. P. Barrett, ażeby uniknąć losu swych współrodaków, wystawił swą sztukę w przedmieściowym teatrze Kensington tylko przez tydzień i pośpiesznie wywiózł ją następnie na objazd prowincjonalny. Czy powróci na zimę do stolicy, jeszcze nie wiadomo, ale dotąd nie zanosi się na to.

Drugą sztuką, co zawiiodła oczekiwania teatralnego przedsiębiorcy, był „Cyrano de Bergerac,“ Rostanda. Gdy z nim tu Coquelin przybył przed rokiem, teatr był przepelniony i powodzenie fantastyczne. Lecz widocznie widzowie należeli do tej wykształconej kosmopolitycznej publiczności, która potrafiła była wnikać w ducha tej heroicznego komedii, zrozumieć gaskoński pióropusz, pojąć literackie alluzye. Genialna gra francuskiego aktora rozjaśnił też musiała to, co dla Anglików mogło być mniej łatwym do pojęcia.

Ale, gdy p. Karol Wyndham tę samą sztukę w swym teatrze wystawił, nie było śladu najmniejszego entuzjazmu. On sam do powodzenia sztuki przyczynić się nie mógł. Delikatny, wycieniowany jego komizm nie mógł zastąpić olbrzymiej „facondy“ Coquelina, a i płuc jego mu brakowało! Widzowie, chociaż przekład był dokonany starannie, potykali się na każdym kroku o ilości nieznane, a nie będąc porwani południową werwą, rozbiegali, rozumowali swe wrażenia.

Najświetniejsze fajerwerki Gaskończyków śwędziły dymem, a gorąca lawa wulkanu lodowaciała w atmosferze parteru. Klaskano, boć to grał popularny Wyndham, boć wiedziano, że sztuka jest arcydziełem, ale serdecznej nici pomiędzy sceną a salą nie było. Trudno było płynąć przeciw wodzie i, po krótkiej kampanii, Cyrano zniknął z widowni.

Lepsze powodzenie znalazła natomiast inna francuska sztuka, ale nie można tego powodzenia uznać, jako zaletę publiczności tu-

tejszej, gdyż wywołała [je grzeszna ciekawość zakazanego owocu, zamięłowanie w skandalicznych sprośnościach, w krańcowym naturalizmie.

Sztuką, którą mam na myśli, jest „Zaza“, jeden z ostatnich tryumfów znakomitej paryskiej aktorki, Rejany. Jeżeli dziwić się nie można francuskim pisarzom, iż piszą dla niej popisowe role, to nie trzeba zapominać, że artystka może być w nich przedziwną, a sztuka nie posiadać najmniejszej wartości. Tak właśnie dzieje się z Zazą, która jest paniekąd wersją Kamelkowej Damy, ale pospolitą i zniżoną do sfery Cafés chantants. Zazę grała tutaj amerykańska aktorka, pani Leslie Carter, bez dowcipnej, lekkiej, subtelnej gry Rejany. Brutalne strony zostały podkreślone i wzbudzić mogły niesmak.

Jeżeli takie było zdanie krytyki, to nie dzieliła jej publiczność, pieprznej strawy łakoma.

Oprócz wznowionych na scenie teatru Haymarket klasycznych komedyi Sheridana, nie widzę z oryginalnych utworów nic do zaznaczenia, chyba nowoczesną sztukę, graną przez p. Jerzego Aleksander w jego teatrze St. James, p. t. „The Man of Forty“, i lekką komedię o olbrzymim sukcesie, graną wciąż jeszcze w Criterion p. t. „Lady Huntworth Experiment“.

Autorem pierwszej jest p. Walter Frith, znany z kilku dawniejszych salonowych komedyo-dramatów. Obecny świadczy także o wielu drugorzędnych i technicznych zaletach, ale nie pokazuje kapitalnych. Idea naczelna obraca się około kollizyi pomiędzy uczuciami młodego jeszcze, a szlachetnego ojca, który pragnie ożenić się z kobietą, złamaną pierwszym nieszczęśliwym małżeństwem, a 18 letnią jego córką, która się zakochuje w nikczemnym mężu tejże kobiety. Węzeł tragiczny rozplątuje się wprawdzie przez gwałtowną śmierć tego awanturnika, ale psychologiczne zagadnienie nierozstrzygniętem zostaje. Powodzenie było chłodne.

Za to komedya p. Carton znalazła nader gorące przyjęcie. Napisał on ją dla temperamentu swej żony, pani Compton, która jest osiłą tej wesołej sztuki. Nie brakuje oryginalności pomysłów. Lady Huntworth, rozwiodłszy się z mężem, nałogowym pijakiem i łotrem, szuka zapomnienia i schronienia, oraz środków utrzymania, przyjmując obowiązki kucharki w oddalonej prowincjonalnej plebanii. Wielka dama nieznana, a kucharka jednocześnie, oto pozycja, rodząca sceny niespodziane. Wzbudza uczucie miłości u sług i u panów, i natu-



ralnie odnawia ją dawniejszy jej mąż, który ofiaruje jej ponownie swą rękę, dowiedziawszy się, że została bogatą. Szczególniej ubawiły widza sceny, gdzie życie służby domowej pochwycone zostało na uczynku: blizka to nas a tak nieznaną sferal Doskonale odegrana, komedia dała panu Cartonowi nareszcie sukces, za którym napróżno dątał gonił.

DR M. E. NEKANDA-TREPKA.

---

# Eliza Orzeszkowa.

---

Pojęłam i ukochałam ideę czynu i zapra-  
gnęłam w własne ją wcielić życie.

(„Ostatnia miłość“).

## I.

Pierwszy drukowany utwór Elizy Orzeszkowej ukazał się w roku 1866 na szpaltach „Tygodnika Ilustrowanego“ pod tytułem: „Obrazek z lat głodowych“. Autorka pensyonarskiem jeszcze piórem przedstawiła upośledzenie ludu wiejskiego i obojętność wyżyn społecznych na jego dolę. Po „Obrazku“ nieprzerwanym i długim szeregiem idą po sobie takie nowelle, opowiadania i powieści, jak: „Syn stolarza“, „Początek powieści“, „Rozstajne drogi“, „Ostatnia miłość“ (1867), „W klatce“, „Wesoła teoria, a smutna praktyka“, „Na prowincyi“ (1868), „Z życia realisty“, „Cnotliwi“, „Pan Graba“ (1869), „Pamiętnik Waclawy“ (1870), „Na dnie sumienia“ (1871—2), „Marta“ (1873), „Stracony“. Szereg ten świadczy, iż w chwili wystąpienia Orzeszkowej na widownię, nie sprawa włościańska, lecz inne zagadnienia przeznaczeń ludzkich były najbliższe sercu i myśli autorki. Istotnie, według jej własnych zeznań, pomiędzy pierwszymi owocami jej pracy były powieści, zatytułowane: „Regina“ i „Ludzie i ro-



baki". „Regina“, jak się zdaje, odżyła później w „Ostatniej miłości“, a wyrażenie „ludzie i robaki“ odnajdujemy w „Początku powieści“. Ten „Początek“, jest to coś w rodzaju szkicu, czy programu, którego różne strony autorka wykonać pragnęła w późniejszych swych utworach. „Obrazek“ zaś i „Syn stolarza“, to dopiero próby pióra, to pierwsze ruchy ręki nieśmiałej i drżącej, i dlatego wskazującej nie ten punkt, który przykuł do siebie całkowitą uwagę osoby. Punktem owym był stosunek kobiety do mężczyzny w małżeństwie i dola kobieca wogóle. A jednak okoliczność ta, że „Obrazek“ poprzedził w druku wszystkie inne utwory, jest prawdziwie znamiennej, gdyż wewnętrzna praca duchowa znakomitej naszej bojowniczkii o cele humanitarne rozpoczęła się właśnie od rozmyślań nad położeniem ludu wieśniaczego w chwili przelomowej na początku siódmego dziesięciolecia wieku naszego. Sprawa tej warstwy właśnie wprowadziła do jej duszy ów ferment, który ujawnił głęboką różnicę usposobień pomiędzy ludźmi, co powinni byli stać obok siebie najbliżej, — ów ferment, który, wytrącając kobietę z powszedniej kolei losów niewieścich i skazując ją na długie samotne walki z sobą, włożył wreszcie jej pióro do ręki. I oto stała się jedną z pierwszych słuźebnic narodu, a zarazem jego dumą, jego chwałą i rękomią żywotności jego. Nie myślę zgoła utrzymywać, by okoliczności, o których tu napomknęto, wyjaśniały w zupełności działalność twórczą autorki. Dużo mieli-byśmy w takim razie znakomitych powieściopisarek. Wyjaśnienie to znajduje się chyba w tym nieprzepartym pociągu do rojeń, który już siedmioletniej dziewczynce nakazywał wespół z siostrą Klimunią scenizować różne zdarzenia historyczne, silniej wstrząsające młodziutkie serduszka, w tych tajemniczych głębinach organizacyi, w których ukrywało się usposobienie do wyobrażania sobie ludzkich przeznaczeń i stosunków w postaci dramatycznej. „Sama natura wlała we mnie zarody serdecznego i poważnego mego życia, lekceważenie wszystkiego, co bywa innym fałszywą monetą życia“, — powiada, jakby w imieniu autorki, jedna z jej bohaterek („Ostatnia miłość“). Przejścia osobiste tylko wyzwoliły ów pociąg ukryty, lecz go nie stworzyły. Ale rodzaj przejść wpłynął potężnie na skierowanie myśli i uczuć ku pewnym stronom życia ludzkiego, najbliżej związanym z jej własnem położeniem. I oto dłaczego cała jej energia twórcza skupia się na zagadnieniach tego rodzaju, pomimo że promienie, od świata nizin odbite, odegrały w jej duszy rolę bodźca.

Sprawa kobieca stanęła przed Orzeszkową przedewszystkiem od strony uczucia, łączącego dwoje osobników odmiennej płci: stara się ona rozejrzeć w przyczynach, których skutkiem bywa tak często nie-szczęśliwe dobieranie się stadł małżeńskich. Przeciwwstawiając swo-

je zadanie artystyczne celom swych poprzedników, a których powieść kończyła się wraz z pierwszym dźwiękiem „Veni creator”, Orzeszkowa, doprowadziwszy swe pary do ołtarza, pisze dopiero „początek powieści,“ gdyż przed bohaterami jej jest jeszcze długie pasmo dni, dni posępnych i smutnych. Dlaczego tak? Ponieważ próżność i samowola rodzicielska połączyła tu węzłem dozgonnym z jednej strony „mężczyznę-człowieka“ z „kobietą-lalką“, z drugiej— „kobietę-człowieka“ z „mężczyzną-robakiem“. W „Rozstajnych drogach“ mężczyzna namyśla się, którą wybrać: lalkę, czy człowieka? W pierwszej większej swej powieści: „Ostatnia miłość“, autorka z większą tylko dobitnością wypowiada swe przekonanie, już szkicowo w „Początku powieści“ zaznaczone, iż niezbędnym warunkiem trwałości związku małżeńskiego jest jednakże tło uczuciowe i umysłowe, pokrewieństwo wyobrażeń, dążeń i pracy. Rozumie się samo przez się, iż jeżeli ludzie podają sobie rękę na wspólną dolę lub niedolę, związek taki o tyle zadosyć uczynić może etycznym wymaganiom, o ile się opiera na uczuciu, nie na jakichś ubocznych względach. Biada wszakże, jeśli wyboru dokonuje niepodzielnie tylko bezwiedny, ślepy pociąg, jeśli w chwili stanowczej władza kierownicza wydarta zostaje rozwadze. Jedynie za pomocą tego ostatniego czynnika ocenić możemy, czy przyszłość kojarzącej się pary zawiera w sobie rękojmię szczęśliwego pożycia. Bo oto chwile młodzieńczych umiesień mijają, i ludzie, różniący się temperamentem, przyzwyczajeniami, widnokręgami swemi, oddalają się wreszcie od siebie. Małżeństwo, którego początkiem była miłość najpoetyczniejsza, najzupełniej obca wszelkiemu wyrachowaniu, — małżeństwo takie staje się łańcuchem obowiązku, pod którego ciężarem schną i marnieją istnienia ludzkie.

Myśli, z naciskiem wypowiedziane w „Ostatniej miłości“, stają się osią budowy we względnie najlepszej w tym okresie powieści: „Na prowincyi“. I w tym zresztą utworze, jak we wszystkich poprzedzających, jak w niejednym z późniejszych, wnioski Orzeszkowej ukazują się nam w postaci dydaktycznej raczej, niż dramatycznej; okoliczność ta w połączeniu ze szczupłym zasobem spostrzeżeń, z brakiem wprawy pisarskiej, pozbawia pierwsze dzieła zalet pięknościowych. A jednak z tych niezręcznie kreślonych kartek, z poza tych, naiwnie często wypowiedzianych, kazań, wyziera niekiedy oblicze samotnej kobiety, stęsknionej do słońca, do życia, do uśmiechem rozjaśnionych twarzy, do rąk, wyciągających się z życzliwym uściśnieniem. Wpatrzmy się na przykład uważnie w te pogodne, z lubością kreślone obrazki szczęścia rodzinnego; spójrzmy na te opuszczone postacie niewieście, z których ust zlatuje westchnienie: „Z pośród zimnego, samotnego istnienia i z głębi mego serca wolam: o życie rodzinne! o słońce!“



(„Ostatnia miłość“). Owóż to spodem toczące się gorzkie uczucie i bolesna zaduma nad losem wielu istot, skazanych na zimno i opuszczenie, sprawia, że pomiędzy mnogością moralizatorskich i sztywnych stronic błysnie tu i owdzie ustęp, pełny prawdy życiowej i pociągający szczególnym jakimś urokiem. Niejeden znajdzie się tu rys tak żywy, że gdy cała treść obrazka zniknie z pamięci, ten tylko pozostanie nietknięty. Przypomnijmy tu sobie naprzykład Lolę Bogacką, do tego stopnia zajętą gałgankami wyprawy, że przez mgłę zaledwie rozróżnia twarz narzeczonego („Rozstajne drogi“); przypomnijmy p. Lubomira (z późniejszego nieco „Pamiętnika Wacławy“), wprawiającego w radosne wzruszenie serca pańien swą deklamacją: „jak wędrowiec, zbłąkany w piaszczystej pustyni“ i t. d., aż do oazy. Zwłaszcza wyśmienicie umie autorka odtworzyć stan młodej dziewczyny. „panny na wydaniu“ z jej rozmarzeniem, z jej nieokreślonymi trwogami i dążeniami.

Orzeszkowa, rozglądając się w pewnej kategorii zjawisk, nie zatrzymała się nieruchomo przy warunkach szczęśliwego połączenia Nury i Pompiliusza. W jej usposobieniu twórczem tkwi samorzutna dążność do uogólnień, do skupiania poszczególnych zjawisk i wypadków w szeregi i do odszukiwania powszechniejszej przyczyny takiego szeregu. Od pierwszej chwili, to jest od „Początku powieści“, poczęła wskazywać liczne źródła niedomagań społecznych i jednostkowych w fałszywym kierunku, który otrzymuje młode pokolenie od starszego. Wychowanie Zofii Swatowskiej, lalki, marzącej tylko o strojach i zabawach, uwarunkowane było dumą, próżnością i brakiem treści wewnętrznej ze strony jej rodziców. Było to już uogólnienie, ale uogólnienie jeszcze dorywcze, więc nietrwałe i pozbawione głębszego znaczenia. Lecz mocą uwagi, skierowanej wciąż na pewien określony rodzaj objawów życiowych, uwagi tak skupionej, że aż bolesnej, i mocą wrodzonych uzdolnień syntetycznych, ze spletanego chaosu zjawisk, w którym istnieją zarodki wszystkich późniejszych tworów, i zarazem nic nie istnieje w skończonej postaci,—z tego chaosu wyodrębniać się zaczęły po kolei szeregi przyczyn i następstw, i łączyć się wedle zasad bliższego, lub dalszego pokrewieństwa. Stąd każdy niemal utwór Orzeszkowej w tej dobie jest niby szkicem następnego, gdyż to, co w jednym dziele tylko znajdowało się w polu widzenia, w późniejszym staje się już przedmiotem umyślnego badania i środkiem, dokoła którego gromadzą się podrzędne, niemniej ważne szczegóły. Dla Loli Zytzkowskiej w „Początku powieści“, dla Reginy w „Ostatniej miłości“, przyczyną złego wyboru, ukrywającego w sobie zawiązek dramatu w przyszłości, nie tyle jest może nacisk ze strony starszych, co wychowanie, które nie uzdolniło kobiety do

wykrzycia wilka w skórce baraniej, lub też osła w jego naturalnej postaci. W okresie powstawania wymienionych utworów, na dnie poglądów Orzeszkowej spoczywa tradycyjny dogmat, że jedynym przeznaczeniem kobiety, jej „karyerą“, jest wyjście za mąż, a rozważa, owoc należyście pokierowanego wykształcenia, ma grać rolę odczynnika rozpoznawczego, o ile „karyera“ jest istotnie „karyerą“. Cokolwiek później na odczynnik ten włożono zadanie nieco subtelniejszej: za jego pomocą nie tylko można się obronić od pospolitego oszustwa i podstępny, lecz zarazem sprawdzić, czy istnieją rękojmię trwałości spójni małżeńskiej; za jego pomocą można zatamować ślepy pociąg przyrodzony („Na prowincyi“); ma on wreszcie służyć nie na jednorazowy użytek w chwili wyboru, lecz być stałym przewodnikiem w rządzeniu się sobą, w uniezależnieniu się od władzy popędów, łamiących istnienie kobiece i męskie (Klotylda Warska jako „Kameleon“ w „Klatce“). W tejże powieści poruszono inną stronę zagadnienia: w braku warunków, które-by dostarczały ujścia dla sił wewnętrznych, mężczyzna wkłada całą swą duszę w uczucia miłosne, łamie się podstawa życiowa, albowiem: „każdy człowiek w cośkolwiek wlać musi całą energię swoją i miłość“. Kobieta zaś, gdy nie wypełnia życia miłością żony i matki, wkładać musi siebie w błahę próżnostki. Wychowanie czyni dla niej pracę i naukę niedostępną. Nauka i praca, wskazane tu tedy jako ideał, z trudnością dający się osiągnąć na wypadek życiowych zawodów. Powoli jednak, odwracając się od poprzedniego punktu widzenia, z którego kierunek, nadany w dzieciństwie kobiecie, miał jej służyć do doraźnego użytku, autorka coraz wyłączenie zastanawiać się zaczyna nad trwałymi skutkami wychowania, nad zagadnieniem: skąd pochodzi niezmierna ilość kobiet-lalek? w pyłe pelzających mężczyzn-robaków? Nie w omyłce jakiejś chwilowej, lecz w przyczynie powszechniejszej należy dobadywać się źródła skrzyżowanych pojęć i skrzywionych charakterów, przez które kobiety bywają unieszczęśliwione i same unieszczęśliwiają („Pamiętnik Wacławy“, „Pan Graba“). Już w „Pamiętniku Wacławy“ sprawa kobieca przestaje być wyłącznie zagadnieniem miłości i związku małżeńskiego, jakkolwiek przeczy temu szablonowa budowa powieści, a całkowicie już staje się sprawą pracy i sprawą dostojności niewieściej w „Marcie“. Rozmaitość motywów przy pozornej ich jednostajności, rozszerzony zakres objętych zjawisk i typów, idzie równoległe z rozwojem i wyjaśnianiem się pojęć, które przebiegły długą drogę, od skargi Heleny („Rozstajne drogi“), że jest pozbawioną o p i e k i ramienia męskiego, przez zdanie Wacławy: „bardzo szczęśliwie jest, jeśli kobieta wyjdzie za mąż, bo w rodzinnem życiu najprędzej znaleźć zdoła szczęście dla siebie i sposobność stania się miłą i pożyteczną



drugim, ale że przecie łatwo zdarzyć się może, że za mąż nie pójdzie...“ , aż do namiętnego wykrzyknika: „wedle praw i obyczajów ludzkich kobieta nie jest człowiekiem, kobieta to rzecz“, „kobieta—to kwiat“, „kobieta — to zero; niema dla niej ani szczęścia, ani chleba bez mężczyzny, jeśli chce żyć“ („Marta“). Widzimy tedy, że utwory Orzeszkowej są jakby ogniwami jednego łańcucha, ogniwami, które różnostronnie zahaczają się o siebie i jakby wywijają się z poprzedzających. Przekształcają się one wraz z powolnem przesuwaniem się punktu widzenia, mnożą się i różniczkują, ale łączyć ich nie przestaje to samo uczucie i trwałość rozwoju ideowego. W ten sposób, zamiast prostego zagadnienia: szczęścia dwojga istot odosobnionych, ukazuje się wreszcie czytelnikowi mnogość zjawisk społecznych, których skutki się krzyżują, potęgując się wzajemnie w działaniu. Ewolucya tematów jest jednocześnie ewolucją przekonań i analizy, której wiele stopni w tym pobieżnym zarysie z konieczności opuścić musieliśmy.

Wskazana tu stopniowość rozwoju poglądów na pewną kategorię objawów życia społecznego każe nam widzieć w Orzeszkowej typ umysłowości naszej, uważanej nie w pojedynczych jej przedstawicielach, lecz w masie narodu. Pewne warstwy intelligencji, albo jednostki, mniej lub więcej wśród ogółu osamotnione, w mniej lub więcej zwarte koła skupione, mogą w tym lub innym względzie uosabiać obcą kulturę, być wyobrazicielami gdzieindziej wyrosłych ideałów i pojęć. Czyż tak nie było w dobie oświecenia, w okresie wpływów romantycznych, w porze „pracy organicznej“, o ile się praca owa zaznaczała krzewieniem zasad naukowych, ze źródeł ogólnoeuropejskiej oświaty czerpanych? Czy tak wreszcie nie było jeszcze w dniu wczorajszym, w dniu napływu poglądów kosmopolitycznych? Ale społeczeństwo, jako ogół, wchłaniając w siebie prądy zewnętrzne, co jest pocieszającym objawem żywotności jego, nie odchyła się nigdy krańcowo od tych podstaw tradycyjnych, na których wspiera się gmach jego wyobrażeń, dążeń, zwyczajów. Ten powolny wzrost i stopniowe przekształcanie się pojęć, wspierających się jednak wciąż na gruncie zwyczajowym, uważaliśmy w pierwszych dziełach Orzeszkowej. Nie wystąpiła ona jako reformatorka, okryta stalową zbroicą jakiejś, we wszystkich szczegółach wykończonyj, doktryny; nie myślała nigdy o usunięciu starych budowli i stawianiu na tem miejscu nowych. Marzyła tylko o dokonaniu w wygodnem, dawno wzniesionem domostwie drobnych zmian i drobnych ulepszeń, które-by jednak odświeżyły powietrze i otworzyły dostęp światłu. Tylko z biegiem czasu okazywała się potrzeba zmian coraz donioślejszych i znacznějších.

Kiedy nadeszła ta „wielka burza, co ptaki z gniazd i płochości z sere wyganiała“, a która równie z serca autorki wyrzuciła płochość, a ją samą, pośrednio przynajmniej, z gniazda wygnała,—gdy nadeszła ta burza, za autorką, według jej własnego świadectwa, nie było uniwersytetu ani akademii żadnej. Własnej pracy duchowej zawdzięcza wszystkie swe zdobycze, własną lampką rozświecać musiała ciemności, które ją otoczyły. Nie uniknęła, oczywiście, wpływu ówczesnej atmosfery umysłowej. Na każdej niemal karcie z najwcześniejszych jej dzieł (choćby w „Synu stolarza“, oddziaływanie ideowych prądów tej doby pozostawiło ślady tak wyraźne, że przeoczyć ich niepodobna. Niemniej typem w kształceniu się analizy Orzeszkowej jest pewien rodzaj samouctwa i mozolne torowanie sobie drogi. Punktem wyjścia jest zawsze pewien zwyczajowy układ stosunków i wyobrażeń, w którym wyjmują się te, lub owe ściany, rozszerzają się okna i drzwi, lecz podwaliny zostają nietknięte... cchyba-by wreszcie i na nie kolej przyszła. Oczywiście, postępując tą drogą, nie zawsze się uniknie sprzeczności w pojęciach, chwiejności w dążeniach. Z uniesieniem rzucony gorący protest: „kobieta—to kwiat, kobieta—to zero“, brzmi cokolwiek dziwnie wobec tradycyjnego wzoru: mężczyzna—to powaga, siła, rozum; kobieta—to wdzięk, światło, ciepło. Ale skądinąd, ponieważ każde niemal słowo, przez autorkę wypowiedziane, było owocem długiego namysłu i bolesnej nieraz zadumy, stała się ona niebawem przewodniczką ruchu emancypacyjnego, stała się mózgiem i sercem współczesnego sobie pokolenia niewiast; a nawet jej wahania, jej zatrzymywanie się w pół drogi w krytyce pewnych zjawisk, czyniły jej prace bliższymi pojęciom ogółu, więc potęgowały poniekąd wpływ jej na słuchaczki. Ona wskazywała im te warunki, w których się one istotnie obracały, nasuwała myśli, które się w nich same przez się w owych zamkniętych widnokręgach najłatwiej budzić mogły, wskazywała wreszcie wyjścia, w ich położeniu najdostępniejsze. Kształciły się one i rosły wraz z Orzeszkową, postępując jej śladami.

Wszystkie te okoliczności, o których wyżej mówiliśmy, wraz z indywidualnem usposobieniem autorki, na które się składa głębsza, lecz nie wybuchowa uczuciowość, utrzymywana w karbach przez jasną samowiedzę, — wszystkie te okoliczności, powiadam, wydały taki skutek, iż kierunek myśli Orzeszkowej, a zwłaszcza sposób ich wypowiedzania, posiada wybitne znamiona spokojnej równowagi. Autorka „Pamiętnika Waclawy“ i „Pana Graby“ nieraz wprawdzie była narażoną na ostre i bezwzględne zarzuty burzycielstwa; ale gdzie miarą wszelakiej doskonałości jest zastój zupełny, tam najmniejsze poruszenie wydać się może wstrząśnięciem, pociągającym groźne niebezpieczeństwo. Swoją drogą, ci, co kładą wielki nacisk na umiarkowania



poglądów Orzeszkowej, może nie zawsze są zupełnie ścisłymi w swych zapewnieniach. Autorka „Maryi“ wie, że „niezadowolenie rodzi powątpiewanie i protest, a z powątpiewań tylko i protestów powstają wielkie myśli i nowe tory“. Nie uległa się ona i w „Na prowincyi“, i w „Panu Grabi“ dotknąć pewnych wierzeń, uświęconych przez czas i uznanie powszechnie; poważyła się przyznać do rozczytania się w Darwinach, Moleschottach i t. p., do toku myśli, pokrewnego kierunkowi filozofii pozytywnej. Co zaś do sprawy, która przez lat dziesiątek jej uwagę niemal wyłącznie pochłaniała, co do sprawy niewieściej, prawdą jest, że w utworach jej nie spotykamy się nigdzie z kobietą uczoną, a pewna sawantka, którą poznajemy tylko z opowiadania, jest dziwolągiem. Ale okoliczność ta jest jeno skutkiem zmysłu praktycznego, który, nie zrzekając się zgoła szerszych widoków, trzyma się jednak położeń realnych, by wyciągnąć z nich wnioski najbliższe i podać rady, łatwe do wykonania w chwili bieżącej. Już w czasach, kiedy się opatrywało „Kilka słów o kobietach“ („Tygodnik mód“, 1870) bezlikiem lekkich omówień i zastrzeżeń: życie rodzinne, to kamień węgielny obyczajów, to przybytek cichy i poświęcony. w którym kobieta chroni się od burz świata; kobieta uwolnić się chce nie od przyzwoitości i prostoty, lecz od klątwy wiecznego niewolnictwa i anielstwa i t. d., — już wtedy autorka pozwala się domyślać, iż żadnego zawodu (aż do tek ministerjalnych) nie uważała-by dla kobiety za niewłaściwy, tylko... wedle stawu grobla. Później stała się śmielszą w formułowaniu swych wniosków, kiedy zaczęła przypuszczać, że w umyśle jej czytelników nie powstanie takie skojarzenie pojęciowe: emancypacya i dom nierządu.

Jeżeli przed chwilą wspomnieliśmy o formułowaniu wniosków, mieliśmy na myśli ich wyraz teoretyczny, nie artystyczny. Co do tego ostatniego, wykonanie przez czas długi jeszcze pozostaje daleko w tyle poza najskromniejszymi wymaganiami. Sztwyne nachylenie osób, położeń, dyalogów, wypadków do założenia, nadaje pierwszym dziełom Orzeszkowej koloryt sztuczności i deklamacyjności, niekiedy bardzo naiwnej. Nietylko z tych utworów nie dał-by się przewidzieć późniejszy świetny rozwój talentu, ale wprost niepodobna rozpoznać na pierwszy rzut oka, co by w nich mogło wyrzucić na czytelniku wrażenie poważniejsze. A jednak nie ulega wątpliwości, że niektóre dzieła jej z tego okresu wywarły wrażenie wprost wstrząsające, a fale wpływu rozeszły się szerzej o wiele, niż to sprawić mogły utwory późniejsze, acz głębsze i doskonalsze. Do takich należą: „Pamiętnik Wacławy“, „Pan Graba“, „Marta“, zwłaszcza „Marta“. O tej powieści wszyscy zgodnie twierdzą, iż uzyskała rozgłos całkiem wyjątkowy, a znaczenie jej porównywano nawet ze znaczeniem „Chaty wuja

Toma" p. Beecher Stove i „Emila“ Rousseau. Związki kobiece w Niemczech jeszcze w kilkanaście lat później szerzyły wśród ludności niewieściej znajomość tej książki za pomocą odczytów. Terazniejsze pokolenie kobiet, wzrosłe i wychowane w warunkach całkiem innych, wśród innych już poglądów i w innej atmosferze, nie może mieć nawet pojęcia, czem były przed ćwierćwiekiem dla ich matek utwory Orzeszkowej. Ileż-to młodych dziewcząt, które dotychczas w błogiej bezczynności pędziły życie w oczekiwaniu męża, jako jedynej deski ratunku przed straszniejszem nad wszystko staropanieństwem, przypatrując się malowanym przez Orzeszkową postaciom, poznawały w nich siebie i swe otoczenie. „Takie, takie jesteśmy. — powtarzały ze smutkiem i skrucą — i niedołężne, i puste, i do życia niezdolne, do walki z niem nieprzygotowane. We wszystkich zakątkach naszego kraju, w z a k ą t k a c h mianowicie, oddalonych od ruchu umysłowego, nieświadomych nowych prądów i świeżych powiewów chwili, ukazanie się powieści Orzeszkowej wywołało niezmiernie zajęcie, budziło tysiące myśli, wzniecało mnóstwo gorących rozpraw i sporów. Zasepiwały się troską czoła matek, zdjętych nagłym niepokojem, czy dotychczasowy system sztucznej hodowli d usz dziewczęcych, strzeżonych, jak od zarazy, przed wszelką stycznością z życiem rzeczywistym i poważnymi, a ciężkimi jego zadaniami, — system, zabijający wszelką indywidualność i wszelką inicjatywę, czy nie przeżył się już raz na zawsze? Czy nie należało-by go zastąpić innym? Jakim? Tego właśnie nauczała Orzeszkowa. Że tam ta, lub owa praktyczna wskazówka (zalecanie rzemiosł) okazała się zawodną, jest to rzecz naturalna, gdyż nie istnieje zagadnienie ekonomiczne sprawy kobiecej, odrębne od ogólnych praw rozwoju stosunków gospodarstwa społecznego. Lecz chybione, czy nie, wskazówki wstrząsały do dna istnienia niewieście, budziły w nich pożądanie zrzucenia z siebie klątwy „wiecznego niewolnictwa i wiecznego anielstwa“. Oto dlaczego kobiety zwracają do Orzeszkowej okrzyk: „Błogosławiona bądź, przewodniczko nasza“!

Niezgodę między formą, a wywieraniem wrażeniem, więc najistotniejszym składnikiem w szeregu pierwiastków estetycznych, można uważać za symboliczny wyraz rozstroju pomiędzy różnymi czynnikami w tej dobie, która znalazła swe odbicie w dziełach Orzeszkowej, wprawdzie niedoskonałe, ale w przybliżeniu prawdziwe. Nie było prawdy w szczegółach, w indywidualnej postaci zjawisk, czy osób, ale była w ogólnym rysunku. W ten sposób w dziełach Orzeszkowej był dopełniany jeden z najważniejszych warunków arcyzmu. Zatrzymajmy się tymczasem na jednej stronie obrazu, na położeniu kobiety. Otóż, zarówno jak istniała niezgoda pomiędzy idealnymi dążeniami Orzeszkowej, a ich artystycz-



nem wcieleniem, tak też żywiłowo wywijające się ze zmienionych warunków bytu aspiracji niewieściej rozbiły się co chwila o całokształt pojęć, przyzwyczajzeń i stosunków, będących wpływem już rozpadającego się układu sił społecznych. Przypomnijmy sobie Martę. Miała ona szczęśliwie usłane gniazdo rodzinne, lecz utraciła je przez wyrok losu. I oto jedynym pragnieniem jej stało się „żyć i jedynej istocie, którą kochała na ziemi, życie kawałkiem chleba podtrzymać“, i za to wygórowane żądanie znajduje marny koniec pod kołami omnibusu, przesładowana przez policję, jak złodziejka.

Dlaczego? Życie stworzyło dla Marty konieczność pracy, ale nie wytworzyło jeszcze jej możności. Więc społeczeństwo zamyka przed nią wszystkie drogi, na które-by wejść mogła. Marta nie może dzieciom wykładać początków nauk, albowiem nauczanie takie jest przywilejem mężczyzny; jubiler nie przyjmuje taniej i zdolnej pracownicy, bo naraża się na śmieszność. Te i tym podobne tysiączne przytłaczające ideowe nie mają mocy powstrzymania pochodzącego rydwana dziejowego, ale łamią istnienie jednostek. A całkowita niezdolność Marty do pracy — czyż to jej wina osobista? Czy jej kalekie przygotowanie do życia nie jest zapóźnionem odbiciem tego stanu rzeczy. Kiedy „kobiety mogły spokojnie i użytecznie pędzić istnienie między prząsłnicą a różańcem“? Znaczna ilość niedomagań społecznych ma swe źródło w nierównomiernym wzroście tkanek ustroju towarzyskiego, w niedostosowaniu się do nowoujawnionych potrzeb sposobów zadośćuczynienia im. Zresztą, inaczej być nie może. Funkcyja zawsze poprzedza ukształtowanie się narządu.

Owóż w pierwszych utworach Orzeszkowej znalazł swój wyraz przechodni stan znaczenia się zniemochomiałych już stosunków, stan niespokojnego miotania się istot, duszących się z braku powietrza, lecz nieumiejących znaleźć wyjścia z zamkniętej przestrzeni („Pamiętnik Waławy“). Znajdujemy również u niej obraz tego błyszczącego świata wyżyn, który był dawniej światem samej autorki, znajdujemy obraz warstwy, której życie było nieustającą uczcią, wśród której topniało zdrowie i mienie, marniały serca i umysły („Pan Graba“). Gdzie należało szukać przyczyn takiego stanu rzeczy? W owym czasie autorka całkowitą niemal winę składała na matki, to jest na wychowanie. Wychowanie w jej pojęciu było to niby coś niezależnego od podścieliska, na którym wyrasta, było to coś, co łatwo zmienić i naprawić, jeśli trafić do przekonania grzeszących, rozczulić, wystawić zgubne skutki ich postępowania. Co było niedostatecznego, lub błędnego w teoretycznym ujęciu zjawisk społecznych, w ich początku i wzajemnem oddziaływaniu, to wyprostowała w późniejszej dobie wciąż pewniej krocząca myśl. Przerzucamy, dajmy na to, kartki roz-

prawy: „O kobiecie polskiej“, napisanej do książki Stantona (1882). Czytajmy: „Prostym wynikiem braku wszelkiego cienia publicznych działań i pierwiastków gwałtu, pychy i próżniactwa, spoczywających na podstawowej instytucji społecznej (poddaństwo chłopów), musiało być zaciemnienie umysłów, miękczenie się charakterów, materializowanie obyczajów“. Oto na jakim gruncie wspierał się świat Wacławy i Pana Graby. Ale z zawieruchy dziejowej powstawał świat nowy. „Najognistsza wyobraźnia z wielką trudnością przedstawić-by sobie mogła tę nagłość i radykalność zmian, którym niespełna w dwa lata uległy ekonomiczne i towarzyskie stosunki“. Ów świat błyszczących wyżyn, z którym poznajemy się już w pierwszym obrazku Orzeszkowej, został w podstawach swych zachwiany przez reformę włościańską, sposób jej przeprowadzenia i inne towarzyszące jej okoliczności. „Stąd też pod względem ekonomicznym ukoniecznienie pracy wytwórczej dla tych, którzy dotąd wyłącznie prawie spożywcami byli, pod względem społecznym — zdemokratyzowanie społeczeństwa przez zrównanie ich wobec prawa, a zmieszanie ich na polach prac i zarobków; pod względem moralnym — wyższy szacunek dla pracy, zjawiającej się jako konieczność i jedyny środek ratunku“. Ze zmianami temi ściśle się łączyła sprawa torowania sobie nowych dróg przez niewieściami część ludności. A nieodzowna potrzeba zapewnienia sobie bytu stawała przed nią tem natarczywiej, że znaczna ilość kobiet skazana była na samotne istnienie. Trudniej obecnie kojarzyły się pary, uczuwać się zresztą dawał brak ludności męskiej. Stąd podatność na wpływy ideowe, na krytykę, burzącą zwyczajowy układ wyobrażeń. To nam również tłómaczy niezmierny wpływ, który wywierały myśli, rzucane przez Orzeszkową.

W taki oto sposób to, co wyobraźni i umysłowi autorki przedstawiało się, jako szereg wypadków, położeń, charakterów, odosobnionych do pewnego stopnia, będących owocem nieporozumienia raczej i zlej, lub dobrej woli, niż przyczyn głębszych, to wszystko dojrzałej myśli ukazało się w postaci olbrzymiego morza, w którym jedna fala goni drugą, a którem do głębi wstrząsają potężne, żywiołowe siły. „Rodzinę Brochwiczów“ (1873) i poniekąd „Elego Makowera“ (1873 — 4) można uważać za znamienne objawy pogłębionego w ten sposób rozumienia rzeczywistości życiowej ze strony autorki. Losy niewieście w związku z zagadnieniami kształcenia, młodzieńczemi sercami i głowami, po dawnemu przykuwają jej uwagę. W „Rodzinie Brochwiczów“ stopniowo na plan bliższy wydostaje się postać Zańci, ofiary nienormalnego stosunku, panującego pomiędzy matką i córką; a obok niej widzimy inne ofiary wadliwego systemu wychowawczego. Ale sprawa ta jest już ściśle związana z całokształtem ogólnych wa-



runków bytu, jest częścią dziedzictwa, przekazanego przez przeszłość na równi z wielu innymi, ciężącymi nam skutkami już minionego układu sił społecznych. Orzeszkowa ma na myśli prawie wyłącznie warstwę ziemiańską, jedyną, którą obrazuje z doświadczeń osobistych. Otóż byt zabezpieczony, oparty na stosunkach pańszczyźnianych, nie stwarzał potrzeby czynnych wysiłków ducha i woli; życie duchowe płynęło wolno i sennie, lub istnienie swe objawiało w wybrykach i nadużyciach; nie było roli, na której-by zakiełkować i rozwinąć się mogły uzdolnienia do wytrwałego i samodzielnego torowania sobie ścieżek. Stąd, gdy zachwiał się grunt pod stopami, okazało się, że dzieci okryte są trądem niemocy życiowej, jak ich ojcowie. Lecz energia ludzka musi w czemskolwiek znaleźć swe ujście i uzewnętrznić się. I oto początek tej atmosfery rozbawienia i pracowitego próżniactwa, w której się stale nurzają bohaterowie i bohaterki Orzeszkowej tej doby, a która tak rozkładająco działa na wolę i umysł. Młodsze pokolenie nabytym popędem ukształcone jest do dogodnego i przyjemnego spędzania czasu, do błyszczenia i bawienia się w szczupłym i ściśle zamkniętym kółku swego światka. Ale nagle wstrząśnienie zmieniło układ warstw ziemnych, a na orkanami poranej glebie wzrosną rośliny świeże, przystosowane do zmienionych warunków klimatu.

Jak tę rolę uprawiać? Jak rośliny hodować? Autorka nie szczędzi praktycznych wskazówek. Najogólniejszym lekarstwem, przez nią zalecanem, jest żelazna wytrwałość, praca, nauka i chronienie się wszelkich złudzeń. Orzeszkowa wchodzi w szczegóły: rzemiosła, handel, różne zawody fachowe—oto środki ratunku, których-by chwycić się należało. W utworach jej roi się od prawników, lekarzy, inżynierów, — a wszystko to są dodatnie postacie. Jej bohaterki uczą dzieci, szyją na maszynach, kleją pudełka i t. p. Obowiązkom względem młodszej braci czyni zadość elementarz i szpital, i jeszcze przemysł fabryczny, który ma niezwłocznie sprowadzić osobliwe dobrodziejstwa na całe okolice. Wszystko to jest skąpane w pewnego rodzaju demokracyzmie, dość powierzchownym zresztą, bo jest on właściwie tylko protestem przeciw kastowemu zasklepieniu się w ograniczonym kręgu widoków. Wogóle mamy tu do czynienia z tak zwanym programem organicznym. Na tej stronie działalności pisarskiej Orzeszkowej nie będziemy się dłużej zatrzymywać, a to z dwojakiego powodu. W analizie autorki ujawnia się jej sposób rozumienia i odczuwania przedstawionych przez się zjawisk, i dlatego analiza owa znajduje się w ściślejszym związku z artystycznymi pierwiastkami utworów, i w swoim czasie wywierała na czytelników wpływ doniosły. Praktyczne zaś przepisy postępowania całkowicie już należą do dziedziny

publicystyki. Nadto program nie jest wyrazem samoistnej pracy duchowej autorki. Należy przecież zaznaczyć niektóre punkty wewnętrzznego pokrewieństwa pomiędzy jej indywidualnem usposobieniem a owoczesnymi poglądami. W postaciach takich, jak Kwiliński i Kwiatkowski, w wielokrotnie wyrażanej niechęci względem romantycznego roztkliwienia w poezyi i życiu, łaskocącego nerwy i rozhartowywującego wolę, w nacisku na konieczność trzeźwości i kierowania się wskazówkami rozsądku i namysłu, widzimy oddźwięk kampanii, prowadzonej przeciw piewcom makolągwy, róży i gila, zarazem atoli rozpoznajemy tu objaw zrównoważonej natury, w której twórczości nigdy nie było nic nerwowego. Nigdy wszelako autorka nie występowała w imię rozsądku przeciw istotnym prawom serca, a nawet jeden z najdawniejszych jej utworów („Z życia realisty“, 1868), uważać można, w pewnej części przynajmniej, za protest przeciw nadmiernym uroszczeniom głowy. Głodzone uczucie może naraz wybuchnąć z siłą żywiołową, budząc w „realisście“, obok swych skutków bezpośrednich, nadto jeszcze zdumienie: skąd się to we mnie wzięło?.. Powieść, o której tu wspomnieliśmy, w budowie niejednolita, w myśli przewodniej mętna, — w prawidłowo rozwijającym się szeregu utworów Orzeszkowej jest niby jakimś odskokiem, czy zejściem z prostej ścieżki. Wytlómaczyć to sobie można przypuszczeniem, iż istotną pobudką pisania była w tym wypadku przyczyna zewnętrzna, która z literackiego źródła wypłynęła. Mamy na myśli „Ulanę“ Kraszewskiego. Ale to tylko przypuszczenie. Jeszcze więcej odosobnione wśród innych dzieł autorki stanowisko zajmuje dwutomowa powieść: „Na dnie sumienia“ (1871—2). Niewątpliwie grunt przekonań Orzeszkowej pozostaje nienaruszony, a postać „księżniczki“ Manilki jest zapowiedzią niedalekiej już „Marty“. A jednak myślą przewodnią nie jest tu, jak we wszystkich poprzednich utworach, stosunek kobiety do mężczyzny, do siebie samej i do społeczeństwa; podrzędną rolę gra tu sprawa wychowania i uzdolnienie do życia pożytecznego w ciśnieńszem, lub szerszem znaczeniu. Autorkę zajmuje etyczne zagadnienie odmiennego rodzaju; jej uwagę pochłania fatalizm winy i kary. Nie mamy tu miejsca na bliższe dochodzenie przyczyn takiego odchylenia się twórczości Orzeszkowej od dotychczasowego kierunku; zdaje się nam jednak, że Anatola Dembielińskiego prototypem był Raskolnikow z rozgłośnego dzieła Dostojewskiego.



## II.

W przeglądzie działalności powieściopisarskiej zatrzymaliśmy się na „Rodzinie Brochwiczów” i „Elim Makowerze”. Na tę dobę przypada, według Chmielowskiego, powolna zmiana w trybie artystycznego tworzenia. Dość sobie uprzytomnić chronologiczne następstwo dzieł, by uwadze znakomitego badacza przyznać słuszość bezwarunkową. Idą teraz po sobie: „Pani Luiza” (1874), „Dziwak,” „Pompalińscy” (1875), „Szara dola” (1876), „Marya”, „Meir Ezołowicz” (1877). Znikają dydaktyczne rozprawy i komentarze, dialog staje się naturalnym, rysy postaci są już bliższe rzeczywistości, wynikliwość zdarzeń uniezależnia się od dowolności autorskiej, całość wywołuje nierównie większe niż dawniej złudzenie prawdopodobieństwa: wchodzimy w okres twórczości dojrzałej. Chmielowski za przyczynę takiego przeobrażenia podaje, obok naturalnego doskonalenia się talentu, wpływ realistycznej powieści francuskiej. Pragnąłbym zwrócić uwagę czytelnika na inny jeszcze czynnik zachodzących zmian.

Uważaliśmy, iż zagadnienia, które pierwotnie były jedyną osią twórczości Orzeszkowej, rozszerzały się stopniowo, łączyły się z coraz to odmiennymi, aż wreszcie zlały się całkowicie z syntezą, obejmującą bardzo rozległy obszar zjawisk społecznych. W miarę tego, jak upływał czas, oddalający autorkę od jej punktu wyjścia i zacierał dawne wrażenia i doświadczenia wobec nowej ich warstwy, oddalała się w pewnym rozumieniu od tegoż punktu jej myśl, znajdując zadośćuczynienie w podporządkowaniu szczególnych wypadków, zdarzeń i zagadek ogólnym prądom życiowym. Skończył się dla autorki jej dziesięcioletni okres burzy i rozpędu. Równowaga moralna była osiągnięta. Wydobywszy z gmatwaniny krzyżujących się pojedynczych faktów szereg prawd podstawowych, autorka w ich świetle będzie przedstawiała i sądziła charaktery i czyny ludzkie; lecz nie czując już konieczności wyjaśniania sobie tych lub owych twierdzeń ogólnych, nie pragnie też pouczać swych czytelników. Nie tylko metoda pisarska się nie zmieniła, lecz główne założenia utworów przestały być moralizatorskimi, co właśnie wytłómaczyć można ewolucją wewnętrzną. A tymczasem w ciągu tych lat wcześniejszych głęboko

ugruntowała się potrzeba obracania się wśród tworców wyobraźni, doskonaliła się wprawa pisarska, gromadził się zasób spostrzeżeń; budziła się ciekawość artystki do dramatów, dziejących się pośród ludzi, do szczególnych usposobień, wśród nich zdarzających się, ciekawość w znacznym stopniu bezinteresowna.

Autorka pragnie i te dramaty, i te usposobienia poznać i odczuć same w sobie, nie dla tego, żeby miały służyć za dowód lub przykład jaśniejszej zasady powszechnej. Zmienił się cel, ku któremu zdąża autorka, zmieniły się też i środki artystyczne. Wychodzi ona niejako z siebie i idzie w świat przed nią otwarty, pożądając nowych odkryć, a poszukiwanie to nie jest bezowocne. Działała tu zresztą jeszcze inna przyczyna zewnętrzna, o której niżej nieco. „Pani Luiza“ była pierwszym w tym kierunku krokiem, niestanowczym jednak, gdyż zaraz następnie mamy znów dwutomową powieść („Pompalińscy“), poprzedzoną tylko nieudatnym „Dziwakiem“, utwór, w którym chodzi nie o indywidualne usposobienie samo przez się, lecz o wyjaśnienie społecznej wartości pewnej warstwy w świetle mocno tendencyjnym. Mniemana pobożność i cnota to jedyna przywara, i mniemana arystokracja, to jedyna gromada w zbiorowym ciele społeczeństwa, dla których Orzeszkowa nie znajduje słowa pobłażania („Cnotliwi“ — „Pompalińscy“), lecz zdolność do satyry nie jest jednym z pierwiastków jej talentu. Jej satyra jest zawsze sztywne, przesadna i niezręczna. Dlatego też „Pompalińskich“ chętnie zaliczymy do dzieł poprzedniej doby.

Jeżeli „P. Luiza“ była zapowiedzią nowego okresu, „Szara dół“ należałoby uważać za jego otwarcie. Odtąd Orzeszkowa zawsze będzie wydobywała z „Szarej doli“ poezję radości, poezję bólu i poezję szlachetnych uniesień. Dość wspomnieć obrazki „z różnych sfer“. Prawda, po drodze ominąć musimy jeszcze jeden objaw wahań się.

Mówię tu o „Maryi“. Z powieści tej wyjął-bym przedewszystkiem garść ślicznych aforyzmów; co do reszty zaś... trudno właściwie zdać sobie sprawę, dlaczego autorka opuściła zajęte stanowisko, dlaczego za przedmiot badania obrała nie to, co jest i dlaczego jest, lecz to, co być powinno. Chodzi tam o to, że nie wolno zrywać małżeństwa, jeśli rodzina, pomimo braku ścisłej duchowej łączności między małżonkami, jest dobrą i spełnia swe przeznaczenie. Można-by posunąć się do paradoksu, że „Marya“ jest w pewnym znaczeniu jedyną tendencyjną powieścią Orzeszkowej. Bądź co bądź, to pewna, iż etyczne zagadnienia, w „Maryi“ poruszone, nie bolały jej tak, jak zagadnienia „Marty“, „Pamiętnika Wacławy“, „Ostatniej miłości“. Dlatego spotykamy tu cnoty papierowe, namiętności teoretyczne tylko... Au-



torka jakby spostrzegła, że dawniej uderzając na te lub owe urządzenia społeczne, przedstawiając różne dramatyczne starcia, mogła dać powód do nieporozumień; więc oto chciała-by zasłonić się przed zarzutami burzycielstwa, chciała-by wyjaśnić i uzupełnić swe poglądy. Lecz wyjaśnienie takie jest raczej syllogizmem dydaktycznym, niż dziełem artyzmu, a w skutek tego odskok pomiędzy „Maryą“ a „Meirem Ezofowiczem“ jest olbrzymi, nie w rysach drobnostkowych, między którymi łączności dopatrzeć się łatwo, lecz wogólnem wrażeniu. Przeciwnieństwo pomiędzy „Martą“ i „Maryą“, i analogia z postaciami sióstr Łazarza w Ewangelii, nasuwa przypuszczenie, że „Marya“ była pomysłem dawnym, a równoległym z pomysłem „Marty“, i miała na celu przedstawić duchowy głód kobiety, jak pierwszy utwór obrazował jej niedolę ekonomiczną; lecz w wykonaniu, przez kilka lat odkładaniem, pierwotna idea utworu mogła zmienić się zasadniczo.

„Meir Ezofowicz“ poprzedzony był, według wszelkiego prawdopodobieństwa, dwoma mniejszemi obrazkami, z życia żydów małopolskich „Silny Samson“ i „Daj kwiatek“. Jednocześnie (1877—81) w opowiadaniach i nowelkach autorki prawo obywatelstwa zyskują inne żywioły miejskie („Julianka“, „Milord“, „Czternasta część“, „Sielanka nieróżowa“). Zresztą już w dawniejszych utworach, zwłaszcza w „Elim Makowerze“, autorka odtwarzała sceny z bruku ulubionego jej „Ongrodu“ (Grodna), czy „Onwilu“ (Wilna). Mówiliśmy wyżej o zmianie, która się dokonała w wewnętrznym usposobieniu Orzeszkowej w okresie pisania „P. Luizy“ i „Szarej doli“. Zmiana ta, ujawniająca się w sposobie tworzenia, zaznaczyła się również, jak dostrzegamy obecnie, w przeniesieniu się uwagi badacza na nowe pole doświadczeń. Warstwa ziemiańska przestała być przedmiotem wyłącznego jej zajęcia się i troski. Miało to swój odpowiednik w kolejach życia samej Orzeszkowej, która około r. 1870 na stałe zamieszkała w Grodnie. Okoliczność ta wprawdzie, jako całkiem zewnętrzna, na razie nie wpłynęła na odwrócenie kierunku, w którym się twórczość powieściopisarki rozwijała, lecz dostarczyła możności rozszerzenia postrzeżeń na obce dotychczas autorce dziedziny zjawisk i stosunków. A jej przewodniczką pośród błotnistych zaułków było wielkie współczucie dla spraw i nędz ludzkich, jasnowidzenie bólu i dojrzała myśl... W tym też czasie, jak wiemy, dobiegła kresu w swym naturalnym rozwoju pierwsza doba działalności twórczej.

Dotychczas nie poddawaliśmy rozbirowi pojedynczych utworów Orzeszkowej, powołując się na nie tylko jako na wytyczne słupy drogi, którą wraz z autorką przebieść musieliśmy. Dla „Meira“ jednak odstępimy od tej zasady, o ile to podobna w szkicu tak pobieżnym, jak niniejszy, a to z dwu powodów. Najpierw nie łączności, która wiązała każde niemal poprzednie dzieło z następującem, zerwana została od kiedy autorka przestała spoglądać na świat z jednego wyłącznego punktu widzenia, od kiedy przed oczyma jej przewija się cała różnorodność spraw i usposobień. Po drugie „Meir“ głębią zapału artystycznego, włożonego weń przez autorkę, siłą i trwałością wywieranego wzruszenia, plastyką tła i scen zbiorowych, urokiem i polotem poetyckim, góruje nad niejednym z dzieł późniejszych i artystycznie bardziej wykończonych; i we własnym dorobku Orzeszkowej, i w ogólnym skarbcu powieści polskiej, utwór ten zajmuje jedno z najwydatniejszych miejsc.

Gdy spoglądamy na owoc artyzmu prawdziwego z pewnej odległości, prawie zawsze budzi się w nas chęć poznania, jaką była dusza artysty, jak on czuł, o czym marzył, wydobywając z siebie dzieło natchnienia? Klucza do szczegółowej genezy „Meira“ nie posiadamy. To jedno pewna, iż niepospolite to serce, które nie tylko teoretycznie umiało wytlómaczyć położenie i wady ubogiej i ciemnej ludności żydowskiej, lecz przez umiłowanie wykryć w niej trwałe ziarno idealnych pożądań i tęsknot, i stworzyć świetlaną postać Meira. Ideowo ostatnie dzieło łączy się z „Elim Makowerem“. I tu, i tam widoczne jest przekonanie autorki o konieczności bliższego poznania się i porozumienia między obcymi sobie plemiennie, lecz sokami tej samej ziemi karmiącymi się warstwami narodu. Tendencya ta uczyniła ze wstępu w „Meirze“ rodzaj rozprawy publicystycznej, uwidoczniła się zresztą z pewną przesadą w słowach i czynach głównego bohatera. Cały dramat Meira wytrysnął z samorzutnego krytycyzmu, z wzywania się w podania ksiąg ojczystych, z głębokiego wrodzonego poczucia sprawiedliwości, z boleści na widok najbiedniejszych i najbardziej upośledzonych swych braci. Więc dążenie jego do „obcych“ światła nie zawsze jest w powieści uzasadnione i powoduje nawet niekiedy pewną sztuczność rysunku, zwłaszcza w rozmowach z Berem. Te jednak i tym podobne szczegóły, które przy dobrej woli oczywiście wyszukać można, na ogół wrażenia nie wpływają zgoła. Poważniejszy o wiele jest tu inny wzgląd. Każdemu czytelnikowi nasuwają się



z pewnością wątpliwości, czy możliwy jest taki Szybów, do którego, mimo licznych związków z otaczającym go światem, ze świata tego nie dochodzą żadne cokolwiek głośniejsze odruchy, i który wciąż pozostaje wyspą, odgrodzoną od lądu niezmierną przestrzenią wodną? Czy w takim Szybowie możliwy jest rwący się do ideału Meir, każdą okruszynę światła czerpiący tylko z Mojżesza Majmonidesa, albowiem najmniejszy błysk nie dochodzi go z zewnątrz? Te linie konturu za wsze będą stawać w sprzeczności z naszym poczuciem prawdopodobieństwa, o ile potrafimy skupić na nich uwagę. Lecz oddajmy się fali, cofnijmy się myślą o lat dwadzieścia, wyobraźmy sobie zapadły kąt Litwy, oddalony od szlaków, któremi płynie potok ludzkości, wejźmy za autorką w świat przez nią stworzony... Gdy nas otoczy, gdy na jego rzeczywistość przystaniemy, a przystać musimy, tak spójnie wszystkie szczegóły powieściowe łączą się z sobą, nic już nas nie wytrąci z nabytej równowagi. Tak samo, gdy płyniemy na statku, poruszając się wraz z nim i mijając brzegi, chociaż od stałego lądu oderwani, spotykamy jednak wokół siebie te same twarze, te same sprząty i ściany. Na chwilę nici, łączące nas z ziemią, zostały przecięte, świat skurczył się do drobnego skrawka przestrzeni. Każdy utwór o zakroju epickim jest, w mniejszym lub większym stopniu, takim chwilowym kosmosem, poza którym dla nas już nic nie istnieje, w którym panuje właściwe mu prawo. Powieść pod tym względem ograniczone ma przywileje, to prawda. Jednakże w „Meirze“, kiedy pozostajemy pod bezpośrednim wrażeniem, które jest tak potężne, iż nie rozprasza się po zamknięciu książki, lecz przez długie miesiące narzuca się nam pośród gwarów dnia powszedniego, ciskając swą smugę płomienną, kiedy pozostajemy pod tem wrażeniem, najłżejsze wstrząśnienie nie przestrzega nas, że stopy swe opieramy nie o ziemię, lecz o ruchomy pomost. Każdy szczegół, każdy rys obyczajowy przemawia do nas przekonywająco swoją prawdą życiową. Niezrównana poprostu plastyka, dosadność charakterystyki, różnorodność usposobień i postaci, naturalność położeń, rozmów, czynów i ich wynikliwości, wszystko to pozostaje z sobą w doskonałej zgodzie. Te realistyczne znamiona pozwoliły autorce stworzyć dramat Meira, nam brać udział serdeczny w bohaterskich jego zapędach reformatorskich. Ale ten tylko dramat, nie realizm przedstawienia, niewysłowionym i nieprzewyciężonym czarem owiewa cały utwór. Potęguje to wrażenie głębokie współczucie, którem autorka okrywa pewne rysy charakteru i działalności Todrosa; dramatyczność napięcia kilku scen, zwłaszcza ostatniej—wyklinanie Meira; wysoce umiejętne przeprowadzenie duszy bohatera poprzez bolesne kolidy; wreszcie cudowny blask krótkiej, młodzieńczej sielanki. Czy Meir jest możliwy? A choć-

by możliwy, czy nie jest białym krukiem, który na szali sądów naszych względem ogółu żydowskiego zaważyć nie może? Oczywiście jest rzeczą, że wraz z autorką mówimy o skupieniach ludności izraelskiej w mniejszych miastach i miasteczkach „kresowych“. Przedewszystkiem Meir jest możliwym w powieści, a jest to względem najgłówniejszy. Po drugie, jeżeli pytanie powyższe jest jednoznaczne z innym: czy wśród tej warstwy ludności, o której mowa, mogą się znaleźć jednostki o gorącym sercu, o duszy miłością przepełnionej, o umyśle śmiałym, odwracającym się od powszednich zabiegów o pieniądź? jeżeli o to zapytujemy, to czyż odpowiadać trzeba? Na mojej drodze, przynajmniej, spotykałem biednych niewykształconych Żydów, którzy wyrosli wśród atmosfery bardzo dusznej, których akademią był cheder, a którzy z nienawiścią wspominali o latach swego dzieciństwa. W ich piersiach tłała jakaś zamglona iskra dążenia ku światłu umysłowemu i moralnemu. Z takich osobników składało się otoczenie Meira. Znałem i Meirów, którzy z podań ojczystych, z hymnów boleści swego ludu zaczerpnąć zdołali tyle namiętnej miłości względem swoich współwyznawców, że wpływy cywilizacyjne w tej mierze żadnej już nad nimi władzy nie miały. Zapewne, już nie spotykilibyśmy obecnie takich Ezofowiczów, którzy-by całą swą treść duchową aż do ostatniej kropli wysnuli z własnej tylko cywilizacji.

Powróćmy do dawnej przenośni, do podróży na statku. Jakkolwiek wyszukaliśmy sobie na nim miejsce dogodne, miękki fotel, przyjemne towarzystwo, terażniejszość wszakże nie zaspakaja nas, otwieramy okno, lub wchodzimy na pokład, by puścić wzrok po wodnem przestworzu, by spojrzeć na skraj widnokregu. „Meir Ezofowicz“ o tyle jest powieścią żydowską, o ile przedstawione tło pozwala nam wewnątrz domu płynącego osiągnąć złudzenie stałości otoczenia.

Lecz poza tem Meir, zarówno, jak Uriel Acosta, to mijający kształt odwiecznej walki między Ormuzdem i Arymanem, pomiędzy ciemnością a światłem, pomiędzy przeżyta i krepującą formą życia a jego nowemi idealnemi objawami i wymaganiami. Tu jest spójnia duchowa pomiędzy czytelnikiem a bohaterem; ten akord sprawia, iż przed nami odsłania się naraz olśniewająca i bolesna zarazem perspektywa; i stąd pochodzi nasza pewność iż „Meir Ezofowicz“ będzie zawsze policzony do arcydzieł przez Orzeszkową stworzonych, i do arcydzieł powieści polskiej.

Nie mamy tu miejsca na zastanawianie się nad drobniejszemi szkicami, czy to będzie „Silny Samson“, czy też „Julianka“, lub „Czternasta część“. Możemy tylko wskazać pobieżnie wspólne ich



rysy, w których się ujawniło dobitnie usposobienie autorki. Mówią niektórzy, iż Orzeszkowa, pomimo że stworzyła wiele postaci, drgających prawdą, życiem i wyrazem, nie stworzyła w utworach swoich typów, które-by przeszły na własność literatury. Odkładając tymczasem na stronę zagadnienie typów, musimy przyznać, że istotnie nieraz, pomimo bardzo silnego wrażenia, sprawianego przez całość, pojedyncze postaci, o ile zechcemy spojrzeć na nie uważniej, wydają się cokolwiek niewyraźnemi, brak im wydatnych rysów osobniczych. Widocznie w zakresie talentu Orzeszkowej przeważa zdolność przedstawiania raczej stosunków, niż charakterów. Zwróćmy tymczasem uwagę na inną właściwość realizmu autorki: jest to pewna idealizacja ludzi, ich czynów i namiętności, pewien koloryt pobłażliwy i łagodny, w którym kształty tracą swą ostrość brzegów, barwy swą krzykliwą jaskrawość. Czy autorka nie widzi rzeczywistości lub ją umyślnie przeinacza dla celów tendencyjnych, dla łatwego roztkliwiania czytelnika itp.? Czy obrazy nie są prawdziwe? Ach, nie tak! Ona doskonale zna i widzi, i nędzę fizyczną, i trąd moralny, którym się okrywają istnienia ludzkie. Tylko „może już serce moje tak utworzone, iż nienawidzić ani pogardzać nie zdoła”, — zwierzała się autorka jeszcze w „Pamiętniku Waławy”. W obrazach swych ona nie pomija rzeczy złych i brzydkich, lecz upodobała sobie wynajdywanie stron pogodniejszych, jaśniejszych i podnioslejszych. I największym dowodem niepospolitego talentu jest okoliczność, że czytelnik, poddając się władzy autorki, wraz z nią przeważnie te strony widzi, czuje, rozumie. Orzeszkowa ukazuje nam skarłalą i zgnędziałą roślinkę, osypaną złośliwemi naroślami, kurzem okrytą, lecz ukazuje w takiej chwili, kiedy promienie słońca, pod stosownym kątem padając, ozlaczają biedną istotkę polyskami uroku poetyckiego. Te iskry dojrzeć i temi iskrami przed naszymi oczyma zamigotać, to jej troska serdeczna. A że mocą uwagi w jeden punkt skupionej widzimy tylko to, na co w oznaczonej chwili patrzymy, to już prawo duchowej natury autorki, to powszechne prawo przyrody ludzkiej. W tak wyjątkowym oświetleniu oglądane biedne, pogardzone, upośledzone istnienia ukazują nam swe zewnętrzne, im samym może nieznanne oblicze, nie mniej jednak prawdziwe od zewnętrznych krost. Ale że owe iskry często tylko się tlą, nie goreją jasnym i trwałym płomieniem, więc codziennemu doświadczeniu nie są podległe; że skądinąd ledwo kątem oka dostrzegamy to, co jest naprawdę brzydkie, złe i szare, że, jednym słowem, rysy powszedniego wyglądu, najbardziej nam znane i najwykley w oko wpadające, w odbiciu nie występują dość wyraziście; wobec tego wszystkiego obrazy Orzeszkowej nigdy nie mogą sprawiać wrażenia ściśle realistycznego, jak u Francuzów utwory Zoli, u nas —

np. powieści Reymonta. Jeżeli spotkamy Brygidę („Zefirek“), pierwowzór późniejszej „Jędzy“, nie pamiętamy jej kłótniwego usposobienia i szorstkich ruchów, lecz tylko lata trwałej pamięci o ojcu, istotną, acz ukrytą dobroć względem matki, zniszczone jej szczęście. Albo przypomnijmy sobie Cypę, żonę uczonego Szymszela („Silny Samson“). Wszak to od autorki, nie od kogo innego dowiadujemy się o podejrzanym operacyach Cipy, wskutek których trwa ona w ciągłej pogoni za klientelą, gdyż już pozyskaną tracić musi.

Lecz autorka nie ukazuje nam jej w chwilach szachrajskich, ani podczas kłótni lub bójek, nie opisuje, w jak nie estetyczny sposób uciera ona nos, jeśli jest niechlujną; ale za to pamiętamy o jej zwięździej cerze w 28 latach, nieustającej trosce o drobne dzieci, o 30 rublach podstawowego kapitału, i odczuwamy boleśnie jej płacz, kiedy musi wyrzec się tryumfu swego życia: widoku męża w chwale jego. I to nie jest prawdą? I cały ten obraz, i cały szereg podobnych obrazów nie jest doskonałością artystyczną? Bo przecież ideałem sztuki nie jest zgoła dokładność fotograficzna, której zresztą osiągnąć nie podobna, lecz złudzenie prawdopodobieństwa. A to ostatnie utwory Orzeszkowej wywołują w stopniu wysokim.

O ile nie realistycznie (we wskazanem znaczeniu) wygląda całość obrazów Orzeszkowej, o tyleż nie są realistyczne, a jednak zupełnie prawdziwe, pojedyncze jej postaci. Pochodzi to stąd, że autorka przedstawia je zazwyczaj od strony jednego, wyłącznego uczucia, czy namiętności. Tak Dyrkowa, matka „Milorda“, wpatrzona jest stale w swego księcia. Tak Szymszel pozostaje nam w pamięci, jako „Silny Samson“ w tej jedynej chwili swego życia, kiedy nań spłynął blask prawdziwie wielkich czynów i wielkich zadań, i oświetlił przed nim całą nędzę jałowej jego uczoneści. Orzeszkowa skupia wszystkie promienie w snop i rzuca je w jeden punkt; dla tego inne pozostają w cieniu. Potęguje to wrażenie, lecz postaci oddziałują na nas swem położeniem i całokształtem swych rysów, a we wspomnieniach naszych tkwią jednym tylko, acz silnym korzeniem, nie szeregiem wielorakich, drobnych włókienek, które mocno do gruntu przylegają. Stąd postać, wyjęta ze swego tła, ze swych stosunków, w odmiennym położeniu umieszczona, nie przedstawia się wyraziście w znamionach osobniczych. Dodać należy, iż sięgając najczęściej krynicy uczuć ogólnie ludzkich, ogarniając swą sympatją dusze proste i niezłożone, Orzeszkowa nie bawi się w tak popłatną dziś, a do błahych rzeczy najczęściej skierowaną „analizę“. Zresztą, niema dla niej miejsca tam, gdzie w błyskawicy jasnowidzenia nie rozwój jakiegoś spłotu duchowego widzimy, lecz znieruchomiły poniekąd stan jakiejś namiętności, czy uczucie. Tu może należy poszukiwać częściowego roz-



wiązania sprzeczności pomiędzy wrażeniem, a dokładnością charakterystyki.

Bądź co bądź, wyjątek należy uczynić dla typu p. Luizy z jej licznymi odmianami, jak p. Emilia Żyrewiczowa („Zefirek“), jak p. Ewelina Krzycka („Dobra Pani“), a nawet jak późniejsza p. Emilia Korczyńska z „Nad Niemnem“. Są to niedoszłe artystki-dyletantki, kobiety zwykle zalotne i czułościowe, z przesadnym mniemaniem o wyższości i niepowszedności swej natury, o wykwintności swych upodobań i przyzwyczajzeń i subtelności swych uczuć, żywiące w piersi żal nieutulony do świata i do losu za wieczny głód rzeczy idealnych, za brak duszy siostrzanej czy bratniej; charaktery często śmieszne i karykaturalne, zawsze w gruncie samolubne i moralnym daltonizmem dotknięte. Są one zawsze w swem przekonaniu ofiarami ludzi lub przeznaczenia, nie domyślają się nawet, że są pasorzytami i zmorą najbliższych swoich. Chętnie odwraca Orzeszkowa od nich swe oczy, by zatrzymać je na jakiej postaci, z gruba ciosanej, o głosie chrapliwym i ruchach szorstkich, lecz w której za przewodnictwem autorki dojrzymy źródło prawdziwego uczucia i ofiarności, cichą troskę, niewidoczny dramat, ukryty ból... Przesuwają się tu przed nami i smutne oczy 9-o-letniego malca, od 5-u lat już wytrwale studyjującego w chederze przepaściste tajemnice talmudu, i Julianka, i Brygida, córka „Zefirka“ inaczej „Sylfidy“, i stara panna, której na imię: czternasta część, i biedna dziewczyna z „Sielanki nieróżowej“. Autorka skwapliwie stara się wzbudzić w nas uczucie litości, i wskazuje istoty skazane nieraz na głód, chłód, poniewierkę... Najczęściej jest tu widoczna tendencja społeczna, teoretyczne ujęcie jakichś niedomagań ogólnych. W „Sielance nieróżowej“ widzimy drogę, po której staczają się ludzkie istnienia na dno społeczne. Julianka jest podrzutkiem, którym matka nie może i nie śmie się opiekować, a co do ojca, najlżejszą oznaką, żadnem zapomnieniem lub drzeniem serca nie zdradził się nigdy. Ale wszystkim tym drobiazgom niewiednącą wartość nadaje nie tendencja, i nie uczucie litości, wywołane obrazem nędzy i cierpienia fizycznych. Pod śmieszną postacią starej panny, w serduszkach na ulicy wyrosłych i zepsutych dzieci autorka zawsze umie wyszukać i wskazać skarby uczucia, rozwijający się kwiat głęboblich i trwałych ukochań. Patrzcie na tę Juliankę, która „odpuszcza“ znęcającemu się nad nią Antkowi dla nauk dobrej, starej pani. Panna Janina przygarnęła do siebie biedne dziecko, rozpalila w płomień jej serce i... opuściła. Patrzcie na nią, jak w rozpacz rozszalała całuje podłogę po której chodziła jej opiekunka... Tej Julianki zapomnieć niepodobna. Przypomnijmy sobie zbolałą twarz Helki, gdy „dobra pani“ do garderoby ją odsyła; jej tęsknotę, jej ból, gdy dobra pani, przesy-

łając pieniądze, ani słóweczka dla dawnej swej pieczoszki nie znalazła; przypomnijmy ową scenę, gdy dziecko, nie zważając na zimny deszcz i zmrok, tuli się do okien p. Eweliny Krzyckiej, rozmawia z pieskiem wyrzuconym, jak ona, w ciemność, na zimno i niepogodę. „A pamiętasz ty, Elfku, Włochy?... Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... Słońce tak świeci... Gdzie teraz p. Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... nigdzie... nigdzie...” I to podeptanie jedynej własności tych istnień, które „nie mają główki położyć na czem,” to jest najboleśniejse. „Dobra pani,” z całą jej charakterystyką jest tylko rzutem ujemnym od tej miłości, która tak potężnie w piersi biednego dziecka wezbrała. W tem spoczywa tajemnica głębokich i uszlachetniających wzruszeń, które spływają na nas z utworów Orzeszkowej, z głębokich nurtów jej ducha.

A. DROGOSZEWSKI.



---

# MARZENIA.

---

## I.

Chciała-bym upaść kropelką rosy,  
Świecąca jak kryształ,  
Na traw zielonych rozwiane włosy,  
Lub w kielich lilji białej.

W blasku tęczowa lśnić i promienna,  
Jak one lzy błyszczące,  
I drzeć w płomieniu, i czekać senna,  
Aż mnie wypije słońce.

## II.

Powstały złote blaski zórz,  
Świat budzi się radosny,  
Zielony runią młodych zbóż,  
Bijący tętnem wiosny.

Już z gór dalekich spłynął śnieg,  
Rozkwitły już sasanki,  
Już się przystroił stawu brzeg  
W kaczeńców złotych wianki...

Już swój srebrzysty wonny pąk  
Przylaszczka gdzieś rozchyła,  
A nad zielenią widać łąk  
Nieśmiały lot motyla.

Powietrze pełne wonnych tchnień  
Z kwitnących drzew czereśni,  
I staje w blasku złoty dzień,  
Skowronczych pełen pieśni.

W powietrzu dzwoni ptactwa chór,  
Co wraca gdzieś z za morza  
I chat wieśniaczych biały sznur  
Wyzłaca jasna zorza.



I cała ziemia wiosną tchnie,  
I ciepłem snu oddycha,  
I ja, przymknąwszy oczy, śnię,  
I leżę w polu cicha.

Śni mi się złotych ściernisk krąg,  
Skąd resztę snopów zwożą,  
I widzę żółkłą zielenią łąk  
Pod zachodową zorzą.

I widzę białe sznury chat,  
I żółkłych topól sznury  
W uwiedłem złocie letnich szat,  
Przetkanych w liść purpury.

W powietrzu krąży złoty kurz,  
Nad drżących pól ścierniska,  
A nie pającza blaskiem zórz  
W jesieniem słońcu błyska.

Żórawi słyhać ostry śpiew,  
Mgła z lasu płynie sina,  
A od owocu szereg drzew  
Ku ziemi się przygina.

Od ziemi cichych głosów chór  
Odpływa w niebo śpiewny,  
Za szczęsny rok, za dobry zbiór,  
Chór płynie modlitewny.

Dojrzałe plony w moim śnie  
Lud zebrał już radosny,

... ..

A świat dopiero majem tchnie,  
Zbudzony dłonią wiosny.

EMA MIERZ...



---

# Trzeciego roczny międzynarodowy Kongres Katolicki w Paryżu.

„Ut omnes sint unum“.

Już w grudniu zeszłego roku rozesłane zostały do przedstawicieli i rzeczników Katolicyzmu w różnych częściach świata odezwy Komitetu, który, pod prezydencją J. E. kardynała Richard'a, arcybiskupa paryskiego, a pod kierunkiem hr. Nicolaj, miał stanowić o obronnej międzynarodowej akcji synów Kościoła i rozwoju dzieł miłosiernych.

Towarzyszyły odezvom, oprócz blankietu wpisowego: list drukowany kardynała Rampolli do kardynała Richard'a z sankcją papieską, kwestyonaryusz o nazwie, celach i sposobach działania tych Towarzystw katolickich, które akcyę ujawnić pragnęły, wreszcie szczegółowy program dyskusyi.

Olbrzymi projekt kongresowych rozpraw, obejmujący wszystkie niemal dzieła miłosierdzia ludzkiego na kuli ziemskiej, bądź-to przez mężczyzn, bądź przez kobiety podjęte, rozdzielał się w rzeczywistości na trzy różne grupy: dzieł ascetycznych, dzieł miłosierdzia i sposo-

bów walki. Kobiety, jak i mężczyźni, uczestniczyć mieli w rozprawach, które, od 8-ej do 12-ej z rana, od 2-ej do 6-ej po południu, osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet, przy ulicy des Saints-Pères, a wspólnie, o 9-ej wieczorem, 84 rue de Grenelle, odbywać się miały.

Rozpoczęty dnia 3 czerwca, w dzień Zielonych Świątek, ceremonią inauguracyjną w Notre-Dame, kongres miał po całotygodniowych rozprawach zakończyć się 10 czerwca, w uroczystość Trójcy Świętej (oraz świętej Małgorzaty) <sup>1)</sup>, aktem solennej konsekracji Przenajświętszemu Sercu Jezusowemu w Montmartre i pielgrzymką do Paray-le-Monial.

O godzinie 5-ej po południu, w oznaczony dzień, zebrali się w przastarej Notre Dame paryskiej uczestnicy kongresu.

Środkowa nawa świątyni zacoła się od licznych wyznawców przekonań katolickich. Pokazywano sobie: hr. Alberta de Mun, inicjatora stowarzyszeń rzemieślniczych, Antonina Pagès, prezesa konferencji świętego Wincentego à Paulo; niedawno przejednanego hr. d'Haussonville i François Coppée; Leona Harmel, Denys Cohin, deputowanego Paryża, barona de Livvis, stojącego na czele przytułków noclegowych paryskich,—a o bok nich, na honorowej trybunie wprost kazalnicy, przedstawiciele zagranicznych: hr. Blome z Węgier, hr. Aquaderni z Bolonii, hr. de Montenach z Fryburga, Mgr. Rudiniego-Fedeschi, kierowników St. Bonifacius, Rafaëls, Puis-Verein i wielu innych.

Panie nie ustępowały liczbą. Znalazły się tam pod prezydencją hrabiny d'Eu i księżnej de Vendôme, hr. de Biron, pani Auber, księżna de Clermont - Tonnerre, de Bauffremont i d'Estissac, margrabiny Costa de Beauregard i de Ganay, pani Cochin, pani de Bully i prawie wszystkie przedstawicielki tych rodzin, które niedawno w straszliwej katastrofie Bazaru de la Charité, miłosierdziu publicznemu ofiarę z życia złożyły.

Rozpoczęła się ceremonia ingresem Episcopatu, odśpiewaniem „Veni Creator...“, poczem wszedł na ambonę o. Sertilange, Dominikanin.

W świetnej i gorącej przemowie przeciwstawił on miłosierdzie chrześcijańskie solidarności i altruizmowi, któremi wojuje obóz przeciwny. Zachęcał do miłości nawet wśród walki, nawet w użyciu środ-

---

<sup>1)</sup> Małgorzata Marya Alacoque (r. 1640 † 1690), inicjatorka szczególnego w Kościele nabożeństwa do Serca Jezusowego, nawiedzana kilkakrotnie przez Zbawiciela w Paray-le-Monial.



ków odpornych, — tej miłości, przed którą nie się nie ostoi, bo jest Boską, wszechpotężną! Kończył zaś temi słowy:

„Śmiem wierzyć, że to zjednoczenie wszystkich dzieł miłosiernych, nad których rozwojem naradzać się będziecie, sprawi, iż Chrystus Pan zasiądzie znowu na tym tronie królewskim, który był Mu wzniesion wśród naszego ludu. O to nam idzie jedynie! Gdybym nie miał nadziei, iż się to ziści, zapytał-bym się, jak może wy się pytacie: co się nareszcie stanie z tem społeczeństwem, które w naszych oczach rozpada się? Boga, Boga nam potrzeba! Aby zwalczyć ten egoizm i tę żądzę używania, z których powstają: rozstrój i śmierć! Chrystusowi Panu należy oddać ster okrętu podczas nawałnicy, jak to uczynili uczniowie na jeziorze Genezaret. Zanim jednak nastąpi ta błogosławiona chwila, może należy oczekiwać nie jednej klęski krajowej: potrzebne nam są może uderzenia gromu, aby nas z obojętności otrząsnąć. Lecz po nowych doświadczeniach przyjdzie niewątpliwie zbawienie. Przyjdzie życie inne i płodne, którego dziś już dają się dopatrzeć objawy.

„Wierzę w to, że Ewangielia święta, którą zbyt powierzchownie rozumieją narody, przeniknie je do głębi, że powstające dziś kwestye socyalne, które jeden tylko Chrystus rozwiązać jest w mocy, rozstrzygnięte zostaną w myśl Jego, i twierdzą, że przyjdzie nam błogosławić owe katastrofy, ową rewolucyę jutrzejszą, ową krwawą wojnę domową, jeżeli to one — wreszcie — rzucą nas w ramiona Boże.

„Ach, bo wtedy, pewien jestem, rozpocznie się era chwalebna i wielka! Era, w której rozkwitną w pełni wszystkie pierwiastki narodowej chluby, wyszłe z łona tego wieku, — era ożywcza, w której nad generacyą strupieszalą zapanuje zmartwychwstały Bóg! A Francya podniesie się, jako żołnierz Chrystusowy, aby większa i szlachetniejsza niż przedtem, niewzruszoną swą wiarą budować inne narody“.

Nazajutrz, po solennej Mszy świętej, odprawionej w kościele świętego Tomasza z Akwinu, i przystąpieniu obecnych do Stołu Pańskiego, zbierają się uczestnicy kongresu w lokalu ojców Jezuitów przy ulicy des Saints Pères.

Miejsce zebrania stanowi wysoka i przestronna aula, oświetlona z góry, a związana na trzech piętrach trzema obręczami krążanków.

Z owej galeryi wchodzi się do sal bocznych, przeznaczonych do rozpraw przygotowawczych poszczególniej natury.

Na pierwszym piętrze, za matową szklaną ścianą, oddzielającą anelę od kaplicy, przyświeca ołtarz z wystawionym Przenajświętszym Sakramentem, w którego uczczeniu zmieniają się co pół godziny członkowie kongresu.

W głębi sali, na podniesieniu, są trzy stoły: środkowy dla prezydym, boczne dwa dla sekretarza i mówców. Monseigneur Peschanard, rektor Instytutu katolickiego w Paryżu, otwiera posiedzenie modlitwą. Hr. Nicolaj, inicjator kongresu, typ człowieka dawnego kroju, zagaja rozprawy wytwornem przemówieniem, w którym wita przybyłych i dziękuje cudzoziemcom.

Nie wszyscy, którzy się obiecali, przybyć mogli. Wymówili się: książę de Loewenstein i dr Lüeger, burmistrz wiedeński. Lecz w sali zauważyć można panów: bar. de Montenach, hr. Disbach, o. ks. Le Doré, ks. de Boniau, p. de Bellomaire, p. Marka Sangnier Lachaud, reprezentanta Alzacyi w Reichsracie niemieckim, kanonika Müller-Simonis.

W auli i salach bocznych ożywiają się dyskusyje. Trzy ważne kwestye umieszczono na programie dziennym: dzieła religijne, nauczanie młodzieży i prasę. Rozdziela się publiczność na trzy różne grupy, z których każda porozumiewać się będzie osobno.

A naprzód: o Przenajświętszym Sakramencie, Kongresach międzynarodowych eucharystycznych, ich stronach dodatnich, o Bractwach, processyach, adoracyi nocnej i dziennej; potem o nabożeństwie do Serca Jezusowego, mającem na celu ratowanie Francyi i świata całego, — nabożeństwie, którego ogniskiem stało się Montmartre, a które rozszerzają wciąż po kraju coraz liczniejsze stowarzyszenia.

Przychodzi kolej na dzieła apostołstwa, a więc na missye po różnych krajach, katechizacye po miastach, rekolekcye dla wszystkich warstw społecznych. Stwierdzono, iż do rozszerzenia religijności we Francyi znakomicie przyczyniają się Towarzystwa świętego Franciszka Salezego, zaś w Niemczech S. Bonifacius Verein i Pius Verein w Szwajcaryi. Że w dzikich krajach i w koloniach państw katolickich praca apostołstwa coraz obfitsze wydaje plony. Odczytano referaty de la Propagation de la Foi, de la s-te Enfance, de l'oeuvre d'Orient, wreszcie Towarzystwa świętego Rafała dla emigrantów niemieckich.

O pielgrzymkach do miejsc świętych, o składkach na Święto-Pietrze i należnem uczeniu Ojca świętego w nowem stuleciu, o wypoczynku obowiązkowym w niedziele i święta, — wspomniano także. Położono nacisk na potrzebę zachęcania do duchownego życia i wytwarzania powołań, podniesiono znaczenie bractw i kongregacyi, a w szczególności Trzeciego Serafickiego Zakonu, który ubóstwem, pokorą i przykładem pracy wznawia wśród mas roboczych najczystsze zasady chrześcijaństwa.



A tymczasem na wyższej galeryi rozprawiają o propagandzie kół katolickich wojskowych; zagranica pod tym względem nie wyrówna Francyi. Przyznają jej to delegowani szwajcarscy, niemieccy, austriaccy i włoscy,—nawet Belgia, mogąca się jednakże szczycić swoim zastępem klubów katolickich.

Jednocześnie na posiedzeniu o prasie wykazują nieodzowność utworzenia agencji katolickiej międzynarodowej, i z tego powodu p. Darrieu odczytuje szczegółowy raport o działaniu biura informacyjnego we Francyi. Kanonik Müller Simonis objaśnia, w jaki też sposób działają w Alzacy tego rodzaju agencje.

W lokalu przy rue de Grenelle panie porozumiewają się tymczasem nad dziełami miłosierdzia.

I oto już wstępne rozprawy pierwszego dnia zamknięto. Wieczorem, w Societé d'Horticulture, wstępuje wobec zebranych obu kommissyi, żeńskiej i męskiej, na publiczną mównicę ks. kanonik Odelin, wikaryusz generalny i prezes Komitetu dyrekcji kongresu, który odczyta adres, wysłany do Ojca świętego tej treści: „Kongres międzynarodowy dzieł katolickich, zebrany w Paryżu pod prezydentą J. Eminency kardynała Richard'a, arcybiskupa Paryża, oświadcza, iż rozpoczyna pracę uroczystem zapewnieniem przywiązania swojego do stolicy Piotra. Uczestnicy kongresu zebrani na to, aby ugruntować, utrzymać i rozszerzać działalność swoją w myśl Kościoła każdy w swoim kraju, wiernopoddani i ślepo posłuszni wskazówkom i kierunkowi Stolicy Apostolskiej, w obronie praw wiary świętej, zanoszą prośbę do Ojca świętego, aby raczył im udzielić specjalnego ojcowskiego swego błogosławieństwa“.

Przewodniczący, kardynał Richard, podnosi się. On sam odczytuje powstałemu zebraniu odpowiedź kardynała Rampolli: „Ojcu świętemu przypadło głęboko do serca, iż kongres międzynarodowy dzieł katolickich rozpoczął swoje prace oświadczeniem swej wierności Kościołowi. W tem poddaniu chęci ludzkich woli Bożej tkwi rękojmią zbawiennych owoców. Ojciec święty z całego serca udziela też błogosławieństwa swojego wszystkim stowarzyszonym kongresu“.

Teraz pan Denys Cochin wchodzi na trybunę. Deputowany paryski przemawia z wielkim zapałem o wolności nauczania. Przypomina zasługi pp. Montalembertów, de Falloux, Cochin, Armand de Melun i tych wszystkich, którzy walczyli za tę swobodę nauczania, która-by mogła dziś święcić swoje pięćdziesięciolecie. Był czas,—zauważa dowcipnie mówca, — że i pan Waldeck - Rousseau, niegdyś bardzo liberalny, przemawiał za tą wolnością! Ale to już dawno temu!..

Pan Fonssegrives zastępuje na trybunie pana Denys Cochin i podnosi raz jeszcze zbawienną pożyteczność Trzeciego Zakonu,

a o święceniu niedzieli, w przeciwstawieniu „du repos hebdomadaire“ przemawia na zakończenie z niezwykłą swadą oratorską i siłą argumentacyi pan Valleroux.

Dzień poniedziałkowy nie wyczerpał pierwszej części programu.

W czasie rannych wtorkowych konferencyi zaciekało wszystkich przemówienie ks. Garnier, popularyzatora ewangelii. Pragnie on, aby każdy ojciec rodziny czytał ją i wykladał w ognisku domowym. Przeciw tej propozycyi powstają dwa głosy. Ojcowie Jezuitci widzą w dowolnem komentowaniu ewangelii niebezpieczeństwo nielada. Ks. Garnier, opierając się na danej mu zachęcie przez Leona XIII, broni swego zdania; wyznawcę socjalizmu chrześcijańskiego, za jakiego uchodzi w Paryżu projektodawca, uważają słuchacze za krańcowego nieraz w postępowaniu swoim człowieka. Ksiądz Garnier zmuszony jest wkrótce oględniej zredagować swe votum. Cztery ewangelie, które pożytecznie każdy może czytać, powinny być opatrzone komentarzami, przez Kościół zatwierdzonemi. Nie wszyscy myślą, aby wyszłe z inicjatywy mówcy: „Cztery ewangelie i akta, z notatkami treści społecznej i narodowej“ odpowiadały celowi. Ks. Garnier, którego łączą pewne stosunki z redakcją „Peuple Français“, organem Unii narodowej, wyciąga w tej chwili całą plikę druków. Kartki te noszą tytuł: „Il faut des hommes“, a wyczytać w nich można, jak kształcić owych ludzi, jak ich użytkować i jaką jest w tym względzie metoda „Unii narodowej“.

Ale zastąpił na trybunie mówcę Jezuita, ksiądz Lacouture. Inny to typ człowieka, ten dawny profesor z zakładu St. Clement w Metz, przyjaciel i kierownik szkolnej młodzieży. Wymowa jego płynna, jasna, treściwa; wie dobrze, czego chce i o czem rad-by słuchaczów przekonać. Jezuitci kształcili dotychczas wyłącznie młodzież bogatszą. Nie zrzekli się tego obowiązku, ale widzą, że i w rzemieślniczych sferach usłużyć mogą,—rzemieślnik we Francyi dźwierży przyszłe losy narodu. Wykształcić rzemieślnika społecznie w myśl Bożą, technicznie o całe niebo dokładniej i lepiej, niż to się praktykuje dotąd, takie winno być nasze zadanie. Ten cel miał ksiądz Lacouture na względzie,



kiedy parę lat temu otworzył w Lille pierwszy we Francyi rzemieślniczy internat.

Pojeżdżcie do Lille, a obaczycie, że obok ośmiu godzin rzetelnej pracy w warsztacie, znajdujemy tam czas i na klasyczne. i na wyższe religijne wykłady. Nasz terminator przechodzi wszystkie stopnie swego fachu, a jak wyjdzie na podmajstrzego, odbyte studia klasyczne pomogą mu do jaśniejszego wykładu, do płynniejszej wymowy, i gdy kiedyś zostanie majstrem, przyjdzie mu łatwo pokierować fabryką, a pozostanie majstrem chrześcijańskim. Kto zaś sądzi, iż znojna praca szkodzi naszym wychowañcom, niech się przypatrzy rumianym ich twarzom, a zadziwi każdego ich wygląd czerstwy i wesoly. Niestety, aby rozszerzyć zakład, jak tego program wymaga, aby dopiąć w pełni wymarzonych rezultatów takiej religijno-techniczno-klasycznej nauki, brak dwóch milionów.

Obecność na kongresie założyciela pożytecznej szkoły ma więc na celu dać sprawozdanie z tego, co się już osiągnęło, i o dalsze zapomogi kołatać.

Z wielkiem uznaniem przyjęto sprawozdanie o. Lacouture, sam widok mówcy kazał podzielać jego przekonania. To biskup-suffragan paryski, Jourdan de la Passadière, prezydujący, wykazywał w gorących słowach zasługi oo. Jezuitów, którzy, śledząc ustawicznie nowe potrzeby stulecia, Bogu i ojczyźnie zarazem tak właściwie służyć umieją.

W dopełnieniu myśli ks. Lacouture, wyrażono inne votum: aby jedno ze zgromadzeń religijnych, poświęcających się wychowaniu młodzieży, a posiadających filie w rozmaitych krajach, zechciało uczniów w zawodzie technicznym kształcić przez lat parę w swoich filiach zagranicznych, coby im ułatwiało znajomość obcych języków i stosunki handlowe, a uczniowie, w ten praktyczny sposób wszechstronnie z fachem obeznani, wracali-by do rodzinnego kraju nie obniżeni moralnie, i z wiedzą porównawczą różnych technicznych sposobów.

O. Macabian, także Jezuita z seminaryum w Vals, obok Le Puy (Haute Loire), przemówił z kolei za szkołą wyższą duchowną:

„W wielu dyecezyach francuskich dał się czuć brak księży; Ojciec święty w Encyklice z 8 września 1899 roku, w naglących słowach przemawia z naciskiem za potrzebą kształcenia sług Ołtarza. Pragnie, by posiadali obok cuót rozlicznych i zasób umiejętności ludzkich, a zwłaszcza filozofii i teologii. W seminaryach, dla przyczyn całkiem niezależnych od ich dobrej woli, uczniowie nie mogą kształcić się wedle powyższego programu. W zakonie cel prędzej osiągną, a że skądinąd łatwiej o młodzież zdrową, bogobojną i zdolną pod wieśniaczą

strzechą, dlatego powzięto myśl ufundowania szkoły wyższej dla dzieci z ludu. Zaczynają tam one od niższego wykształcenia klasycznego, trzech lat filozofii i tych nauk, jakie są udzielane w scholastycznym zakładzie w Vals młodym uczniom Jezuitom, a następnie uczęszczają przez lat cztery na wykłady teologii dogmatycznej i moralnej, Pisma świętego, języka hebrajskiego, prawa kanonicznego i historii kościelnej.

Wychodząc ze szkoły, mogą, wedle życzenia własnego, albo biskupów, zasilać prowincye kraju, mniej obfitujące w kapłanów. Taka instytucya, której założenie poparli kardynałowie: Rampolla i Parocchi, ufundowana została w Vals, w którego okolicach lud nader podobny obfituje w powołania.

Uczeń zakładu kosztuje rocznie pięćset franków, a było-by możliwem i godnem życzenia, aby ta szkoła wykształciła co rok trzystu młodych księży, na co potrzeba stu pięćdziesięciu tysięcy franków. Przedstawiciel zakładu widzi w tem jedną z palących potrzeb tej chwili obecnej.

Czas nie wystarcza na rozważenie wszystkich propozycji; wybiła szósta. O dziewiątej zaś wieczorem, pod prezydencją dwóch biskupów: M-ra de Cabrieres (z Montpellier) i Montes de Oca (z Potosi w Ameryce), ma jeszcze przemawiać o konieczności wyższego wykształcenia religijnego, zaniedbanego w dzisiejszych czasach, pan Alix, dziekan fakultetu prawnego w Paryżu. O prasie katolickiej pan de Marolles, zaś kanonik Müller - Simonis o federacyi katolickiej w Niemczech, o jej organizacyi, o religijnym związku terminatorów i majstrów (tych przystąpiło już do związku 11,000), o zbawiennych owocach kongresów katolickich, z których ostatni w Niemczech zgromadził 1,500 członków.

Wychodzącym z sali, o wpół do 1-szej po północy, rozdają jeszcze różne drukowane projekty. odnoszące się do wychowania młodzieży, jak *l'Enseignement religieux par les yeux—grand album d'images en couleur pour l'explication du catéchisme* pr. l'abbé Mousterde, albo listy: *de l'union fraternelle du commerce et de l'Industrie*, egzemplarze próbne pism różnych i t. p., i jeszcze czas jakiś na wyludnionych ulicach quartier latin odzywają się w nocy nieusłone echa kongresu.



Środa i czwartek są dniami, przeznaczonemi dla prac kongresowych młodzieży. Zaroilo się od niej po galeryach i salach; nowy, ożywczy prąd owiał słuchaczy; sam hr. Nicolai, którego dla podeszłego wieku zmęczyły długie narady dwóch dni ostatnich, w zetknięciu z elementem młodym, ożył na nowo.

Młodzieży prezydują pp.: Raul Ancel, Bazire, albo Lerolle, słysząc co chwila grzmoty oklasków, tupanie nóg o podłogę. Czasem przez drzwi otwarte zalatuje falą głosów hałaśliwe echo ożywionej rozprawy.

Pp. Raul Ancel i Vermont z Rouen podnoszą dodatnie strony stowarzyszeń, na wzajemności opartych (la Mutualité), szerzących po krajach wstrzemięźliwość, oszczędność i inne cnoty społeczne. Takie stowarzyszenia, to prawdziwy atut w ręku katolików.

P. Michel Jolly referuje o sekretaryacie ludowym w Paryżu.

P. Normand d'Authon opisuje stosunki młodzieży francuskiej z młodzieżą katolicką zagraniczną.

Pp. Pericoli i Vercezi dają obraz działalności „Gioventù Cattolica italiana“; proboszcz z Mülhuzy, ks. Cetty, mówi o katolickiej młodzieży niemieckiej.

O hiszpańskiej dr Flaquer, o włoskiej baron de Malteis, o austriacko-węgierskiej delegat wiedeński—objaśniają słuchaczy. O angielskiej zaś raport p. Fitz-Patrica, odczytany w jego imieniu.

P. Bazire przemówił także o tendencjach socjalistycznych młodzieży katolickiej we Francyi, a p. Vermeesche o działaniu młodzieży w Belgii.

Wieczorem prezyduje zebraniu aż czterech biskupów: mr de Cabrières (z Montpellier), Burnes z Southwark (przedmieście Londynu), Montes de Oca (z Potosi), Matteo Dwornik, przedstawiający biskupa z Palato.

Mr Mollien, biskup z Chartres, i mr Savoye, protonotaryusz apostolski, przysłali dwa ciekawe referaty: „O lidze wstrzemięźliwości“ przeciw pijaństwu. Oparte są obie prace na wyczerpujących statystycznych danych. Kończą je czytać, gdy nagle zjawia się u wejścia hr. de Mun. Obecność jego nadprogramowa robi nie małe wrażenie. Wchodzi otoczony gwardyą młodzieży, a zdąża wprost do trybuny.

Nie mógł się oprzeć pokusie uczczenia biskupa de Cabrières, przybyłego dziś do Paryża, a prezydującego zebraniu.

Biskupa z Montpellier i dwóch przedstawicieli: amerykańskiego i angielskiego Kościoła, wita hr. de Mun w wytwornych słowach, poczem tak dalej mówi:

„Zanim będzie dany głos p. Janowi Lerolle, niech mi wolno będzie podziękować panu prezesowi kongresu w imieniu Towarzystwa katolickich kół rzemieślniczych, którym prezyduje generalny komitet, iż raczył pomieścić go dzisiaj w liczbie mówców kongresowych. Uplywa lat 30 (wybaczcie mi, iż się odwołuję do wspomnień, które już dzisiaj przechowują jedynie świadkowie najpierwszych naszych wysiłków), jak dzieło nasze zrodziło się w skromnem mieszkaniu rękodzielnika, w cichem ustroniu, w którym Paweł Vrignauld, pierwszy nasz prezes, ukrywał wobec młodych rzemieślników z Boulevard Mont Parnasse, świątobliwość swojego życia, tuż obok Mauricego Meignon, naszego mistrza i przewodnika, na drodze dzieł ludowych.

„Ci dwaj ludzie zeszli z tego świata, imię pierwszego nie wspomnianem jest już prawie przez tych, którzy go osobiście nie znali; imię drugiego, chociaż znane i czczone przez ludzi czynu, nie zdobyło sobie rozgłosu, ani ogólnej sławy.

„Obowiązkiem jest tych, których niegdyś kształcił ich przykład, oddać w historii naszych kółek należną im pochwałę, gdyż dla nas, którzyśmy im przynosili zaledwo dobre chęci, byli oni wobec Boga i rzemieślników chrześcijańskich całą rękojmnią. Oni-to nas od pierwszej chwili połączyli z tradycją dzieł wielkich, wyszłych z serca Ozanama, tego siewcy myśli szczytnych, inicjatora ruchu katolickiego socjalnego dzisiejszej ery, a w którym odnajdują się aż do właściwego swego wyrazu wszystkie najszczytniejsze porywy, które od ćwierć wieku stanowią życie nasze.

„Należeli: Vrignauld czynnem swoim miłosierdziem, a Meignon religijnym ślubem — do rodziny świętego Wincentego à Paulo, lecz marzyli dla niej o zwrocie nowym, bardziej wojowniczym w działaniu, śmielszym w zamysłach społecznych, mniej zestarzałym w swych formach. Jeden z nich wypełniał powszednie czynności naczelnika biurowego z gorącością i mistycyzmem mnicha z XII wieku, drugi, w surowości życia zakonnego przechowywał wyobraźnię artysty i serce poety.

„Obaj, ukochawszy tradycję przeszłości i pogrążeni w dawnych dziejach, mało do dziś dnia znanych nawet katolikom naszych cechów rzemieślniczych, pełni podziwu dla tej wspaniałej demokracji średniowiecznej, marzyli o tem, żeby w dzisiejszej odżyły tradycje tamtej (demokracji): jej wiara, jej znaczenie! Obaj nareszcie posunęli zaparcie się siebie aż do bohaterstwa!



„Tacy byli mistrze nasi! Możemy o nich powiedzieć to, co Vrignauld mówił o Chrystusie w tej pieśni, napisanej dla rzemieślników, prostej, jak poezya średniowieczna, a którą do dziś dnia śpiewamy: „Wycisnęli pieczęć swoją na narzędziach swoich“.

„Na ich-to wezwanie w wieczór wigilijny 1871 roku, w ich ubożym mieszkaniu, kilku ludzi dobrej woli, pod wrażeniem religijnych i patriotycznych uczuć, które w tej dobie ogarniały ich dusze, przysięgło poświęcić wszystkie swoje siły dla tej myśli, z której miało powstać (pewni byli tego) odrodzenie moralne i społeczne kraju!

„Myśl tę nasz młody przyjaciel, Jan Lerolle, wypowie przed wami z tą gorącością porywającej wymowy, którą widocznie wziął w spadku razem z powagą imienia, drogiego katolikom francuskiemu,— imienia, które się stało symbolem dla nas wiary, męstwa i poświęcenia.

„I w tem leży chwała nasza, iż mamy dzisiaj dla niesienia wam słowa, zamiast jednego z tych, którego już obarczyło brzemień lat i walk, młodego szermierza, który pojawił się wczoraj na arenie naszej, a dziś chce dźwierać i podnieść tutaj chorągiew kół katolickich. To braterstwo nasze pod bronią, które łączy przeszłe wspomnienia z nadzieją przyszłości, dowodzi najlepiej siły i żywotności owej myśli, która niegdyś zbratała i zapaliła nasze dusze.

„Głosić i bronić wszem wobec prawo Boże nad ludzkością, to prawo stosować do bliźnich wedle nauki Kościoła, aby wniknęło narzeczcie w obyczaje i prawodawstwo narodowe, — ucześć je. wyrazić przykładem poświęcenia się dla drugich, aby ten przykład pobudził możnych do świadczenia bliźnim uboższym, przez łączność i wspólność działania urzeczywistnić chęci nasze w jak największej mierze, taką jest myśl, którą nazwę nieśmiertelną, bo jest oparta na statucie Bożym, i wyższą jest od tych, którzy ją wypowiedzieli,—myśl, która od lat trzydziestu przewodniczy ciągle wszystkim naszym przedsięwzięciom.

Ta myśl podstawowa przejawiała się i wyrażała odtąd w formach rozmaitych, stosownie do okoliczności, natchnienia i temperamentów ludzkich. Lecz pod różnicą form myśl pozostała ta sama: wspaniała, jasna, niezwyciężona w zasadzie, niewyczerpana w skutkach, jedyna, mająca dość siły,—skoro płynie z przedwiecznej Prawdy, aby utrzymać związek dusz naszych, pomimo zmienności czasów.

„Temi kilku słowy chciałem określić jeden raz więcej i wyrazić przekonania, które, pomimo przeszkód, prób i chwilowych niepomyślności, wzmacniają we mnie codziennie obserwacya faktów i badanie myśli ludzkiej, a które, popelnawszy mnie do publicznego zawodu, pozostaną do końca podnietą mojego męstwa i mojej nadziei.

„Mówię o nadziei, gdyż ona jest ostatniem słowem naszych zebrań katolickich.

„Bo jakkolwiek ciemna jest terażniejszość, a groźna przyszłość najbliższa, podziwiam, co do mnie, postęp codzienny tych zasad, którym służyliśmy dotąd, a które co rok znajdują wśród młodzieży naszej obrońców i apostołów nowych.

„Podziwiam w jaki sposób na tej arenie walk stronnicych i pomimo wstrętów, które nam czyni przewrotność sekciarska, troska o bliźnich ogarnia coraz więcej umysły, narzuca się rządowi i przygotowuje wspólny grunt porozumienia dla wszystkich serc szlachetnych.

„Podziwiam, do jakiego stopnia, przeważnie u katolików wytwarza się jedność zapatrywań co do zasad fundamentalnych. tak sprzecznie omawianych dotąd: prawa społecznego i porządku ekonomicznego; jak wszyscy rozumieją dzisiaj potrzebę akcyi społecznej ułatwiającej egzystencję ludzką, śledzącej wyniki dzieł nowopowstałych, odzywającej się z ufnością do inicjatywy sfer rzemieślniczych, tej akcyi, która dziś zajmuje umysły więcej od politycznych zagadnień, a która, otwierając wszystkim widnokręgi szersze, odkrywa przed nami tę ziemię obiecaną wspólnego porozumienia, na której progach już zniknie podejrzliwość i nienawiść ludzka.

„Podziwiam zwłaszcza, jak to, niby niemożliwe do osiągnięcia, porozumienie kapitału i pracy, którego pierwsi pośród katolików, wyznajemy to z chlubą, przewidzieliśmy urzeczywistnienie, stało się dzisiaj nieodzownem i powszechnem prawem, tarczą dla prerogatyw i interesów każdego, a w rękach wystraszonego przez socjalizm przewrotnowy rękodzielnictwa jedyną bronią zachowawczą i pokojową przeciw postępowi rewolucyi.

„Podziwiam nakoniec, że na początku naszego stulecia, wobec miotania się bezwyznaniowości, owa potrzeba wiary i prawo wyższe, Boże, w porządku umysłowym, moralnym i socyalnym, po tylu wycieczkach przeciwko naszej religii, uznane zostają przez głosy nowe tak wielu ludzi niespodziewanie przejednanych, których wyznania szczerze a mężne są dziś dla nas najpiękniejszą nagrodą i pomocą najskuteczniejszą.

„To wszystko jest to dojrzewanie w formie nieprzewidzianej owej myśli, która nas przed laty 30 złączyła.

„To też, nie poddając się zwątpieniu, jesteśmy dzisiaj bardziej niż kiedy ufni i wierzący i czujemy się w prawie, jak to ja czynię dzisiejszego wieczoru, wyciągnąć dłoń do tych młodych, dla których nadzieja jest warunkiem życia samego!”



Każde zdanie mówcy przyjmuje młodzież grzotami oklasków.

Widać, że hr. de Mun, jest bożyszczem swego obozu. Robią rzezywiście niemale wrażenie jego sympatyczna, wyniosła i szlachetna postać, postawa rycerska, płynna wymowa, głos silny.

Po hr. de Mun, przedstawiony dopiero przez niego, młody P. Jean Lerolle, syn obranego niedawno do municypalności paryskiej nacyonalisty, w swej bodaj pierwszej przed tak licznem zebraniem przemowie, wykazującej w młodym trybunie pierwszorzędnny talent mówcy, podnosi z zapalem znaczenie katolickich kół rzemieślniczych.

„Zbyt dlugo—powiada on—katolicki obóz stronił od postępu naukowego i materyalnego wśród społeczeństwa, które się zmienia i przeobraża. Jeżeli wziął udział nareszcie w dzisiejszej walce socyalnej, kołom to katolickim zawdzięcza... To te koła nasze pobudziły do tej akcji, którą pochwalil wielki Papież, Leon XIII. Jego przecudną Encyklikę, de rerum novarum, zna świat cały, a jest ona prawdziwą i kardynałną ustawą dla nowożytnych pracowników w świecie całym, koroną ich dzieła“; a kończył temi słowy: „Zbliźcie się, zbliźcie się do ludu. Lud przecie ma także prawo do prawdy i do sprawiedliwości, a dzisiaj wy jedni dać mu je możecie.“

O patronatach katolickich, pan Carton de Viard, członek Izby belgijskiej, referuje z niemniejszym powodzeniem; młodzież oklaskuje wszystkich, i ten wieczór kongresowy zdaje się być świętem rodzinnem.

Jeszcze nazajutrz rozbrzmiewają zewsząd echa młodzieńczego zapalu.

Ugoszczono cudzoziemców wydanym na ich cześć champagne d'honneur, na wystawie w „Palacu kongresu“, przygotowano nowe zebranie młodzieży w celach propagandy społecznej; a już pomiędzy rozmaitemi kółkami zawiązuje się międzynarodowa federacya, o tendencyi silnie katolickiej, do której zapisują się uczniowie z Lovanium, Liège, Gandawy, Brukselli, Amsterdamu, Lejdy, Groeningi, Oksfordu, Dublina i Barcelony, nawet z Kanady.

Cały dzień czwartkowy, poświęcony tym braterskim sojuszom, kończy się wieczornemi przemówieniami biskupa Montes de Oca o Ameryce południowej i starej katolickiej Hiszpanii, p. Bazière, p. Darda i innych.

P. Henryk Dard, prezes katolickiej federacyi północnej, porównywa młodzież swego obozu do ulubionego ucznia Chrystusowego. Jak Jan, świadek śmierci Zbawiciela, był pierwszy, który Go zmartwych-

wstałego zobaczył, tak i młodzież patrząca dzisiaj na upadek wiary, ujrzy pierwsza jej zmartwychwstanie.

Baron de Montenach, vice-prezes i delegowany federacji katolickiej szwajcarskiej (a którego żona bierze czynny udział w rozprawach kongresu dam), zachęca obecnych do akcji i walki w imię zasady, dla której ludzie, nietylko żyć, ale i umierać powinni; a nareszcie, M-r Cartuywels, wice-rektor uniwersytetu w Lovanium, daje szeroki i potężny obraz historii organizacji i życia pierwszorzędnego uniwersytetu, który liczy 120 profesorów i 2,000 uczni, i stał się sercem katolickiej Belgii, a jednym z najpotężniejszych ognisk wszechwiedzy.

Ostatnie dni kongresu, piątek i sobota, poświęcono omówieniu walki religijno-narodowej. Wotum p. Pelleport-Burette głosi przede wszystkim potrzebę jedności wszystkich komitetów, następnie, p. Alfred Mehrinex, adwokat przy sądzie apelacyjnym w Brukselli, roztrząsając system obieralności, długo się rozwodzi nad różnicami głosowania w Belgii i we Francji. Świeże a przecie nie pierwsze zwycięstwo partyi katolickiej na wyborach belgijskich świadczy o wyższości za granicą organizacji stronnictwa katolickiego. Francji zatem przede wszystkim zorganizować się należy.

P. Louis Durand odczytuje raport o kasach oszczędnościowych gminnych, o ich wpływie umoralniającym, o doskonałym ich działaniu w Belgii i we Włoszech. P. Vermont podniósł raz jeszcze kwestję stowarzyszeń wzajemności: w Anglii jeden mieszkaniec na sześciu do nich należy; jest to stanowczo jedna z przyczyn, dla których tam rewolucji nie znają.

Przyklaskuje mówcy biskup de Cabrières i wzywa wszystkich katolików, aby popierali wzajemność, której przewodnią myślą są słowa Zbawiciela: „Kochajcie jedni drugich“.

P. Dubois mówi o działalności studentów katolickich w Belgii i dziełach, które już stworzyli: zorganizowali kursa wieczorne, ustanowili towarzystwo mówców, których niejednokrotnie wysyłają do różnych miast, dla przemawiania na arenie publicznej. Są pomiędzy nimi i katecheci, a stowarzyszenia wstrzemięzliwości znajdują wśród nich przedstawicieli i kierowników. Kongres wypowiada także żądanie regularniejszej i częstszej wymiany wszelkich wydawnictw, stanowiących organ katolickiej młodzieży.

O misyjach zagranicznych referuje monsignor Leroy, o obronie interesów katolickich w Niemczech, w Szwajcaryi i w Belgii przemawiają kolejno: ksiądz Cetty i monsignor Esseiva. Ale najbardziej interesującym i pobudzającym do obronnej walki był raport p. Ga-



bryela Soulaacroix o wolnomularstwie. Oparty był na gruntownie opracowanych wywodach i zdobytych dokumentach.

Praca p. Pawła Nourrisson, o stosunku wolnomularstwa do rzemieślników, spotęgowała jeszcze ogólne wrażenie. Wolnomularstwo jest nieprzejednanym wrogiem Kościoła. Ukrywa się pod płaszczkiem filantropii i zasług obywatelskich, działa przez książki i prasę.

Pociąga niejednokrotnie ludzi znacznych, tak się umie oblec w szlachetne pozory, a uganiania się przedewszystkiem za pozyskaniem sobie stanowisk i ludzi najbardziej wpływowych.

Przeróżne loże, rozrzucone po całym świecie, są jednego i tego samego ducha, bez względu na tytuł, który noszą. Do massoneryi należą: Karbonaryzm, młoda Francya, młoda Italia, Männerbund, Tugendbund, Jünglingsbund, Stowarzyszenie Starców albo Doskonałości (Greisen oder Vollkommenheitsbund)—Deutsche Bund der Gerechten, Deutsche Turnschaft, Allgemeine deutsche Burschenschaft, Bund der gleichgesinnten, Bund der Unbedingten, Bund für Freiheit und Recht, Männer und Jünglingsverein, młode Niemcy, młoda Europa, Wielki Wschód we Francyi (le grand Orient), Stowarzyszenia liberalne różne i wolnomyślne ligi nauczania itd.

W niedzielę rano liczna pielgrzymka udała się na pagórek Montmartre, aby w niedokończonej jeszcze, a już 37 milionów franków kosztującej, Bazylice Przenajświętszego Serca Chrystusowego wysłuchać Mszy świętej dziękczynnej i przystąpić do Stołu Pańskiego.

W przestronnej świątyni, w której progi tłoczą się co chwila nowe pielgrzymki, uprzedziła była przedstawiciele kongresu liczna korporacja Towarzystwa Św. Wincentego a Paulo. Dopiero o 9 zdobyto zamówione na tę chwilę miejsce. Przemówił do zgromadzonych Jezuita, O. Coubé, głośny kaznodzieja paryski, ten sam, który niedawno zarysował był z kazalnicy stosunek Kościoła do międzynarodowej tegorocznej wystawy. O ile przy inauguracji kongresu O. Sertilange zachęcał wszystkich przedewszystkiem do miłości, o tyle O. Coubé zagrzewał do walki na otwartem polu.

Po odbytem nabożeństwie i udzieleniu raz jeszcze błogosławieństwa Ojca św., pospieszono z hr. Nicolaim na czele do zakrystyi, aby podziękować księdzu biskupowi z Potosi za odbytą uroczystość celebry, a obiecywano sobie wzajemnie raz jeszcze spotkać się o drugiej godzinie z południa, przy rue de Grenelle, dla odczytania ostatecznych wniosków całotygodniowej pracy.

Monsignor Cabrières, biskup z Montpellier, prezyduje obradom. Pomimo skwarne upału sala przepelniona po brzegi. Pań wielka

liczba. Pracowały one dzielnie do ostatniej chwili. Naradzały się przedewszystkiem, w jaki sposób bronić wiek młody od upadku. Potwierdziły międzynarodowy związek opieki nad kobietami, zawiązany przed kilku laty we Fryburgu, przyłączeniem do niego sekcji francuskiej. Kobietom, przybywającym po zajęcie i pracę do miast wielkich, Towarzystwo dostarczać będzie mieszkania, wskazówek, pomocy moralnej i materyalnej.

Poprzednio w tymże samym komitecie pań omówiono sposoby, jakimi upadłą moralnie kobietę podnieść i rehabilitować.

Do pierwszej sekcji kongresu żeńskiego weszły dzieła apostołstwa, do drugiej kształcenie kobiety, do trzeciej obrona jej przeciw niemoralnym wpływom, do czwartej sprawy socyalne i rzemieślnicze. Dzieła miłosierdzia stanowiły piątą sekcję.

Prezydował na różnych posiedzeniach pań, które po raz pierwszy na kongresie stanowiły grupę oddzielną, wikaryusz generalny, ksiądz Odelin; asystuje on także dzisiaj temu ostatniemu połączonych sekcji zebraniu, i on-to zreasumuje wota kongresu. Nim jednak ksiądz kanonik Odelin zabierze głos, przemówi pierw o kongregacyach religijnych Jezuita O. Godau; on-to przyczyni się głównie do podniesienia ducha słuchaczy.

„Bo czy wiecie, ile Francya liczy sług Bożych? -- zapytuje mowca.

„Trzydzieści pięć tysięcy zakonników i 125,000 zakonnic naucają obecnie we Francyi dwa miliony dzieci, to jest jedną trzecią naszej młodzieży szkolnej, pielęgnują 200,000 chorych, przytulają 100 tysięcy sierot; 9,000 księży misyjonarzy, 4,000 braci, 34,000 zakonnic francuskich roznoszą po wszystkie krańce świata sławę naszej ojczyzny. Nie dość, są jeszcze zakony, modlitwie poświęcone wyłącznie; modlą się za ten kraj, za tych, którzy się modlić nie chcą i nie umieją!

„I nie jest to najmniejsza oddana nam usługa, bo ta modlitwa chroni naród od gromów zagniewania Pańskiego!“

P. Lerolle, deputowany Paryża, a ojciec przedstawionego nam przez hr. de Mun, młodego przewodnika kół katolickich rzemieślniczych, bronić będzie jeszcze z wielką znajomością rzeczy i siłą wolności stowarzyszeń religijnych, która tak bardzo obecnym rządóm stała się solą w oku.

Doktor Boissary opowie o ostatnich cudach, które miały miejsce w Lourdes przed miłosierdziem i potęgą Matki Najświętszej.

Ksiądz kanonik Odelin (zanim wyjdzie książka o międzynarodowym kongresie w Paryżu), streszcza jego długie prace i wota, organi-



zatorom i uczestnikom jego dziękując. Zaś biskup de Cabrières obdarza rozchodzące się tłumy swem pasterskiem błogosławieństwem.

Kongres ukończony, a najgorliwsi dziś jeszcze wieczorem odjadą do Paray-Le-Monial, aby w miejscu, w którym wielebna zakonnica Nawiedzenia, Małgorzata Alanque, usłyszała obietnice Chrystusowe, pokrzepić się w tem ognisku łask dla odważniejszego nadal wyznawania i skuteczniejszego bronienia świętej wiary katolickiej.

I jakież pozostanie wrażenie z tych narad, przemówień i pracy wspólnej uczestników kongresu?

Jedno zwłaszcza najsilniejsze: Uczucie potrzeby wspólnego, międzynarodowego działania, czujności nad sprawą Bożą, walki zorganizowanej, wytrwałej, odważnej, chociażby z zaparciem się własnego życia.

Bo jakże nie sprzysiądz się i nie uzbroić przeciwko złemu, które świat gnębi? W tym chociaż jednym tygodniu kongresowej pracy, ileż-to zewsząd niepokojących wypadków zasmuciło katolickie serca!

Wielki mistrz massonii włoskiej, Ernest Nathan, pobudził dopiero co na nowo wolnomularzy, z okazji wyborów we Włoszech, do akcji przeciwko katolicyzmowi.

We Francyi przeciw kongregacyom zakonnym wydano wyrok, czyniący zależnym ich los od specjalnego dla każdej z nich prawa.

W Auche, na przekór ludności katolickiej, zabroniono publicznych processyi. W Reims kazano podstępnie zburzyć wielki krzyż kamienny, wzniesiony na przedmieściu ze składek, pomimo czynnej protestacyi oburzonej ludności i upomnień arcybiskupa kardynała Langenieux.

W Tonnay-Charente wypędzono siostry Świętego Wincentego à Paulo z ich własnego domu! A minister finansów wydelegował nową kommissyę dla ocenienia, opodatkowania lub zagarnięcia wszelkich posiadłości zakonnych; zewsząd rozpasane namiętności ludzkie, które podburza rząd sekciarski, grożą spokojnemu wyznawaniu wiary, a ta nawet wielka, międzynarodowa wystawa, skąd inąd pouczająca, święci na wielką skalę uzmysłowienie sztuki i brutalną pornografię.

A jednak nie wszędzie zwycięża duch złego.

W Wiedniu na wyborach zwalczono partyę semicką.

W Belgii porażka liberalnego stronnictwa zupełna, i nie jest to pierwsze zwycięstwo zwolenników społecznego pokoju.

W Paryżu utworzyła się liga nacjonalistów. Należą do katolickiego stronnictwa, zwyciężyli przy wyborach do municypalności paryskiej. Zaszkodziła stanowczo massonii sprawa Dreyfusa. Nim się w przyszłości udzieli dotykally zbawienny wpływ nowoobranych, oto już propozycja du repos hebdomadaire przegłosowaną została. Niedziela zostanie nadal dniem świątecznym obowiązkowego odpoczynku.

Ale pocieszającą rękojnią przyszłości jest przedewszystkiem liga katolickiej młodzieży.

Podczas, gdy Francya obchodzi kanonizacyę świętego J. Bapt. de La Salle, założyciela bractw de la doctrine chrétienne, beatyfikuje bl. Kleta ze zgromadzenia OO. Missyonarzy, oraz nowych męczenników, zamordowanych w Chinach; gdy w sam dzień Zielonych Świątek odjeżdża do Indyi świeży poczet katechetów; gdy dla uczczenia sukni Zbawiciela ściągają do Argenteuil pielgrzymki Żnawów pontyfikalnych, a Paray le Monial jest ustawicznym celem wycieczek dla tysięcznych w tym roku pątników: oto ta sama liga młodzieży katolickiej francuskiej, licząca już dzisiaj 44,000 członków wojowniczych i czynnych, postanawia odwiedzić Rzym 19 września r. b. jubileuszowego, aby zapewnić Stolicę Apostolską o swem przywiązaniu i wierności.

Dowiodła jej i na kongresie, na którym 137 jej stowarzyszeń różnych, było reprezentowanych, a 49 grup nowych pozyskała. Udowodniła użyteczność swej katolickiej pracy, zwłaszcza na tej samej bezwyznaniowej wystawie. Pałac kongresów pomieścił sprawozdanie i sympatyczne tablice jej wszechstronnej działalności. Ale nie mógł pomieścić ich wszystkich. Specjalny pawilon, wystawiony w Vincennes, dal o nich dokładniejsze wyobrażenie: Les oeuvres ouvrières des Malmaisons, od dwóch lat istniejące z baronem de Guntz na czele i jego siostrą; patronage laïque des apprentis et des jeunes Ecoliers, w której młodzi adwokaci, docenci, chirurgowie, doktorowie, (w tej liczbie najslawniejszy dziś chirurg, pan Paul Michaux), uczą bezpłatnie młodzież rzemieślniczą, pozyskując tem serce ludu; l'oeuvre des Patronages, dzieło moralizacyjne pomocy natychmiastowej i stałej dla najuboższej ludności; patronaty dla umieszczania terminatorów, warsztaty bezpłatne, tanie kuchnie, sekretaryaty ludowe, kasy oszczędnościowe, biura rozdawnictwa odzieży i obuwia, towarzystwo męskie Sw. Wincentego à Paulo, setki kółek dla młodzieży rzemieślniczej, stowarzyszenia dla oddzielnych fachów, koła robotnicze pod prezydencyą hr. de Mun, w liczbie 418, 156 syndykatów rolnych itd. założone są, kierowane, doglądane, zasilane, przeważnie przez szkol-



ną katolicką młodzież. Z samych patronatów, pod jej zwierzchnictwem zostających, przedstawiono na wystawie 2,551 dla chłopców, i 1,817 dla dziewcząt, a grup edukacyjnych wychowania ludu 32,674.

Bóg w ręce tej młodzieży złożył przysłe a szczęśliwsze losy Francji katolickiej.

MICHAŁ RADZIWIŁŁ.

---

# PIŚMIENNICTWO.

---

Stanisław Rzepiński: „Grecya, wspomnienia z podróży, odbytej na wiosnę w roku 1896“, Kraków, 1899.

Anna Neumanowa „Legendy i Baśnie wschodu“. Kraków 1899. S-ka wydawnicza polska.

Zofia Kowerska: „Powieści.“ Kraków, 1899 roku. Spółka wydawnicza polska.

Pod przewodnictwem znanego hellenisty niemieckiego, Dörpfel-  
da, sekretarza archeologicznego instytutu niemieckiego w Atenach,  
odbywają się co czas pewien podróże naukowe po Grecyi, przezna-  
czone głównie dla młodych sił nauczycielskich.

Na wiosnę roku 1896 wraz z gronem nauczycieli austriackich,  
podróż taką odbyło kilku Polaków z Galicyi, a między nimi p. Stani-  
sław Rzepiński, autor książki, którą mamy przed sobą.

Książka ta obejmuje tylko część pierwszą wycieczki, która skie-  
rowała się następnie ku półwypowi Apenińskiemu.



W Grecyi zwiedzono Korfu, Patras, Korynt, Nauplię i Tirynt. Pamiątki historyczne w zwiedzaniu tych miejscowości były celem głównym. Życiu dzisiejszemu przyglądano się mało, o tyle tylko, o ile nie można było uniknąć zetknięcia się z ludźmi, których przeznaczenie dziejowe uczyniło spadkobiercami wielkich ruin kultury starogreckiej. Mimo to jednak, spostrzegawczy autor uchwycił umiejętnie wiele ciekawych szczegółów, dotyczących Nowogreków, i te podał w formie barwnej, swobodnej, okraszanej gdzieniegdzie jasnym i zdrowym humorem.

Wrażenia swoje spisywał p. Rzepiński dorywczo, przygotowując jednak książkę do druku, starał się je powiązać i nadać im tok jednolitego opowiadania. Udało mu się to w zupełności, przyczem, dzięki pierwotnemu, notatkowemu charakterowi swej pracy, uniknął uniesień lirycznych, w które zazwyczaj tak obfitują nasze książki podróźnicze.

Połączenie wycieczki z prof. Dörpfeldem nastąpiło dopiero w Koryncie, skąd w ogólnej liczbie 65 osób rozpoczęto właściwą podróż naukową. Na pierwszym planie był, oczywiście, stary Korynt, znajdujący się w odległości 5 klm. od dzisiejszego. Na miejscu dawnej siedziby szczęścia, dostatku, rozpasania i zbytku — stoi dziś kilka zaledwie chat wieśniaczych i licha gospoda. Ze starożytnego Koryntu nie pozostało nic po zniszczeniu, jakiego dokonał tu oręż rzymski w roku 146 przed Chrystusem, w wiekach średnich Turcy, Wenecyanie i znowu Turcy, wreszcie, straszniejsze od wojennej grozy, trzęsienie ziemi.

Obok drobiazgów, niemających dla nauki żadnego znaczenia, jak „kąpiele Wenery“, część murów okrężnych miasta i szczątki amfiteatru rzymskiego, jest w Koryncie jeden przecież pomnik, który przetrwał lat tysiące i burze dziejowe, i klęski elementarne — to siedem potężnych, monolitowych słupów doryckich z rówkowaniem, wysokości przeszło stóp 7. a o średnicy dolnej, wynoszącej 1 $\frac{3}{4}$  m. Kolosalne ich głowice i potężne belkowania świadczą o zamierchłej starożytności. Dla nich-to głównie przybyła tu wycieczka.

Trudy podróży opłacił także wędrowcom widok, roztaczający się z wyżyn Akrokoryntu (góry zamkowej), skąd jak na dłoni widać Istmos cały, od Wschodu zatokę Saronką i góry Megary, Eginę i Salamis, Ateny, jakby przykute do gór Hymetu, góry Laurionu i przylądek Sunion, na Zachód zaś ogromną przestrzeń zatoki Korynckiej, poszarpane wieściami i zatokami brzegi północne szafirowe-

go morza aż hen — ku śnieżnemu wierzchołkowi Parnasu i ukochanemu przez muzy Helikonowi.

Droga z Koryntu do Nauplii opisana została przez p. Rzepińskiego krótko, nie przedstawia bowiem nic osobliwego. Jedyne jej urozmaicenie stanowi niezbyt wielka dolina górską Nemei—terren starożytnych igrzysk nemejskich.

Nauplia, gdzie wycieczka zatrzymała się dłużej, leży u stóp góry Palamidi i ma wyborną przystań, o której murowane brzegi tłucze się morze. Miasto dzisiejsze jest dość schludne, zabudowane jednopiętrowymi kamiennymi domami. Na jednym z placów, wśród skromnej plantacji drzew, widnieje pomnik Ypsylantisa. Pamiątek odległej przeszłości nie posiada Nauplia żadnych, jest za to wygodnym punktem, z którego odbywać można wycieczki po całej równinie argolskiej.

Jedną z kilku przedsięwziętych stąd wycieczek było odwiedzenie Tiryntu. •

Opisowi ruin starożytnego zamku Tyrineckiego, wzniesionego z olbrzymich głazów „cyklopskich“, których średnia waga wynosi 3 — 4 tys. kilogr., poświęcił autor końcowe karty swojej książki, i z Homerową *Odyseją* w ręce oprowadził nas po znakomitych szczątkach..

Na tem urywa się treść zajmujących wspomnień. Nie znajdujemy już w książce opisu wycieczki do Heraion, tak starannie odkopanego i utrzymywanego w ostatnich czasach przez amerykańskich uczonych. Z krótkiej notatki dowiadujemy się tylko, że podążono tam z Nauplii.

Nie wiemy, dlaczego szanowny autor zaniechał doprowadzenia nas z sobą do końca wycieczki, jak nie wiemy, czy oczekiwać mamy dalszego ciągu „Grecyi“. Jeżeli jednak druga część opisu podróży będzie poświęcona wyłącznie Italii, to prawdziwą szkodą dla czytelnika pozostanie brak opisu tych miejscowości, które, zwiedzone przez p. Rzepińskiego pod przewodnictwem tak doskonałego znawcy starożytności helleńskich, jak Dörpfeld, nie weszły do jego książki o „Grecyi“.

I za to jednak, co mamy przed sobą obecnie, należy się autorowi uznanie wszystkich miłośników starożytności greckich, książkę bowiem zamkną oni niewątpliwie z tem przeświadczeniem, że im ona kil-



ka chwil prawdziwie miłych przyniosła, a w razie potrzeby — służyć może za dobrego przewodnika.

Szkoda tylko, że ogólne wrażenia dodatnie psują wyrażenia, jak: „nadawanie“ posyłki na pocztę (wyrażenie galicyjskie), „wsporniki“, zamiast p r z y p o r y i kilka innych.

---

Książkę p. Neumanowej bierze się do ręki z zainteresowaniem, jakie w nas budzi tytuł.

Wschód—to kraina fantazyi.

Legendy i baśnie Wschodu—to świat dziwów i orgii barw, uczta dla wyobraźni.

Oczekujemy więc od tych „w słońcu afrykańskim malowanych obrazków“ uroku pustyń bezbrzeżnych, szumu wichrów palących, szeptu palm samotnych w oazach, nieba przestronnego, a na tem tle beduinów, owiniętych w białe burnusy, czarnookich, gazelom podobnych, kobiet, których przygody, wierzenia, zabobony, zajmą nas, porwą, odtworzą nam jakieś odrębne, egzotyczne życie, daleki, nieznaną świat, ku któremu jednak mocą upodobań, odziedziczonych po praojcach aryjskich, lgnie duszą.

Oczekujemy od legend tych i baśni, poprostu mówiąc, Wschodu.

Niestety, p. Neumanowa daje go nam bardzo mało i daje więcej w języku i stylu napuszonym—niżeli w obrazach.

Po przeczytaniu książki czujemy, że nie wzbogaciliśmy niczem naszej wyobraźni, że autorka nie zaspokoila ani naszych umysłowych, ani estetycznych wymagań, że daleko piękniejsze legendy i baśnie znamy skądinąd, i że lepiej jest przysporzyć naszej literaturze dobrą w tym przedmiocie książkę francuską lub angielską, niż pisać ją oryginalnie, nie posiadając odpowiedniego ku temu zasobu spostrzeżeń i zdolności barwnego malowania rzeczy barwnych.

A jednak sam Wschód powinien był w pisarzu wrażliwym tę zdolność rozwinąć. Kilkoletni pobyt w Kairze, sąsiedztwo pustyni i obserwacya bezpośrednia, wpatwienie się i wczucie w otaczające ży-

cie, uchwycenie jego rytmiki leniwej a namiętnej — powinny były odbić się na utworach, z istoty swojej dopominających się o artyzm, powinny były nadać im koloryt i ton właściwy. Niestety, stało się inaczej.

Gdzieniedzie wprawdzie udaje się p. Neumanowej „malować w słońcu“, ale trafia się to tak rzadko, że o większości opracowanych w książce tematów powiedzieć można, iż zostały one zepsute przez dziwną niendolność wyzyskania efektów, które w umiejętnem i staranniejszem oświetleniu, po należytem uwypukleniu szczegółów — mogły się stać prawdziwie piękne.

Mimowoli też na myśl przychodzi, jakby tematy te wyszły z pod pióra, któremu-by barwności swojej i subtelności użyzył Loti na przykład.

Początkowe obrazki, których ogółem w książce jest osiem, nie pozbawione są jeszcze pewnych zalet. Na wstępie mamy rzecz stanowczo w całym zbiorze najlepszą — „Na pustyni“. Potem na wyróżnienie zasługuje „Palma samotna“. Snać uważała to i sama autorka, umieszczając utwory te na czele, aby zachęcić czytelnika do zapoznania się z całą książką. W miarę jednak, jak posuwamy się dalej, wrażenie słabnie. Z każdą niemal kartką opada coś z tego uroku, którym legendy i baśnie Wschodu otacza wyobraźnia, rozpięzcha się blask słoneczny, wydłuża cień, przysyłający najżywsze momenty w opowiadaniach.

Dochodzimy wreszcie do utworów końcowych. Przedostatni nosi tytuł „Dwa śluby“. Nie jest to już ani legenda, ani baśń. Efekt artystyczny miał tu być osiągnięty przez zestawienie dwóch uroczystości: ślubu młodej Lewantynki w Kairze i ślubu dziewczęcia polskiego „nad Wisłą“, oraz przez wykazanie w następstwie różnicy pomiędzy małżeństwem i szczęściem domowem u nas, a na Wschodzie.

Pomysł banalny, a wykonanie? Oto próba:

„A teraz odwiedźmy na chwilę wiejski domek nad Wisłą — mówi autorka. — Dzień ponury, jesienny, dżdżysty, niemile dreszcze budzi, ale w skromnych pokoikach jakże ciepło i wesoło! jaki tu ład i spokój! Znać wszędzie pracowitą rączkę opiekuńczego anioła domu — kobiety. Widzisz ją w tej chwili, jak pieści złotowłosą główkę dzieciny i każe jej powtarzać z książki literki i słowa. Jakaż radość matki i dziecka, gdy literka poznała! A oto głos znany doleciał z podwórza. To pan domu powraca z pola, zziębnięty, przemokły, zmęczony. Ale już powitany uściskiem, zaledwie stanął w progu, zapominał trudu i troski. Bodaj to żyć i umierać w takiej chacie!“



Ustęp powyższy może się dostać do wypisów dla młodych panienek, bo jest bardzo poczciwy i bardzo w intencji swojej szlachetny, ale po literacku go biorąc, musimy zawołać: jakież to stare już i niesmaczne!

I naprawdę, p. Neumanowa tak mało ma smaku dzisiejszego, tak jej talentowi gawędziarskiemu obce są pierwiastki sztuki czystej, a wyobraźnia jej tak skrzydła leniwie po ziemi wlecze, że jej legendy i baśnie Wschodu powinny być pozostać raczej miłym wspomnieniem osobistem chwil, spędzonych w Kairze, a nie wchodzić na targ księgarski z pretensjami do literatury.

---

P. Kowerska pisze od ręki, pisze swobodnie i śmiało, z dużą rutyną i wyrobieniem pisarza, który umiał już sobie zdobyć szerokie koło czytelników nie tylko zaletami pióra, służącego nie od dzisiaj piśmiennictwu, ale rzadkim w dzisiejszych czasach optymizmem życiowym—pogodą i humorem.

Bohaterowie jej nie szarpią się, nie walczą z mrokiem, nie padają pod brzmieniem cisnących się do ich mózgowi zagadnień; ale idą drogami, na które pada słońce, idą spokojnie i cicho. Stąd niektóre obrazki p. Kowerskiej są jakby w słońcu kreślone.

Do takich należy pierwsza zaraz powiastka w zbiorze „Dla Anusi“. Tyle tu humoru, wesela, szczerzego zadowolenia z życia, tyle szczęścia, że czytelnik, przyzwyczajony do zgorzkniałych, wyrafinowanych analiz cierpienia ludzkiego w powieściach współczesnych, z podziwem odkłada książkę i prawdziwą ma wdzięczność dla autorki za pokazanie mu życia z najpowabniejszych jego stron.

Bohaterką opowiadania jest młode dziewczę—podlotek, Anusia, która na drodze swojej spotyka zepsutego już trochę, znającego dobrze świat, życie i kobiety, kuzyna. On się nią bawi, ona—naiwnie przyjmuje wszystko i na tle wiosny, z żywiołową siłą jakąś, wykwita z tego cudowny kwiat pierwszej miłości. Spozstrzega to Jaś i usiłuje się cofnąć—on przecież miał inne zupełnie widoki i bez posagu zenić się nie może. Wyjeżdża nawet na czas pewien z domu, ale wraca —

i odaje się uczuciu, które mu przynosi szczęście, „jakiego-by za miliony nie oddał“.

Opowiadanie bardzo proste, historia, jakich wiele. A przecież jest w tem tyle prawdziwej radości dwóch serc, tyle naiwności, tyle prostoty gołębiej i czystości pojęć, i tyle „mądrości Bożej, wprost z nieba przyniesionej“, jak sama autorka w którymś miejscu powiada, że mimowoli budzi się w duszy tęskne pragnienie życia, które łączy w sobie te pierwiastki szczęścia, pogody i zachwytyw. Ale ono jest od nas daleko, tak je tłumią od samego początku czynniki inne, wzdzierające się przedwcześnie do dusz młodych świadomością bólu i nędzy istnienia.

Odczuwa to snąć i p. Kowerska, bo wślad za opowiadaniem „Dla Anusi“ i drugim jeszcze słonecznym obrazkiem „Z życia Jasia“ idą dwie opowieści smutne, z krótych jedna, na tle rugów poznańskich, ma w sobie rozdzierający smutek doby dzisiejszej.

„Wydalona“ — to dzieje małej ośmioletniej dziewczynki, sieroty.

Kombinacya była taka. Dziewczynka pochodziła od rodziców z Królestwa. Matka odumarła ją wcześniej, ojciec ożenił się po raz drugi i wkrótce także zeszedł z tego świata. Dorotka została na opiece macochy, która znów za mąż wyszła. Mimo to jednak mała znalazła u tych nowych, przybranych rodziców miłość i przywiązanie. Powikłania te nie istnieją atoli dla rządu pruskiego. Paragraf jest martwy i w sferę uczuć nie wchodzi, a wykonawcy jego są ślepi i nieczuli. Paragraf zażądał wydalenia Dorotki, jako „obcego przybysza,“ więc ją władza wydala. Zjawiają się zandarmi i domagają się wydania dziecka. Wystraszone dziewczętko, na widok ludzi zbrojnych w domu, o których wie, że po nie przyszli, dostało ataku konwulsyi. Rozwija się z tego choroba, wskutek której Dorotka umiera. Bezduszna ustawa tryumfuje, a cóż, że o jedno istnienie ludzkie mniej na świecie, że kilka serc, rozdartych bólem, protestuje głucho.

Dzieje to smutne a prawdziwe, z przeszłości niedalekiej, odczute przez autorkę żywo. Ale i tutaj smutek jej nie jest nerwowym, szamocącym się, bezsilnym smutkiem duszy współczesnej, jest tylko obywatelskiem odczuciem tego, co boli, jest położeniem ręki na ranę krwawiącą. W opowiadaniu — mimo całego bólu i lez — niema ani jednej nuty, która-by brzmiała zwątpieniem i beznadzieją.

Zestawiając wszystkie, w książce p. Kowerskiej zawarte, obrazki, dojść musimy do wniosku, że w talencie jej tkwi na pierwszym



planie zdolność do odtwarzania stron jasnych życia. Tutaj najlepiej czuje się pióro jej swobodne i wesołe, najzamaszyściej maluje i najszybciej zjednywa sobie sympatyę czytelnika. Takie powiastki, jak „Dla Anusi“, zawsze i przez wszystkich czytane będą chętnie, i ten kierunek w drobnych utworach autorki najwydatniejszym będzie, dla niej i dla nas, którzy z takim upragnieniem szukamy więcej promieni słońca na kartach smutnych książyek dzisiejszych.

Z. D.

---

# *Kronika miesięczna.*

## I.

### Zmiany w Towarzystwie Kredytowym miasta Warszawy.

Nieraz już na tem miejscu mieliśmy sposobność ostatniemi czasy dotykać rozlicznych stron stosunków miejskich w Królestwie. Między innemi, przed dwoma przeszło laty <sup>1)</sup>, wypadło nam zwrócić uwagę na nagłące potrzeby taniego kredytu nieruchomego miejskiego w naszych miastach prowincjonalnych, oraz na projekt zaradzenia tej potrzebie dla jednej przynajmniej stołecznej gubernii Warszawskiej, podniesiony przez Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy. Obecnie tamten projekt zbliża się do urzeczywistnienia. Lecz zarazem wyłoniła się z niego pewna, całkiem nieprzewidziana, komplikacya dodatkowa. Mianowicie, w obecnej chwili istnieje już możność prawna udzielania pomocy kredytowej Towarzystwa warszawskiego miastom prowincjonalnym gubernii Warszawskiej. Atoli dzisiaj stać się to może nie inaczej, jak pod warunkiem zniesienia Zgromadzeń Ogólnych, to jest dotychczasowego zasadniczego organu przedstawiciel-

---

<sup>1)</sup> „Kronika miesięczna“, lipiec, 1898.



stwa Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Sprawa pierwotnie nader prosta, przedstawia obecnie dwie strony, właściwie, same przez się całkiem odrębne, a jednak odtąd ściśle nierozłączne. Rzecz pod każdym względem zasługuje na uwagę. Nie będzie zbytecznym w kilku bodaj słowach przyłożyć się do właściwego jej wyświetlenia.

Na początku 1897 roku Zarząd Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy bliżej zajął się myślą rozszerzenia działalności Towarzystwa na inne miasta gubernii Warszawskiej. Myśl w zasadzie była pod każdym względem pożyteczna i zdrowa; co więcej, jak to swego czasu przypomnieliśmy na tem miejscu, nie była najmniej nową, gdyż już oddawna, od lat kilkadziesiąt, pokutowała w najrozmaitszych postaciach, nie mogąc doczekać się urzeczywistnienia. Tym razem, po całorocznych czynnościach przygotowawczych, rzecz dojrzała o tyle, że władze Towarzystwa mogły wystąpić z wypracowanym szczegółowo wnioskiem w tej materii, który też już w styczniu 1898 roku został akceptowany w zasadzie przez Zgromadzenie Ogólne, zaś następnie, w marcu tegoż roku uznany za dobry przez Naczelnika kraju, i skierowany do ministerjum finansów w Petersburgu, skąd, w drodze właściwej, miał przejść do rozpoznania Rady Państwa na najbliższej sessyi jesiennej. Rzeczy jednak nie poszły w tak szybkim tempie, jak pierwotnie przewidywano. Minęło przeszło dwa lata. Obecnie dopiero, w maju roku bieżącego, pierwotna sprawa lokalna znalazła szersze i powszechniejsze rozwiązanie. Zamiast zatwierdzenia pierwotnego konkretnego projektu Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy względem upoważnienia go do wydawania pożyczek w innych miastach gubernii Warszawskiej, ukazała się ogólna Ustawa normalna, regulująca odtąd, w zakresie rzeczzonego przedmiotu, czynności wszelkich, w całym państwie, towarzystw kredytowych miejskich.

Taką Ustawę normalną stanowi w rzeczy samej Najwyżej zatwierdzone Zdanie Rady Państwa z dnia 1/14 maja 1900 roku „O pozwoleniu towarzystwom kredytowym miejskim, ustanowionym w jednym mieście gubernii, wydawania pożyczek w innych miastach tejże gubernii“. Na mocy tego prawa, istniejące towarzystwa kredytowe miejskie, uchwałą  $\frac{2}{3}$  swoich członków, obecnych na zgromadzeniu ogólnem, po zatwierdzeniu takiej uchwały przez ministra finansów, mogą rozciągnąć swoją działalność na miasta prowincjonalne tejże gubernii, albo nawet gubernii ościennych (ustęp 1, §§ 1, 2). Rzeczony rozciągnięcie dopuszcza się względem miast prowincjonalnych, gdzie szacunek ubezpieczeniowy budowli przenosi 150 tysięcy rubli, oraz skąd zainicywowane zostało przystąpienie do danego Towarzystwa kredy-

towego conajmniej przez 20 obywateli miejscowych (§ 4). O tyle też w prawie niniejszem uwzględnione zostały dezyderaty, wyrażone w projekcie pierwotnym Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Dalszy atoli przepis (§ 5) ma brzmienie następujące: „W towarzystwach kredytowych, otwierających czynności w innych miastach, zgromadzenia ogólne członków zamienione zostają na zgromadzenia pełnomocników, na zasadzie praw obowiązujących, przyczem w każdym mieście, przyłączonem do zakresu działań towarzystwa, ustanowione będą oddzielne zgromadzenia wyborcze dla obioru pełnomocników, według prawideł, wskazywanych przez ministra finansów“.

Tym więc sposobem, w chwili obecnej, w zastosowaniu bezpośredniem do Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, rzecz przedstawia się tak, że ostateczna uchwała Zgromadzenia Ogólnego warszawskiego w sprawie zamierzanego rozciągnięcia jego operacji na gubernię Warszawską, będzie zarazem równała się *ipso jure* zakończeniu dalszego bytu tegoż Zgromadzenia, i stworzeniu, na jego miejsce, nowego organu pod postacią zgromadzenia pełnomocników.

Takie jest położenie. Przystępując do rozważenia go, należy przedewszystkiem stwierdzić jedną oczywistą okoliczność. Należy mianowicie stwierdzić, że pierwotna specjalna inicjatywa Towarzystwa warszawskiego, w przedmiocie rozszerzenia jego sfery kredytowej, nie stanowiła, bo nie mogła stanowić, właściwego motywu dla niniejszej ogólnej noweli prawodawczej w przedmiocie zacieśnienia jego sfery reprezentacyjnej. Taki motyw wtedy tylko mógł-by być prawdopodobnym w danym wypadku, gdyby projekt naszego Towarzystwa pociągał za sobą tak nagły i nadmierny przyrost liczby stowarzyszonych, iżby skutkiem tego nasuwała się trudność praktyczna dalszego trwania Zgromadzeń Ogólnych warszawskich w dotychczasowej postaci, a zarazem potrzeba zastąpienia ich przez mniej liczne zgromadzenia pełnomocne. Taki wypadek atoli tutaj nie zachodzi zgoła. W istocie, idzie tutaj o wydawanie pożyczek przez Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy conajwyżej w dwunastu miastach gubernii Warszawskiej, które mogą być brane w rachubę, gdyż te tylko czynią zadość warunkom pierwotnego projektu i nowego prawa o wykazywanem w nich *minimum* szacunkowem. Biorąc teraz za podstawę liczbę dwudziestu deklarantów, przewidzianą w temże prawie, okaże się, że chodzi o przystąpienie do Towarzystwa jakich paruset, conajwyżej kilkuset nowych stowarzyszonych prowincjonalnych. Tymczasem obecna cyfra stowarzyszonych w samej Warszawie wynosi już przeszło 3,000. Zaś z tej tak znacznej liczby dotychczasowej, zazwyczaj nie więcej nad  $\frac{1}{10}$ , to jest około 300 stowarzyszonych, stawia się osobiście dla uczestniczenia w Zgromadzeniu Ogólnem, choć mają je



pod ręką. Biorąc analogiczny stosunek pośród przypuszczalnych stowarzyszonych prowincjonalnych, którzy, oczywiście, nie więcej od Warszawian będą tłoczyli się na Włodzimierską ulicę, okaże się koniec końcem, że w danym wypadku, po urzeczywistnieniu pierwotnego projektu Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, wypadłoby przewidywać faktyczne powiększenie liczby uczestników tutejszego Zgromadzenia Ogólnego o jakie kilkadziesiąt, a najpewniej zaledwo o kilkanaście osób. Rzecz prosta, iż tak nikły stosunkowo przyrost nie mógł żadną miarą, jak rzekliśmy, stanowić istotnego motywu nowego przepisu prawodawczego, pociągającego za sobą kasację Zgromadzenia Ogólnego w jego obecnej postaci.

Skoro zaś taki motyw nie wynika z rzeczywistych stosunków lokalnych, należy szukać go gdzieindziej. W rzeczy samej, odnajduje się on w stosunkach, panujących w towarzystwach kredytowych miejskich Cesarstwa, a zarazem w powszechniejszej dążności władz odpowiednich, zmierzającej ku zniesieniu w tych towarzystwach instytucji zgromadzeń ogólnych i zastąpieniu jej przez mniej liczne zgromadzenia pełnomocne. Taka dążność nie powinna była zresztą stanowić żadnej niespodzianki dla towarzystw kredytowych Królestwa, albowiem już od szeregu lat znajdowała sobie wyraz w licznych postanowieniach poszczególnych ministerjum finansów, a nawet w niektórych ogólniejszych aktach prawodawczych.

Pierwszy punkt wyjścia pod tym względem stanowiły burzliwe wypadki, wydarzone w 1884 i 1885 r. na zgromadzeniach ogólnych w Towarzystwie Kredytowym petersburskiem, które, skutkiem tego, na mocy postanowienia Rady Państwa z czerwca 1886 roku, zostały skasowane i zastąpione przez zgromadzenia 210 przedstawicieli pełnomocnych, wybieranych w trzech listach po 70, przez trzy grupy stowarzyszonych, podzielonych w stosunku posiadanych pożyczek, w ten sposób, iż każda grupa wyborców reprezentuje  $\frac{1}{3}$  ogółu pożyczek. Podobnie, z innych powodów, w Towarzystwie Kredytowym odeskiem, na zgromadzeniu ogólnem w marcu 1892 r., przy rozprawach nad projektem udzielenia gratyfikacji urzędnikom, doszło do zajęć wysoce nieparlamentarnych: mówcy wskakiwali na stoły, wygrażali sobie, zagłuszali gwałtem prezydującego, sala obrad, według słów świadka naocznego („Odesskaja Gazeta“, 1892 roku, № 63), „zamieniła się na targowisko“, aż w końcu wezwany na ratunek przez prezydium ówczesny naczelnik miasta, general-lejtnant Zelenoj, musiał zamknąć posiedzenie, poczem następne zebranie odbyć się musiało przy udziale siły zbrojnej i władz policyjnych. Skutkiem tego znowuż niebawem, w 1893 roku, zgromadzenie ogólne odeskie zostało skasowane i zastąpione przez zgromadzenie pełnomocników, na wzór petersburskiego.

Taki sam system zaprowadzony został również w towarzystwach kredytowych w Kijowie, Rydze, Rewlu, Kronsztadzie i Tyflisie itd. Narzędzie cała ta sprawa raz na zawsze zdecydowaną została w zasadzie przez ogólny przepis prawodawczy pod postacią Najwyżej zatwierdzonego Zdania Rady Państwa z dnia 15/27 listopada 1893 roku w takich słowach: „W towarzystwach kredytowych miejskich, liczących przeszło 300 członków, zgromadzenia ogólne mogą być zamienione, według uznania ministra finansów, niezależnie od życzenia samych towarzystw, przez zgromadzenia pełnomocników, na zasadzie przepisów odpowiednich, ustanowionych dla Towarzystwa Kredytowego miejskiego petersburskiego. Liczba pełnomocników określa się przez ministra finansów, z uwzględnieniem, w każdym wypadku, warunków miejscowych, przyzem zgromadzenie pełnomocne będzie składało się conajmniej z 36 osób. Pełnomocnikami nie mogą być osoby, zajmujące w danem towarzystwie jakiegokolwiek stanowiska administracyjne, obsadzone z urzędu, a nie z wyboru“. W rozwinięciu tego przepisu, wydany został następnie, dnia 20 marca (1 kwietnia) 1895 roku, inny jeszcze przepis dodatkowy, iż do ustawy towarzystw kredytowych miejskich, posiadających zgromadzenia pełnomocników, zamiast ogólnych, minister finansów mocen jest, wedle swego uznania, niezależnie od życzenia takich towarzystw, wprowadzać prawidłą porządkowe, na wzór obowiązujących w Towarzystwie petersburskiem.

Jasną jest doniosłość wskazanych szczegółów, a zwłaszcza tych ostatnich sankcyi prawodawczych 1893 i 1895 roku. Właściwie już od tego czasu dalsze trwanie zgromadzeń ogólnych w towarzystwach kredytowych miejskich Królestwa — (a więc, obok Warszawy, również i Łodzi, liczącej przeszło 1,000 stowarzyszonych, jako też, w dalszym rzędzie, i Piotrkowa, Lublina, Kalisza i Płocka, o ile przekroczoną zostaje norma 300 stowarzyszonych, wskazana w prawie 1893 roku) — należało uważać za zakwestyonowane w zasadzie. W każdej chwili te zgromadzenia mogły być skasowane z woli ministra finansów i zamienione na zgromadzenia pełnomocników. Odpowiadało to zapewne, obok innych pobudek, także ogólniejszym wymaganiom ścisłego ujednostajnienia stosunków i w tej specjalnej dziedzinie. Widocznie jednak ministeryum nie uznawało dotychczas za właściwe zastosować tutaj przysługującej sobie bezpośredniej inicjatywy. Natomiast obecnie skorzystało z pierwszej nadarzonej sposobności dla pośredniego osiągnięcia tego samego skutku.

W świetle wyjaśnień powyższych, przebieg dotychczasowy i dalsze widoki sprawy niniejszej przedstawiają się z dostateczną jasnością. Jednak słyszeliśmy już w tej sprawie rozmaite głosy, wycho-



dzące z wprost przeciwnych punktów widzenia, a które w swojej skrajności wydają się nam jednakowo pośpieszne i niuzasadnione. Słyszeliśmy, z jednej strony, zarzuty, skierowane pod adresem władz Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, iż nie powinny być wcale podnosić pierwotnego projektu o rozciągnięciu operacji Towarzystwa na gubernię, ażeby nie dawać otworu dla obecnej komplikacji, narażającej byt Zgromadzenia Ogólnego. Nie sądzymy, aby te zarzuty były słuszne. Projekt Towarzystwa sam przez się dotyczył wyłącznie sfery kredytowej, nie wkraczając do właściwej organizacyjnej. Jako taki, sam przez się był bezwarunkowo użyteczny. To też swego czasu nie omieszkaliśmy sami na tem miejscu oddać należnego uznania inicjatywie władz Towarzystwa w tym przedmiocie. Czyniliśmy to, i czynimy jeszcze, w tem przypuszczeniu, że te władze, świadome swojej odpowiedzialności moralnej, a dla których nie powinna była, jak rzekliśmy, być żadną niespodzianką wynikła obecnie ewentualność, spoczywająca już oddawna w precedensach towarzystw kredytowych miejskich Cesarstwa oraz w prawie 1893 roku, — niezawodnie, przy forytowaniu swojego projektu, nie zaniedbały niczego, dla ominięcia, w miarę możności, owej ewentualności. Słyszeliśmy dalej wyrażone powątpiewania, ażali w położeniu obecnem, dla uratowania Zgromadzenia Ogólnego, nie było-by lepiej dać całkiem za wygraną, wyrzec się własnego projektu, nie tykać stosunków kredytowych gubernii, i pozostawić własnej przedsiębiorczości miast powiatowych stworzenie w nich lokalnych towarzystw kredytowych dla zaspokojenia własnych ich potrzeb. Podobno nawet w jednym mieście (Łowiczu) taka myśl istotnie jest podejmowana na własną rękę. Nie możemy przecie pisać się na takie rozwiązanie, które naprawdę nie rozwiązało-by niczego. Od wydania przepisu 1893 roku, byt Zgromadzenia Ogólnego warszawskiego nie od Towarzystwa zależy, lecz od uznania ministerjum, które, raz wyraziwszy swoje w tym względzie intencje, tak, czy owak, do ich urzeczywistnienia w każdej chwili może przystąpić. Skutek abstynencji Towarzystwa od swego pierwotnego projektu był-by zatem conajmniej bardzo niepewny. A tymczasem tyle pewna, iż leży zarówno w interesie Towarzystwa, jako też miast powiatowych gubernii, aby dostały się one pod skrzydła kredytowe Warszawy. Rozstrzelenie kredytu miejskiego przez rozmnożenie mikroskopijnych towarzystw lokalnych było-by niedorzecznem pod względem ekonomicznym i przeciwnem skądinąd, z rozmaitych względów, interesowi publicznemu. Jednem słowem, projekt pierwotny jest dobry, a zatem należy go wykonać. Należy tem bardziej, iż zaniechanie go, to jest zaprzepaszczenie jednej sprawy — kredytowej, w niczem nie poprawiło-by dru-

giej—organizacyjnej, i zamiast zabezpieczyć przyszłość Zgromadzeń Ogólnych, najprawdopodobniej na krótką tylko chwilę odroczyło-by ich koniec.

Uważaliśmy za stosowne uczynić te wyraźne zastrzeżenia przeciw wzmiankowanemu, zbyt jednostronnemu i niedość rozważnym opiniom, będącym odgłosem zrozumiałego, lecz poniekąd przesadnego niepokoju. W ogólności, jakkolwiek rzecz samą uważamy za przesądzoną, to jest zniesienie naszych Zgromadzeń Ogólnych uważamy jedynie tylko za kwestyę czasu, zastrzegamy się wyraźnie, iż dalecy jesteśmy od pesymistycznego przecenienia skutków takiej zmiany. Przeciwnie, ubolewając nad przewidywanym rychłym końcem tego użytecznego i dotychczas dobrze zasłużonego organu, żywimy przecież przekonanie, że, przy właściwych staraniach i właściwem uwzględnieniu potrzeb miejscowych w samym sposobie wprowadzenia przewidywanej zmiany, ten dawny, wypróbowany organ da się w pewnej mierze wystarczająco zastąpić przez nowy, pod postacią zgromadzeń pełnomocnych, i że w każdym razie taka zmiana nie odbije się dotkliwie na dalszym pomyślnym rozwoju samej instytucji, tak poważnej i sympatycznej, jak Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy. Wszelkie pod tym względem jednostronne czarnowidztwo i pesymistyczna przesada były-by, zdaniem naszym, niezasadnione i szkodliwe.

Wszelako, czyniąc powyższe zastrzeżenia w imię trzeźwości i umiarkowania, musimy zaraz w równej mierze zastrzedz się przeciw niektórym, równie pośpiesznym i niedość dojrzałym głosom, jakie z wprost przeciwnej strony dochodzą nas w materji niniejszej. W rzeczy samej, jeśli w danym wypadku niema dostatecznego powodu do przesadnego niepokoju, przecież, mniemali-byśmy, niema także żadnego powodu do przesadnej uciechy. Było-by, zapewne, źle umieszczoną gorliwością winszować sobie już z góry zniesienia naszych Zgromadzeń Ogólnych. Jednakowoż jedno z pism warszawskich uznało za właściwe już z góry nazwać to przewidywane zniesienie „nader pożądaną zmianą“. Nie możemy solidaryzować się z takim znowu jednostronnym poglądem. Takim zresztą widocznie nie był pogląd samego ministerjum. Od lat siedmiu, t. j. od 1893 r., miało ono w ręku zupełną możność prawną zniesienia naszych Zgromadzeń Ogólnych. Jednak tego nie uczyniło. Widocznie zatem nie uważało tej zmiany za „nader pożądaną“. Obecnie uznaje ją skądinąd za konieczną, a przecież wolało uniknąć własnej bezpośredniej inicjatywy w tej mierze i skorzysać raczej z nasuwającej się drogi pośredniej. Nie widzimy potrzeby być bardziej ministeryalnymi od ministerjum. Godziłyby się całkowicie na zmianę konieczną, której wszakże „nader pożądaną“ nie



mieliśmy dotychczas powodu. Nie mieliśmy albowiem żadnego powodu uskarżać się na dotychczasową działalność naszych Zgromadzeń Ogólnych. Była ona w całości, pomimo nieuniknionych, drobnych usterek, zupełnie zadawalającą. Wprawdzie, jak wspominaliśmy, na Zgromadzenia Ogólne warszawskie, z liczby przeszło 3,000 stowarzyszonych, uczęszczało zazwyczaj nie więcej, niż kilkaset. Ale było to zjawisko nie tylko nie ujemne, lecz, przeciwnie, całkiem normalne. W ogólności w tych rzeczach — czyliż potrzeba dopiero przypominać tę prawdę elementarną? — nie zawsze chodzi tyle o pełne wyczerpanie swego prawa, ile o prawo samo. Zachodzi tutaj podobny stosunek, jak w innych analogicznych dziedzinach jawności publicznej, na przykład w dziedzinie sądownictwa, gdzie bynajmniej nie potrzeba zatłoczenia sal sądowych. Jeśli podobnie nie tłoczono się na sali Zgromadzenia Ogólnego w Warszawie, dowodziło to tylko stanu normalnego, bo dowodziło zaufania dla instytucji. Zresztą, skład tych kilkuset osób, które uczestniczyły w tych Zgromadzeniach, nie był ten sam za każdym razem, i w ten sposób ostatecznie, z biegiem czasu, nader znaczna ilość stowarzyszonych, należących do najrozmaitszych warstw obywatelskich miasta, brała udział osobisty w naradach. Na samych tych naradach, cechowanych przede wszystkim szczerą dbałością o dobro instytucji i publiczne, panowała na ogół przykładowa powaga i porządek i, pomimo nieuniknionych starć opinii, przecież o gorszących zajściach tego gatunku, jakie wydarzały się tak często w towarzystwach kredytowych miejskich Cesarstwa, nie było u nas nigdy słyhać. Nigdy też ministerjum finansów, jako naczelną władza nadzorcza, nie miało w tej mierze niczego do zarzucenia Towarzystwu warszawskiemu, ani też nie miało okazji do zastosowania względem niego tych środków koercyjnych, które od szeregu lat miało w swych rękach, i które musiało zastosować względem towarzystw kredytowych miejskich Cesarstwa, wydając tym sposobem negatywnym najlepsze świadectwo naszym Zgromadzeniom Ogólnym. Tem bardziej z naszej strony wydaje się właściwem wydać takie świadectwo i oddać należną sprawiedliwość naszym Zgromadzeniom Ogólnym, zamiast z przedwczesną skwapliwością od nich się odżegnywać, w chwili, kiedy prawdopodobnie zbliżają się do kresu swojej egzystencji dotychczasowej.

Nareszcie, wobec takiego prawdopodobnego rozwiązania, jedna okoliczność przede wszystkim powinna narzucić się uwadze ogółu i pieczołowitości odpowiedzialnych władz Towarzystwa. Chodzi mianowicie o przyszłe urządzenie organu, powołanego prawdopodobnie do zastąpienia Zgromadzeń Ogólnych, t. j. o urządzenie przewidywanych zgromadzeń pełnomocnych. Istniejące w tym względzie przepisy odznaczają

się pewną niejasnością, ale także pewną dostateczną rozciągłością, którą wypadło-by w miarę możności zużytkować dla dobra instytucji. Zgromadzenie Ogólne warszawskie, skoro własną swoją uchwałą o kredycie gubernialnym miało-by wyrzec o własnym niebycie, i w ten sposób dostarczyć pośredniej drogi dla wykonania uznanej za konieczną zmiany, oszczędzając drogi bezpośredniej ministeryum, zapewne spodziewać się powinno uwzględnienia natomiast niektórych uzasadnionych swoich dezyderatów co do technicznego tej zmiany uskuteczenia. Takie przypuszczenie tem bardziej wydawało-by się słusznem, iż w powołanym przez nas przepisie 1893 roku, do którego z kolei odwołuje się tekst nowego prawa z roku bieżącego, wyraźnie zostało ustalonem, iż minister finansów, przy organizacyi nowopowstających zgromadzeń pełnomocnych, „będzie uwzględniał, w każdym oddzielnym wypadku, warunki miejscowe“. Oczywiście, wiele zależy na tem, ażeby co do ilości, składu, sposobu obioru i obieralności, i innych ważnych szczegółów, dotyczących zarówno pierwotnej operacyi wyborczej, jako też samej czynności porządkowej zgromadzeń pełnomocnych, na wypadek wprowadzenia tego organu do naszych towarzystw kredytowych miejskich, w jak najrozleglejszej mierze zostały uwzględnione potrzeby miejscowe Królestwa. Co się tyczy już samej najprostszej, a zasadniczej kwestyi ilościowej, to we wzmiankowanym piśmie warszawkiem, z powodu niniejszej „nader pożądanej zmiany“, wyczytaliśmy między innemi także jeszcze, widocznie również niedość obmyślane, zdanie, iż liczba „120 — 150 pełnomocników“ była-by całkiem wystarczającą dla Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Woleli-byśmy nie przesądzać kwestyi w taki, zbyt summaryczny, sposób. Istotnie, akceptowana z lekkiej ręki w zdaniu powyższem cyfra 120 pełnomocników, była-by stosunkowo niższą od cyfry pełnomocników petersburskich. Towarzystwo Kredytowe petersburskie w chwili, kiedy, na mocy Zdania Rady Państwa z dnia 24 czerwca 1886 roku, przyznana mu została liczba 210 pełnomocników, liczyło około 4,000 stowarzyszonych. Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy liczy obecnie około 3,400 stowarzyszonych. Już tylko biorąc w rachubę sam ten podstawowy stosunek liczebny, wypadło-by oczekiwać dla Warszawy conajmniej 170 pełnomocników; zaś niezawodnie tę cyfrę minimalną należało-by jeszcze znacznie podwyższyć, jeśli uwzględnimy znacznie szybszy ostatnimi laty wzrost budowlany i ludnościowy Warszawy w porównaniu z Petersburgiem. Zresztą, powiedzieli-byśmy w ogólności, że gospodarstwo Towarzystwa Kredytowego petersburskiego, z ustaloną tam w rozlicznym względzie praktyką, ze stosowaną tam na przykład, jak wiadomo, wyjątkową liberalnością przy wymierzaniu wysokości po-



życzek i t. p., niekoniecznie mogła-by służyć za wzór dla Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Tak samo znowu, biorąc za punkt porównania Towarzystwo Kredytowe odeskie, przekonywamy się, że w chwili, kiedy na mocy Zdania Rady Państwa z dnia 27 listopada 1893 roku, przyznana mu została liczba 120 pełnomocników, szacunek ogólny należących do niego nieruchomości wynosił niewiele więcej nad 100 milionów rubli. W Towarzystwie Kredytowym miasta Warszawy ten szacunek wynosi przeszło 190 milionów rubli. Jeśli-by zatem wziąć za podstawę powyższy stosunek w porównaniu z Odessą, przypadają-by dla Warszawy przeszło 200 pełnomocników. Tutaj także umieścić należy uwagę, że według przepisów, obowiązujących dla Towarzystwa Kredytowego odeskiego, w tantejszych zgromadzeniach pełnomocnych liczba pełnomocników żydów nie może przenosić  $\frac{1}{5}$  ogólnego składu tych zgromadzeń. W każdym razie, tyle pewna, iż możliwie najwyższa liczba wszystkich pełnomocników, jaką można-by uzyskać dla Towarzystwa warszawskiego, jak najbardziej zbliżona do obecnej cyfry mniej więcej 300 faktycznych uczestników Zgromadzeń Ogólnych warszawskich, wydawała-by się z natury rzeczy wskazaną. Zaś pod względem prawnym niema żadnej przeszkody dla urzeczywistnienia podobnych dezyderatów, skoro, według powołanego ogólnego przepisu 1893 roku, minister finansów jest ograniczony jedynie pod względem *minimum* cyfry pełnomocników w liczbie 36 osób, lecz natomiast w niczem nie jest krepowany pod względem wyznaczenia *maximum* tej cyfry.

W tej samej sprawie przypuszczalnego składu przewidywanych zgromadzeń pełnomocnych, z innego jeszcze stanowiska jedno jeszcze ogólniejsze następuje spostrzeżenie. Zasada kuryalna obioru pełnomocników, w stosunku do wysokości pożyczek, według trzech rozmaitych grup stowarzyszonych, nie jedno mogła-by dawać do myślenia w zastosowaniu do Królestwa, a w szczególności do Warszawy. Niekoniecznie najlepsze i najrdzenniejsze żywioły mieszczańskie i obywatelskie są właścicielami największych w Warszawie nieruchomości, obciążonych najwyższymi pożyczkami. Wielkie kamienice warszawskie, obok niezbyt znacznej liczby nieruchomości wielkopańskich, obciążonych zresztą zazwyczaj najmniejszą pożyczką, a nieraz całkiem wolnych od długu Towarzystwa, znajdują się, jak powszechnie wiadomo, w niemalej części w ręku sfer, niedość zrośniętych z miejscowym środowiskiem interesu publicznego, a zatem niedość utrwalonych w zaufaniu publicznem. Wieluż naprzykład ostatnimi czasy naliczy się tutaj przedstawiciele spekulacyi budowlanej, posiadających największe, najnowsze i najcenniejsze domy, obciążone z reguły najwyższą pożyczką Towarzystwa, i z tego tytułu ewentualnie powołanych

do korzystania, w stosunku liczbowym, z najwyższych praw wyborczych. Tak samo znów, skądinąd, domy w niektórych dzielnicach, na przykład Nalewkowskiej, zaliczając się do najpierwszej kategorii pod względem szacunku, dochodowości, a zarazem wysokości pożyczek, i wyprzedzając pod tym względem nieruchomości innych dzielnic, ewentualnie były-by wobec nich również w położeniu uprzywilejowanym według przewidywanego nowego systematu wyborczego. Istotnie, według tego systematu, tak, jak bywa stosowany obecnie w Cesarstwie, trzy grupy stowarzyszonych—wyborców, reprezentujące każda  $\frac{1}{3}$  ogółu pożyczek i uprawnione każda do wyboru  $\frac{1}{3}$  ogółu pełnomocników, tworzone są sposobem kuryalnym, to znaczy, że do pierwszej wchodzi posiadacze pożyczek największych, do drugiej — średnich, do trzeciej — najmniejszych, skąd, oczywiście, wyradza się przywilej wyborczy w stosunku odwrotnym do ilości wyborców każdej grupy. Otóż w Warszawie właśnie rozkład pożyczek pod względem ich wysokości jest tego rodzaju, że przy dosłownem stosowaniu niniejszego systematu wynikła-by niechybnie nader wybitna nierównomierność operacji wyborczej. W rzeczy samej, jak wykazuje ostatnie Sprawozdanie Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy za rok 1898/9, w obecnej chwili ugrupowanie pożyczek według ich wysokości przedstawia w mieście naszym obraz następujący: pożyczek od rubli 1,000 do 5 tys. włącznie udzielono na 545 domów; od 5 do 10 tysięcy—na 620; od 10 do 15 tysięcy—na 464; od 15 do 20 tysięcy—na 360; od 20 do 30 tysięcy — na 493; od 30 do 50 tysięcy—na 537; od 50 do 90 tysięcy—na 235; od 90 do 100 tysięcy—na 15; od 100 tysięcy i wyżej—na 26 domów. Ponieważ zaś summa ogólna pożyczek wynosi około 72 milionów rubli, czyli na każdą grupę ewentualnych wyborców przypadają-by około 24 milionów, zatem okazuje się, że do pierwszej grupy, uprawnionej do obioru  $\frac{1}{3}$  wszystkich pełnomocników weszło-by zaledwo do paruset stowarzyszonych, a reszta, przeszło 3,000 stowarzyszonych, została-by wtłoczona do dwóch pozostałych grup wyborczych. Tak mocno zaakcentowany przywilej jednej kategorii stowarzyszonych nad innymi przy czynności wyborczej, oraz wynikająca z niego nierównowaga, jeżeli nawet, być może, odpowiadają lokalnym jednolitszym stosunkom w miastach Cesarstwa, mogły-by przeciw spowodować poważne niedogodności przy dosłownem ich zastosowaniu do odmiennych pod względem prawnym i ludnościowym stosunków miejskich Królestwa. Było-by nader do życzenia, ażeby ordynacja wyborcza, dotycząca zgromadzeń pełnomocnych, a dla której za wzór obowiązujący służy w ogólności ustawa Towarzystwa Kredytowego petersburskiego, na wypadek wprowadzenia jej do Towarzystwa warszawskiego, została i pod tym i pod



innemi jeszcze względami jak najbardziej i jak najrozważniej przystosowaną w szczegółach do odrębnych wymagań gospodarczych i społecznych miasta i kraju naszego. Żywimy przekonanie, że w tym kierunku nie będzie zaniedbanego ze strony władz Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, których to jest najpierwszym obowiązkiem, a tuzycy należy, że spotkają się one tutaj z dobrze zrozumianą względnością właściwych władz ministeryalnych.

§§

## II.

Pożar Jasnej Góry.—Dwa konkursy.—Początek roku szkolnego i nowa szkoła handlowa w Warszawie. — Jak mieszka nasza ludność wiejska? — Szczepienie idei oszczędności wśród młodzieży szkolnej,—Nowe pismo: „Świat artystyczny“, jego cel i zadanie.

Jest w nas dziwne, głęboko sięgające w rdzeń duszy zbiorowej narodu, przywiązanie do Jasnej Góry, jest jakaś miłość tkliwa, serdeczna, karmiona mlekiem tradycji, wszczepiona w serca wszystkie, opromieniona blaskiem wspomnień dzieciństwa, w którym uczyliśmy się pacierza od matek naszych, patrząc z wiarą w obraz Panny Częstochowskiej. Jest w nas kult specjalny, dla tego miejsca, pełnego łask świętych i niosącego ukojenia w cierpieniu i nędzy żywota.

Nie dziw też, że echa wieści o pożarze, jaki dotknął kościół Janogórski, szeroko rozbiegły się po kraju, że luna od wieży płonącej wszędzie obudziła trwogę i wywołała żywe objawy smutku i wielką gotowość niesienia pomocy. Nie dziw, że grosz ofiarny sypnął się obficie, i że każdy, wedle swej mocy, składa szeląg obok dakata na ołtarzu Orędowniczki naszej i Poczyszycielki naszej.

Od pożaru, który wynikł z nieustalonych jeszcze przyczyn, szczęśliwie spłonęła tylko wysoko strzelająca w błękit wieża, na widok której nadciągające zdaleka tłumy pielgrzymów falą się kładły i drżały ze wzruszenia.

Wieża ta powinna rychło znowu zapanować nad okolicą i niewątpliwie w ciągu lat 2—3-ech stanie, dźwignięta wolą dobrą i miłością wszystkich.

Tej woli dobrej i miłości potrzeba jednak i na przyszłość do uchronienia świątyni od wypadków podobnych. Ogień, który niszczącą siłą swoją wtargnął na wyżyny podniebne i w perzynę obrócił do wiekowego trwania przeznaczone wiązania, prócz klęski, jaką przyniósł, jest zarazem wskazówką potrzeb klasztoru Jasnogórskiego i Częstochowy. Miastu potrzeba lepiej zorganizowanej i lepiej w przyrządy ratunkowe uposażonej straży ogniowej, klasztorowi zaś — przynajmniej jednej, wysoko wyrzucającej wodę sikawki, i surowszych przepisów dla wchodzących na wieżę pątników. Jeżeli przyczyną pożaru było istotnie, jak podano w pismach, palenie ogni bengalskich i puszczenie rakiet z wieży, to podobnego rodzaju zabawy, niemające zresztą nic wspólnego z czcią dla miejsca świętego, powinny być raz na zawsze zabronione.

Z ogniem igrać nie można, a cóż dopiero w wypadkach, w których szkody zrządzone mogą przenieść wszelką możność wynagrodzenia. Tylko więc w dobrej woli, miłości i pieczołowitej opiece powołanych do tego, możemy zaassekurować Jasną Górę na przyszłość od pożaru, który szczęśliwym trafem nie dosięgnął tym razem groźniejszych rozmiarów.

---

Redakcja „Kuryera Warszawskiego“ rozesłała świeżo do osób, pracujących na polu naukowym, literackim i artystycznym kwestyonaryusz, na który odpowiedzi posłużyć mają za materyał do orzeczenia, które z dzieł w poszczególnych gałęziach naszej twórczości w ciągu XIX wieku zasługują na wyróżnienie i mogą być uważane za „słupy wytyczne“ dla nauki, literatury i sztuki polskiej. Dzieła, uznane większością głosów za najlepsze na tym konkursie stulecia (jak Redakcja ankietę swoją nazywa) uprzytomnione być mają następnie ogółowi w miarę możności na wystawach, koncertach lub w inny sposób ku chwale swoich twórców.

Wątpić należy, czy konkurs ten rzuci jakie nowe światło na owe owoce naszej pracy duchowej w ciągu dobiegającego kresu stulecia, zwłaszcza, że kwestyonaryusz zamknięty został w ramach tak



szczupłych, iż nie każdy potrafi się w nim wypowiedzieć należycie. Oto w jednej np. rubryce nauk społecznych znajdujemy: ekonomię, statystykę, skarbowość, prawo i socyologię. Przypuśćmy, że rubrykę tę wypełnia prawnik. Pragnąc wyróżnić, dajmy na to, specjalnie prace, dotyczące historii prawa polskiego, w której-to dziedzinie mamy takich badaczy, jak Hube, przedstawiciel starego pokolenia prawników polskich, i Oswald Balzer, niepospolitej miary uczony współczesny, — wypełniający będzie w kłopotcie, gdzie wyróżnione dzieła pomieścić: czy w ogólnej rubryce nauk społecznych, czy w ogólnej rubryce historii, w której jednak historii prawa nie uwzględniono. Podobne przeszkody nastroczać się będą licznie i w innych działach, wskutek czego niejedna z prac naukowych, godna wyróżnienia, zostanie pominięta.

Na bliższą nieco uwagę zasługuje projekt dalszy, mający na celu uprzytomnienie ogółowi dzieł najlepszych. W dziedzinie naukowej jednak wiąże się z tem potrzeba ogłoszenia drukiem całego szeregu prac, co pociągnie za sobą niemałe koszta.

Cheąc uprzytomnić ogółowi najlepsze dzieła naukowe polskie wieku XIX, należało-by zająć się wydawnictwem specjalnej biblioteki stulecia, która-by musiała objąć minimalnie 25 tomów, i przez niską cenę stać się dostępną dla warstw szerszych.

Czy i o ile wydawnictwo takie leży w zamiarach Redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, nie wiemy, wyrażenie bowiem „w miarę możliwości uprzytomnione“, podane w odezwie, granic tej możliwości nie określa, wskutek czego można się wiele spodziewać, a otrzymać nie wiele — i odwrotnie.

Obok konkursu stulecia, mamy do zanotowania drugie jeszcze konkurs — „Gazety Polskiej“, ogłoszony celem upamiętnienia puszczenia w świat setnego tomu dodatków bezpłatnych.

Jest to konkurs na opisanie pięknego, użytecznego i szlachetnego czynu z rzeczywistego życia Polaka lub Polki, z zakresu zwykłej działalności rodzinnej, lub społecznej. Opisywane przytem mogą być tylko czyny osób żyjących, spełnione w ostatnich latach.

Sędziami będą czytelnicy „Gazety“, i od nich zależeć będzie przyznanie nagrody, wynoszącej rubli 200.

Rezultat konkursu, o ile on zainteresuje szersze koła, będzie ciekawy ze względu na to, iż zamierza zapoznać nas z ideałami moralnymi współczesnego pokolenia i podać przykłady żywej cnoty, które dla niejednego będą może bodźcem i drogowskazem.

---

Początek roku szkolnego zawsze wytwarza u nas atmosferę niezadowolenia. W wielu rodzinach panuje poprostu przygnębienie, a gdzie tego ̄niema, tam jest trwoga i niepewność. Do gimnazyum dostać się bardzo trudno, a dzieci uczyć trzeba. Jeżeli nie pójdą one od samego początku równą drogą—to o żadnej już karyerze na seryo marzyć dla nich nie można.

Taki jest vox populi.

Kończąc teź do wrót gimnazyalnych wszyscy—niestety w znacznej ilości wypadków napróżno, bo miejsca niema. Diwne to, a takie prawdziwe i tak dobrze znane u nas.

W Warszawie jest tylko 7 gimnazyuów i 1 szkoła realna—bardzo mało jak na siedmkroćstotysięczną ludność miasta, i gdyby powstały jeszcze trzy gimnazyja obok istniejących—wątpliwa, czy kwestya braku miejsc w szkołach rządowych była-by zażegnana.

Jedyną drogą do usunięcia obecnego zła jest nadawanie przywilejów i praw szkół rządowych zakładom prywatnym, co jednak idzie oporem i, jak dotychczas, do uzyskania jest bardzo trudne.

Drugim środkiem, acz połowicznym tylko, bo ogół pragnie przede wszystkim szkoły, której ukończenie daje prawo wstąpienia do wszystkich zakładów naukowych wyższych, nie wyłączając uniwersytetu, jest zakładanie szkół specjalnych, jak rzemieslnicza w Łodzi i obecnie otwarta handlowa—w Warszawie.

Dzięki tej nowej szkole, bieżący rok szkolny uważać należy za, bądź co bądź, lepszy od poprzednich, mniej w nim bowiem będzie takich dzieci, które dla braku miejsca pozostały w domu.

Warszawa posiadała do niedawna szkołę handlową im. Kronenberga, którą w r. ubiegłym zamknięto, jako nie odpowiadającą nowej ustawie o handlowych zakładach naukowych.

Ustawa ta, zatwierdzona dn. 15 kwietnia 1896, powołuje do bytu szkoły handlowe, jako zakłady naukowe średnie, pozostające pod zarządem ministeryum skarbu, z przywilejami zbliżonemi do przywilejów szkół realnych.

Taką szkołę założyło kupiectwo warszawskie świeżo pod nazwą „Warszawskiej siedmioklasowej szkoły handlowej“, i oto z początkiem września zaczęła się już garnąć do niej młodzież, na razie do trzech klas tylko—wstępnej, pierwszej i drugiej, które



w razie wielkiej liczby kandydatów odrazu otrzymają oddziały równoległe.

Szkoła ma za zadanie kształcenie ogólne i specjalne, przysposabiające nie tylko do działalności handlowej i przemysłowej, ale otwierające zarazem wstęp do wszystkich wyższych zakładów technicznych.

Całkowity kurs nauk trwa lat siedem i jest rozłożony na siedem klas, w których liczbie pięć jest ogólnych i 2 specjalne. Niezależnie od tego istnieje klasa przygotowawcza, czyli wstępna.

Program szkoły obejmuje przedmioty następujące: a) ogólne — religia, języki: rosyjski, polski, niemiecki i francuski, historia, matematyka, geografia, historia naturalna, fizyka, rysunki ręczne i techniczne, kaligrafia i gimnastyka. Oprócz tego nadobowiązkowo za oddzielną opłatą uczniowie pobierać będą mogli naukę języka angielskiego i śpiewu; b) przedmioty specjalne: buchhalteria — teoretyczna i praktyczna — arytmetyka handlowa, chemia, towaroznawstwo z technologią, historia handlu, prawoznawstwo, korespondencja w językach rosyjskim, polskim i obcych nowożytnych, nadto stenografia.

Do „Warszawskiej siedmioklasowej szkoły handlowej“ przyjmowane są przede wszystkim dzieci kupców warszawskich, inne zaś będą przyjmowane o tyle, o ile będą miejsca wolne (semper idem!). Dzieci wyznania mojżeszowego będą przyjmowane z tym ograniczeniem, że liczba ich w stosunku do ogólnej liczby uczniów nie powinna przenosić 40%, raczej więc bez ograniczenia.

Pod względem powinności wojskowej i w razie wstąpienia do służby wojskowej, ci, którzy ukończą całkowity kurs nauk, korzystać będą z praw, przysługującym wychowankom szkół realnych. Oprócz tego uczniowie, kończący całkowity kurs nauk, otrzymają tytuł „osobistego obywatela honorowego“, jeżeli z urodzenia nie należą do stanu wyższego. Uczniowie, którzy ukończą kurs z odznaczeniem, otrzymywać będą tytuł kandydata komercyi.

Roczna opłata szkolna wynosi: dla uczniów klasy przygotowawczej, pierwszej i drugiej po rubli 60, dla uczniów klasy trzeciej, czwartej i piątej — po rubli 80, dla uczniów zaś dwóch klas specjalnych po rubli 100 rocznie, uiszczanych w dwóch równych ratach półrocznych.

Lokal szkoły, urządzonej według wymagań nowoczesnych, mieści się przy ul. Złotej pod № 51.

Jak widzimy z programu, szkoła stać będzie w zupełności na wysokości swego zadania i zadowolić powinna tych wszystkich, którzy się oświadczaają przeciw językom starożytnym, a żądają od szkoły średniej wiadomości, mających łatwo na pieniądź zamienną wartość życiową.

Co jednak mają czynić ci, którzy, bez względu na to, czy są, czy nie są zwolennikami klasycyzmu, nie mogą powziąć decyzji co do tego, czy dziesięcioletnich synów swoich przeznaczyć a priori do zawodu handlowego lub przemysłowego, czy sposobić ich na prawników i lekarzy, czy też czekać, aż dorosną wieku, w którym sami o wyborze zdecydują?

Ta kwestya, niezależnie od braku miejsc w gimnazyjach, przypomina się nam z początkiem każdego roku szkolnego i wysuwa na czoło potrzebę reformy szkół średnich, która tak żółwim krokiem posuwa się naprzód i tyle pytań nierozwiązalnych nastęrcza.

Kiedy się tej reformy doczekamy, przewidzieć trudno, to pewna tylko, że wszystko, co zrobiono dotychczas, wszystkie ulgi w wykładach, ograniczenie ćwiczeń łacińskich i greckich, częściowe zniesienie egzaminów itd., przyczyniło się zaledwie w pewnym stopniu do wyświeetlenia kwestyi przeciążenia szkolnego i z niem walczy, ale zupełnie nie ułatwiło sprawy obmyślenia nowego typu szkoły średniej, dostępczej dla wszystkich i otwierającej wychowañcom swoim wszystkie drogi na świat szeroki, coraz głośniejsze wołający o dobrych obywateli i dobrych pracowników.

A takiej szkoły potrzeba dziś nietylko u nas, ale w całej Europie, gdzie również dzisiejsze gimnazya, licea i szkoły realne, bądź się przeżyły, bądź nie odpowiadają wymaganiom społeczności.

---

Towarzystwo higieniczne, o którym mieliśmy sposobność kilkakrotnie już mówić na tem miejscu, zajęło się między innymi także sprawą mieszkań ludności wiejskiej.

Wieś ma dla nas zawsze i przedewszystkiem urok wsi — łąk zielonych, zbóż falujących, drzew okrytych kwiatem, przestrzeni szerokich, zagajów szumiących i starych chat pochylonych, pokrytych słó-



ma, o typowych strzechach polskich, nad które wznosi się w odwiecznym błękitnawym, pachnącym jałowcem i żywicą, ten dym, za którego zapachem tak bardzo nieraz tęsknimy, będąc daleko od kraju, na obczyźnie.

Wież ma dla nas, mieszkańców wielkiego miasta, przedewszystkiem urok krajobrazu swojskiego i znamy ją, przeważnie, jako krajobraz. Mało natomiast wglądamy w jej życie, mało interesujemy się jej mieszkańcami stałymi i nie znamy nawet dobrze wnętrza tych chat, które kochamy powierzchownie. Czasami ktoś odchyli przed nami rąbek tajemnej zasłony i wówczas przekonywamy się, że piękna, a raczej miła swojskością swoją dla oka, chata polska jest przybytkiem nędzy, ogromnej, beznadziejnej jakiejś nędzy, która jest zaprzeczeniem wszelkiej kultury i wszelkiego postępu i spycha nas na jedno z ostatnich miejsc wśród ludów Europy.

Odrobinę tej nędzy, trzymającej w uścisku swoim  $\frac{3}{4}$  mieszkańców naszych wsi i miasteczek, ukazuje nam właśnie w broszurze swojej młody prawnik, p. Kazimierz Rakowiecki, który, jako członek Towarzystwa higienicznego, z zamiłowaniem i obywatelskim odczuciem potrzeb kraju zabrał się do badań na polu higieny mieszkań wiejskich. Powinien to być uczynić lekarz z zawodu, ale że każdy obywatel kraju jest lekarzem ran—z obowiązku, z powinności, z sumienia swego, więc tylko za zasługę poczytać można p. Rakowieckiemu, że niezajętą snadź przez fachowca placówkę zajął z własnej woli. Z zadania wywiązał się zresztą bardzo dobrze, bo pracy nie szczędził, aby rzecz przedstawić wszechstronnie i oświetlić ją, jak można było, najlepiej.

Za podstawę tych wywodów i uogólnień posłużyło autorowi szczegółowe zbadanie warunków mieszkalnych wioski Grala-Dombrowizna, położonej w pow. Siedleckim, w odległości 2 mil od Siedlec, 3 zaś mile od miasteczka Stoczek.

Mimo, że mieszkańcy danej wioski należą do małorolnych, posiadają bowiem, jak to zaznacza autor, tylko po 2 lub 3 morgi gruntu, to jednak warunki ich mieszkalne nie wiele różnią się od warunków mieszkalnych gospodarzy zamożniejszych, i dostrzeżone przez p. Rakowieckiego strony ujemne dadzą się bez wielkich zastrzeżeń rozszerzyć na całe Królestwo Polskie.

Nie wchodząc w szczegóły, podajemy tu krótkie resumé autora, które niewątpliwie bardzo dobrze charakteryzuje niehigieniczność każdej wioski polskiej.

Oto co w niej się uderza przedewszystkiem w oczy: niepomierne skupienie chat i budynków gospodarskich, przeludnienie w izbach mieszkalnych, brak wentylacji, obecność przy chatach przybudówek

na chlewy i oborkę, nieodpowiedny rozkład chaty, w której sień zajmuje zbyt dużo miejsca, mieszkanie zaś rodziny włościańskiej składa się z jednej tylko izby, z dodaniem — i to nie zawsze — komory lub alkierza; zbyt mała wysokość izb mieszkalnych, obecność przy izbach ciemnych komór, brak światła, spowodowany brakiem dostatecznej powierzchni okien, po części zaś niewłaściwym tych okien umieszczeniem, wilgoć w izbach podczas miesięcy zimowych i brak schludności i porządku, zarówno na ulicy wioskowej i na przestrzeni wolnej między budynkami (gnojówki), jako też i w izbach mieszkalnych.

Zastanawiając się nad tem wszystkim, w dalszym ciągu pracy swojej proponuje p. Rakowiecki szereg reform, które stopniowo przeobraziły-by wioskę naszą i poprawiły w niej warunki zdrowotne, przyczem nie wątpi, że reformy te będą stopniowo przeprowadzone przez samą ludność w mniej lub więcej odległym czasie. Dla inteligencji jednak nastęrcza się tu wdzięczne pole przyspieszenia tego procesu cywilizacyjnego. Winna ona dopomódcz tu radą zdrową, zachętą i uświadomieniem niezbędnych warunków dobrego zachowania zdrowia, a więc przede wszystkim schludności w mieszkaniach i ubiorze.

Co się tyczy specjalnie obywatelstwa wiejskiego, to prócz udzielania włościanom, budującym nowe chaty, życzliwych rad i praktycznych wskazówek, powinno ono dawać pod tym względem wieśniakom wzór, godny naśladowania, przez stawianie domostw mieszkalnych dla służby folwarcznej, o ile możliwości wzorowych pod względem higieny.

To ostatnie — mówi autor — jest wprost obowiązkiem obywatelstwa wiejskiego, obowiązkiem nietylko moralnym, ale i społecznym. Poza tem polepszenie warunków mieszkalnych służby folwarcznej leży nawet w bezpośrednim interesie właścicieli ziemskich, ponieważ jednocześnie z polepszeniem tych warunków zwiększy się zdrowotność służby folwarcznej, a, co za tem idzie, jej zdolności do intensywniejszej i produktywniejszej pracy.

Zasadnicza zmiana warunków mieszkalnych ludności wiejskiej niemożliwa jest jednak do osiągnięcia bez uprzedniego podniesienia dobrobytu materialnego szerokich warst tej ludności i bez podniesienia się wśród niej poziomu oświaty i potrzeb kulturalnych.

Z tych założeń wychodząc, wzywa p. Rakowiecki szerszy ogół do współdziałania, a przede wszystkim pragnie gruntownie zbadać stosunki dzisiejsze. W tym celu do pracy swojej dołączył wyczerpujący kwestyionaryusz, na który odpowiedzi odsyłać należy do Tow.



hygienicznego w Warszawie. Odpowiedzi te, o ile nadejdą w większej ilości, wyświetlą zapewne niejedno jeszcze i sprawa reform wejdzie na tory właściwe, jeśli znajdzie więcej tak gorliwych i oddanych jej pracowników, jak autor omawianej broszury.

Towarzystwo higieniczne, którego siłom i dobrej woli ufamy, powinno jednak baczyć, aby nadać całej sprawie taki kierunek, iżby rzecz nie ugrzęzła w samych początkach na drobiazgowych rozprawach teoretycznych. Obmyślenie typu wzorowej chaty i osady włościańskiej powinno być pierwszym etapem w jego pracy. Następnie zaś typ ten należy rozpowszechnić drogą słowa drukowanego i żywego przykładu. Wzniesienie kilkudziesięciu chat wzorowych przez ziemian i zamożniejszych włościan, w rozmaitych okolicach kraju, więcej tu zdziała, niż lata całe badań na podstawie materiału, dostarczonego przez kwestyonarusz.

Exempla trahunt—a prawu naśladownictwa podlega każdy człowiek w takim stopniu, że się z tem liczyć ołpaci.

---

Prasa codzienna poruszyła w ostatnich czasach sprawę przynuczania młodzieży szkolnej do oszczędności w myśl specjalnego okólnika ministerjum oświaty, który zaleca nauczycielom i przełożonym szkół średnich szczepienie i popieranie wśród dzieci idei „Ziarnko do ziarnka“.

Nie ulega wątpliwości, że to, co nazywamy „cnotą oszczędzania“, w społeczeństwie naszym nie rozwinęte tak, jak gdzieindziej. Niemniej jednak nie jesteśmy już w tym względzie zupełnymi profanami i oddawna uważamy grosz za „wykładnik pracy“. Stopniowo też będziemy się posuwali naprzód, bo taki jest duch czasu i powszechne dążenie do gromadzenia bogactw nie może się nie odbić nawet na biednych warstwach narodu, choćby miało pozostać zawsze tylko niezaspokojonem pragnieniem. Warstwy średnio zamożne oszczędzają u nas oddawna, o czem świadczy może chociaż-by tylko stały wzrost klienteli Towarzystwa ubezpieczeń na życie. Assekuracja jest przecież także formą oszczędności, z wielką nieraz abnegacją połączoną.

Nie zapominajmy, że żyjemy w dobie rozkwitu gospodarki kapitalistycznej, i że wszystkie, właściwe kapitalizmowi, procesy, trynm-

fy i przełomy, przebyć musimy. Czy jednak oplaci się nam je przyspieszać?

Pieniądz i tak odgrywa w życiu naszym rolę dużą, zastępuje nam ideały, staje się osią naszych zabiegów i usiłowań. Człowiek współczesny, z t. zw. typu ludzi normalnych, stara się go zdobyć za jakąkolwiek cenę.

Nikt nie słucha filippik przeciw materyalizmowi, większość z najgłębszego przekonania oddaje cześć złotemu cielcowi, bo pieniądz daje wszystko. Taki jest prąd dzisiejszy i długo zapewne będzie on jeszcze niósł na fali swojej tłumy, żadne użycia.

Czy więc wobec tego ma jakie dodatnie znaczenie propaganda oszczędności wśród dzieci?

Pieniądz pozostanie zawsze pieniądzem, bez względu na to, czy jest zaoszczędzony, czy zdobyty ślepym trafem w grze, czy odziedziczony bez trudu i pracy, i dziecko nie powinno się do niego przywiązywać, nie powinno znać jego wartości.

Niestety, dowiaduje się ono przedwcześnie o niej, już od najbliższego otoczenia swego, w rodzinie, gdzie się na każdym kroku uczy rozumieć, że bez pieniędzy życie jest niemożliwe, a im kto ma więcej pieniędzy, tem jest szczęśliwszy.

Jeżeli do tego szkoła będzie systematycznie na młody jego umysł oddziaływała, w celu przekonania go, że trzeba oszczędzać, czyli zbierać pieniądze, to dziecko wzrastać już będzie w takiej atmosferze kultu dla pieniądza, że się przez nią żadne inne powiewy, świeższe i czystsze, nie przedostaną.

W rezultacie będziemy mieli pokolenie, które nam podniesie stopień zamożności narodu, ale pozostanie głuche na wszystko, co w bezpośrednim związku z pieniądzem nie stoi, a z ducha idzie; będziemy mieli kapitalistów w 18 roku życia, którzy będą na seryo zajęci myślą o korzystnej lokacie swoich oszczędności, a kto wie, czy ich nie rozpożyczą najbliższym kolegom swoim na 7—8, a potem 12 i 15%, bo w tym kierunku tylko początek jest trudny.

Następuje się przytem pytanie, z czego mają dzieci szkolne oszczędzać? Nauczyciele będą im tłumaczyli, że pieniądz jest „wykładnikiem pracy“, ależ dzieci nie pracują na pieniądz wcale, nie zarabiają nic jeszcze, a zajęcia ich nie są przez nikogo wynagradzane, przeciwnie, jeszcze płacić trzeba za nie wpis, kupić im książki, sprawić odzienie, nakarmić je itd.

Wyniknie stąd bardzo niebezpieczna sytuacja: dziecko nauczy się wyludzać od rodziców pieniądze, symulować przed nimi nieraz wydatki na materiały szkolne, byle tylko mieć więcej, byle do skarbonki wrzucić co czas pewien kilka groszy; nauczy się ze szkoda dla



własnego zdrowia pieniądź przeznaczony przez rodziców na śniadanie podczas pauzy „zaoszczędzać“, będzie się znieprawiało moralnie od najwcześniejszych lat, w szkole rozwiną się gry, loterya, znajdują się chłopy, sprytni do małych operacyi finansowych itd.

I to wszystko nie są paradoksy. Takie doświadczenie zebrano tam, gdzie idea szczepienia oszczędności w szkołach została już dawniej w czyn wprowadzona. Takie obserwacye podają nauczyciele szkół ludowych w Austrii, gdzie przy szkołach tych powstały w swoim czasie „szkolne kasy oszczędności“, przeciwko którym oświadczyli się przedewszystkiem sami rodzice.

Szczepmy oszczędność, owszem, ale popierajmy ją wśród dorosłych, zwłaszcza wśród warsw niższych, zakładajmy kasy oszczędności, Towarzystwa wkładowo - oszczędnościowe, popularyzujmy kasy pożyczkowe, uświadamiajmy ogół mieszkańców naszych wsi i miasteczek, wskazujmy im wartość pieniądza, ale dzieciom — zostawmy ich świat dziecienny, swobodny i wolny od trosk, które późniejsze życie przyniesie, wychowajmy je za to moralnie, starajmy się dać im na drogę życia wiarę w dobro, przywiązujmy je do piękna, rozbudzajmy w nich zamiłowanie do prawdy.

Niech przedewszystkiem poznają wartość „człowieka“ i „pracy“, a potem dopiero wykładnik tej pracy — pieniądź.

---

Od dnia 1 października r. b. zacznie wychodzić w Warszawie nowe pismo, dwutygodnik, poświęcony sztukom plastycznym pod tyt. „Świat artystyczny“.

W prospekcie tego pisma czytamy:

„Godło, jakie przybieramy, mówi samo za siebie, samo jest programem działania, samo już określa sferę, w jakiej pragnęlibyśmy znaleźć pokarm dla dusz, łaknących wznoszenia się w sfery wyższe. W tem godle streszcza się zarówno podstawa, na jakiej usiłowania nasze odnośnie do przeszłości oprzeć zamierzamy, jako też i dążenie, do przyszłości skierowane. Piękno tedy obrazowe w przejawach trzech sztuk, postaciowemi (plastycznemi) zwanych, zawarte; piękno, będące ich promieniem świetlanym, ich życiem, ich ciepłem, zamierzamy we wszystkich jego postaciach, tak duchowej, jak i zewnętrznej natury, poddawać rozmysłowi, uwadze i rozbiorowi czytelników naszych, zda-

wać sprawę z jego zakwitu, prowadzić drogą do ukochania prawdy w niem zawartej, do wskazania pożytków, jakie z sobą wnosi do życia społecznego.

„Jako pomoc nieodłączną do przedstawienia objawów piękna użyjemy obrazowania powabów jego w odwzorowaniach, które słowu w pomoc przyjść muszą, które nieodłączną całość ze słowami tworzyć mają, lub nieraz samo słowo zastępować będą“.

Pismo będzie więc illustrowane, a na treść jego złożyć się mają: rozprawy z teorii sztuk pięknych, z ich filozofii i estetyki, historyczne na sztukę poglądy, powieści i anekdoty, wiadomości, do rozumienia piękna postaciowego prowadzące, wiadomości o sposobach wykonywania dzieł sztuki, wiadomości pomocnicze do sztuk pięknych, jak historia zwyczajów, obyczajów i ubiorów, zdobnictwo, kronika sztuk pięknych, sprawozdania z wystaw krajowych i zagranicznych etc.

Redaktorem i wydawcą pisma jest prof. Wojciech Gerson. Komitet redakcyjny stanowią pp.: Henryk Piątkowski, artysta malarz, profesor Pius Weloński, artysta rzeźbiarz, i Stefan Szyller, budowniczy.

Prenumerata wynosić będzie rocznie w Warszawie rubli 10, na prowincyi rubli 11.

Powstanie „Świata artystycznego“ jest dla stosunków naszych faktem znamionym. Świadczy ono o istotnej i głębokiej potrzebie podania w formie poważnej pokarmu duchowego społeczeństwu, które śnać dorosło do karmienia się pięknem, oraz o zespoleniu się ludzi, którzy potrzebę tę żywo odczuli i do pracy dla innych z ochotą przystępują.

Jest to jakby ciąg dalszy tego, co rozpoczęło zawiązane w r. z. Towarzystwo artystyczne, o którego celach i dążeniach pisaliśmy na tem miejscu w swoim czasie.

I „Towarzystwo artystyczne“ i „Świat artystyczny“ łączą się w jednym usiłowaniu stworzenia ogniska, z którego promieniowało-by piękno czyste, niezależne od wymagań targu, i uszlachetniający wpływ swój wywierało na wszystkie dziedziny życia, zagrzewając do pracy tych, co mu służą, a dostarczając wrażeń podniosłych w chwilach wypoczynku tym, co stoją z dala od świątyni sztuki, ale żywią dla niej cześć i obejść się bez niej nie mogą.

Sztuka stała się dzisiaj niezbędnym czynnikiem w życiu człowieka cywilizowanego, ale większość ludzi, nawet bardzo kulturanych, wysoko wykształconych i pracujących z pożytkiem na rozmaitych polach, ma tylko ciemne poczucie tej potrzeby niezbędnej, zna tylko niewyraźne porwy ducha, który każe jej szukać wrażeń przyjemnych w barwach i kształtach, posiada tylko odruchowe pragnienie piękna,



ale je rzadko odczuwa, rozumie, pije wszystkimi zmysłami, rzadko poznaje się na niem, bo nie posiada wykształcenia estetycznego i w ślad za tem idącego smaku.

Wykształcenie to zaszcześcić, pogłębić, uporządkować i wyrobić w społeczeństwie smak i zamiłowanie do szukania piękna we wszystkich jego przejawach, do odnajdywania we wszystkim, co nas otacza, i do wymagania od wszyskiego—oto zadanie i praca, i pole wdzięczne do zasługi.

Placówka ta, dotąd nie była zajęta. Nikt nie starał się społeczeństwa kształcić estetycznie, nikt nie mówił do niego o istocie piękna—jeden może Witkiewicz, i dla tego książka jego „Sztuka i krytyka u nas“ już w 3 wydaniu tak łakomie została rozchwytaną przez inteligentną publiczność. Prasa nie zadawała sobie trudu nauczania nigdy, o otwieraniu oczu tym, których natura nie obdarzyła wzrokiem przenikliwym, czułym, reagującym na każdy promień światła w sposób właściwy—nie myślał żaden krytyk. Publiczności podawano się taką lub inną doktrynę estetyczną, oplątywało się ją powrozami frazesów, przyćmiewało w niej sąd jej własny, zabijało jej indywidualność.

I publiczność ta przyjmowała na wiarę wszystko—owczym pędem biegła uwielbiać to, o czem napisano, że piękne, na widok obrazu zalecanego przez sprawozdawcę pisma X. wołała, że jest arcydziełem, że wyszedł z pod pędzla geniusza, potępiała np. rzeźbę, o której napisano, że jest za mało subtelna. I urobiono bierną masę, która wie, że nazwiska Rodin, Rops, Böcklin, Kaulbach i t. d., są wielkie, która jednak niedocenia Chełmońskiego, Tetmajera i innych, stworzono zastępy ludzi, rozprawiających o sztuce, a nieumiejących wnieść odrobiny artyzmu do swojego życia, niemających odrobiny smaku w wyborze tego, na co nieraz wydają duże pieniądze.

Zobaczmy tylko umeblowania naszych mieszkań — jakież tam wszędzie szablony, jaki brak gustu, jaka nieumiejętność wydobycia efektu; zobaczmy tę tandetę, którą nabywamy od kupców zagranicznych.

Przecież nie gdzieindziej, ale u nas, w Warszawie, bywają co czas pewien sprzedawane bohomyzy, przywożone tu przez niemieckich „kunsthändlerów“ mizerniejszego gatunku, którzy wynajmują na kilka tygodni sklepy, obwieszają ich ściany podmalowanymi oleodrukami i robią świetne interesy na naszej publiczności. Obrazy te widzimy potem u naszych krewnych, znajomych i słyszymy nieraz oddawane im pochwały.

Przecież nie gdzieindziej, ale u nas, w tem wyjątkowem mieście, jakim jest Warszawa, niema ani jednego domu w nowszych dzielni-

each miasta, który-by mógł rościć sobie pretensję do miana dzieła sztuki—koszary tylko, koszary trzy i czteropiętrowe widzimy dokoła, koszary, budowane dla zysku i wyzysku, a nie mające nic wspólnego z pięknem.

Nie—smaku nie mamy wcale.

Nadechodzi jednak czas, w którym zaczynamy to odczuwać, w którym społeczeństwo zaczyna się budzić i wołać: uczcie nas i kształćcie, pójdziemy drogami, które pokażecie, prowadźcie nas tylko w krainę piękna, bo dość mamy już tandety i szarzyzny!

Rola tego kształcenia, tej nauki trudnej, najeżonej większymi trudnościami, niż jakakolwiek inna, przypadła w udziale „Światu artystycznemu“.

Dobrowolnie przyjął on zadanie to na barki i ma przed sobą cały lat szereg pracy wytrwałej, zanim ona owoce jakiegokolwiek wyda.

W nowem piśmie pokładamy duże nadzieje. W jakim stopniu sprawdzi je ono — to dopiero przyszłość okaże, tymczasem możemy tylko życzyć powodzenia w pracy, podjętej nie dla interesu, ale z pobudek wyższych, w służbie jednego z najważniejszych czynników postępu moralnego—Piękna, w dążeniach najszlachetniejszych, —do Prawdy.



---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Jubileusz wszechnicy Jagiellońskiej wytwarza zwolna literaturę, związaną z dziejami Krakowskiej *Almae Matris*. Dr Stanisław Tomkowicz podał historię i opis „Gmachu Biblioteki Jagiellońskiej“ ze zdjęciami arch. P. J. Zubrzyckiego i według fotografii J. Kriegera; a p. Stefan Zaleski wydał: „Opowiadania z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego“, na które składają się następujące szkice: *Alma Mater* na zewnątrz; Chleb uniwersytecki; Zakład mieszczański-słowiański; Światło w uniwersytecie; Duch zgromadzenia; „Stary“ i „młodzi“; Obyczaje mistrzów i scholarów. J. K. Potocki zgromadził zbiór studyów społecznych i socyologicznych pod tytułem: „Współzawodnictwo i współdziałanie“, a Fr. Rawita skompletował drugą seryę swoich „Studyów i szkiców historycznych“.

— Dr M. Jezienicki, profesor V gimnazjum i docent uniwersytetu we Lwowie, wydał także własnym nakładem część III „Cenniejszych utworów la-

cińskich Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami". Część ta zawiera celniejsze ody Kochanowskiego i Sarbiewskiego.

— U Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie wyszło studjum historyczne pod tytułem: „Witold Książę Litewski“, J. K. Kochanowskiego. Praca ta będzie przedmiotem oddzielnej oceny.

— Zeszyt IV tomu XIV miesięcznika „Wisła“ (lipiec i sierpień) wyszedł z druku i zawiera: G. Smólskiego: „Z wycieczki na Mazowsze pruskie“; S. Udzieli: „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego“; Z. Kowalskiej: „Obchód weselny w powiecie Wilejskim“; E. Tetznera: „Pobrzeże Ławca“; E. M.: „Drzeworyty z Płazowa“ (z rysunkiem); W. Nalkowskiego: „Kronikę geograficzną“; W. S. Kiradzića: „Pieśni serbskie“; M. Kucza: podanie ludowe „Jej lza“. Poszukiwania, Sprawozdania i Krytyki, Przegląd czasopism.

— Pan Wincenty Lutosławski wydał studia filozoficzne pod tytułem: „Z dziedziny myśli“. Książce tej poświęćmy obszerniejszą wzmiankę.

— „Ideal prawdy ze stanowiska higieny ciała i duszy“—taki jest tytuł broszury d-ra H. Nusbauma, o której wkrótce pomówimy,

— „Biblioteki neo-scholastycznej“ d-ra Merciera wyszedł w przekładzie zeszyt 4-ty, zawierający dalszy ciąg historii psychologii nowoczesnej.

— Dr S. Mintz przedstawił „Higienę biblijną“ w świetle krytyki współczesnej.

— W dziedzinie poezji ukazały się dwa zbiorki: El (Kazimierza Laskowskiego): „Z chłopskiej piersi“ i Micczysława Emefa: „Szal“.

— Do literatury powieściowej przybyły: „Nowelki i obrazki“ Amarilisa, „Powieści czarodziejskie“ Andersena (tom I) i „Komornicy“, powieść Władysława Orkana.

— Aktualności politycznej zawdzięczamy broszurkę: „Chiny i Bokserzy“, napisaną przez Sinologa. Aktualnością również stało się tłumaczenie szkicu zmarłego niedawno Fryderyka Nietzschego, pod tytułem: „Ryszard Wagner w Bayreuth“, dokonane przez panią Maryę Cumft-Pieńkowską.

— Ósme wydanie „Początków języka polskiego“ Władysława Nowickiego wyszło nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.



— Drugiej edycji doczekało się studjum o emancypacji kobiet ks. Karola Niedziałkowskiego, pod tytułem: „Nie tędy droga, szanowne paniel“.

— Ks. Stefan Koziarz napisał broszurkę, wydaną we Lwowie, pod tytułem: „Cech garncarski w Sokolowie (kolo Rzeszowa)“.

— Ukazał się 148 tom „Biblioteki dzieł wyborowych“, zawierający wspomnienia Józefa Tokarzewicza (Hodiego) pod tytułem: „W dniach wojny i głodu“.

— „Dziejów illnstrowanych“, wydawanych w Wiedniu nakładem Franciszka Bondego pod redakcją d-ra Ludwika Kubali wyszły zeszyty od 365 do 368 włącznie i zawierają dalszy ciąg czasów starożytnych (tom IV).

— Zeszyty XI i XII „Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek XIX wieku“ wyszedł z druku i zawiera życiorysy: d-rów medycyny Gągatkiewicza i Filipeckiego przez J. Peszkego; Józefa Bohgana Zaleskiego przez Kazimierza Glińskiego, Ludwika Osińskiego przez Romana Plenkiwicza, Karola Mecherzyńskiego przez Piotra Chmielowskiego, Aleksandra hr. Przędzieckiego przez Z. Glogera, Juliana Bartoszewicza przez tegoż, Feliksa Bentkowskiego przez Br. Chlebowskiego, Jana Zygmunta Skrzyneckiego przez M. Massoniusa, Pauliny Krakowowej przez Anielę Szyc, Józefa Kremera przez Henryka Struvego, ks. Zygmunta Goliana przez ks. Teofla Matuszewskiego i Ludwika Kondratowicza (Syrokomli) przez Fr. Rawitę.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

**Michał książę Radziwiłł.**

# OGŁOSZENIA.

---

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w roku 1901 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1897, 1898, 1899, 1900; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z Ustawą Kasy Pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rossyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu, lub na ręce jednego z członków Komitetu.

Wiceprezes Komitetu:

*Konrad Dobrski.*

Członek Komitetu Sekretarz:

*Feliks Kucharzewski.*

---

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia d-ra J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez Władzę rządową, przyznał w dniu 19 września 1900 roku W-mu Aleksandrowi Jabłonowskiemu nagrodę imienia Adolfa Pawińskiego w kwocie rubli sześćset za dzieło pod tytułem: „Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym“, Warszawa, 1897, jako za najlepszą z prac, odnoszących się do historii polskiej, ogłoszonych drukiem w języku polskim w ciągu lat: 1897, 1898, 1899, przez tutejszych poddanych.

Wiceprezes Komitetu:

*Konrad Dobrski.*

Członek Komitetu Sekretarz:

*Feliks Kucharzewski.*



# SPIS RZECZY

*zawartych w tomie trzecim*

z roku 1900.

---

## H i s t o r y a.

	Str.
Z LITERATURY ZAPOMNIANEJ. Szkic z dziejów dawnej umysłowości, — przez A. Brücknera . . . . .	1
ELEKCYA AUGUSTA III,—przez Szymona Askenazego	197 i 430
AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH (1846 — 1859). (Sprawy ekonomiczne), — przez d-ra Bronisława Łozińskiego . . .	381

## L i t e r a t u r a.

PRZEKONANA. Powieść,—przez Al. Suszczyńską .	43, 216 i 409
W DALEKOŚĆ. — OTWÓRZ, JANKU! — MARZENIA (wiersze), — przez Edmę Mięrz. . . . .	349 i 517

### Studya i szkice literackie i artystyczne.

	Str.
SZUJSKI JAKO POETA, — przez St. Tarnowskiego . . .	68 i 242
STOSŁAW ŁAGUNA, — przez Szymona Askenazego . . .	117
ZWROT W MODERNIZMIE NIEMIECKIM, I. Liryka, — przez d-ra Józefa Flacha . . . . .	125
JÓZEF ELSNER I PIERWSZE KONSERWATORYUM W WAR- SZAWIE. (Z papierów i pamiątek po Elsnerze), — przez Ferdynanda Hörsicka . . . . .	142
ECHA Z WIELKIEGO BAZARU. (Wrażenia i notatki). II. Sztuka, — przez Antoniego Potockiego . . . . .	287
GARCZYŃSKI I KRASIŃSKI. Szkic literacki, — przez Tadeusza Piniego . . . . .	312
ELIZA ORZESZKOWA, — przez A. Drogoszewskiego . . .	494
TEGOROCZNY MIĘDZYNARODOWY KONGRES KATOLICKI W PA- RYŻU, — przez Michała Radziwiłła . . .	521

### Nauki przyrodnicze.

NOWE POSZUKIWANIA NAD INTELLIGENCYĄ PSZUCÓŁ I MRÓ- WEK, — przez profesora d-ra J. Nusbauera . . .	335
--	-----

### K r y t y k a.

D-r Karol Bücher: „Die Wirtschaft der Naturvölker“ Dresden Zahn und Jaensch“, 1898;—Dr Zofia Daszyńska Golińska: „Własność rolna w Galicyi“. Studium statystyczno- społeczne. Warszawa, 1900, w 8-ce, str. 95 i dwie mapki,—przez d-ra Zygmunta Gargasa 175 i 360	
„Prace filologiczne“, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karlłowicza i A. A. Krzyńskiego. Tom V, zeszyt 3. Warszawa, 1899 (str. 681 — 1,033);—Antoni Kra- snowolski: „Słowniczek frazeologiczny“. Poradnik dla piszących. Wydanie z zapomogi Kasy im. Miano- wskiego. Warszawa, 1900;—przez Romana Za- wilińskiego . . . . .	354



- Stanisław Rzepiński: „Grecya, wspomnienia z podróży, odbytej na wiosnę w roku 1896“, Kraków, 1899; — Anna Neumannowa: „Legendy i baśnie Wschodu“, Kraków, 1899; — Zofia Kowerska: „Powieści“, Kraków, 1899, —  
przez Z. D. . . . . . 541

## Kronika zagraniczna.

KRONIKA RZYMSKA, — przez A. Darowskiego.

- Rok jubileuszowy i Dante. — „Ogień“ Gabryela d'Annunzio. — „Wieczna legenda“ W. Aganoor. — Kasy oszczędnościowe we Włoszech. — „Nero“ H. Boity i „Le Maschere“ P. Mascagniego. — Kongres archeologiczny chrześcijański w Rzymie. — Kongres przeciwnościowy w Neapolu . . . . . 95

KRONIKA LONDYŃSKA, — przez d-ra N e k a n d ę - T r e p k ę.

- Zagadnienia południowo-afrykańskie. — Wyprawa chińska. — Sezon wiosenny. — Podróżnicy angielscy i sąsiedzi. — Roboty publiczne i budowle Londynu. — Muzeum Ryszarda Wallace'a w Hertford House. — Miliony Andrzeja Carnegie i ich przeznaczenie. — Osiemdziesięciolecie Herberta Spencera i jego życiorys przez Hektora Macphersona. — Trzechsetletni jubileusz Cromwella i jego charakterystyka przez Sir R. Tangye, Lorda Rosebery i S. R. Gardinera. — Teatra: Opera i operetki—angielski Beyreuth. — „Quo vadis“ i „Cyrano de Bergerac“. — „Zaza“. — Człowiek lat 40-u. — Próba Lady Huntworth . . . . . 465

## Kronika miesięczna.

LIPIEC.

- Siedemdziesięciopięcioletnie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. — Projektowany obchód millenium Kalisza. — Statystyka kąpiel publicznych w Warszawie. — Czem mogła-by i powinna być Saska Kępa. — W sprawie bytu materyalnego młodych lekarzy . . . . . 179

## SIERPIEŃ.

Str.

- Pogotowie ratunkowe i ratownictwo na kolejach żelaznych.—Pol-  
skie słownictwo techniczne.—Konkurs z ofiary p. Wa-  
welberga.—Brak kapłanów i przyczyny tego zjawiska.  
—Kolporterzy nieletni.—Sezon martwy w Warszawie  
i w prasie warszawskiej. — Wycieczki po kraju . . 362

## WRZESIEŃ.

- I. Zmiany w Towarzystwie Kredytowym miasta Warszawy. —  
II. Pożar Jasnej Góry. — Dwa konkursy. — Począ-  
tek roku szkolnego i nowa szkoła handlowa w Warsza-  
wie.—Jak mieszka nasza ludność wiejska?—Szczepie-  
nie idei oszczędności wśród młodzieży szkolnej.—No-  
we pismo: „Świat artystyczny“, jego cel i zadanie . . 548

## Wiadomości bibliograficzne.

LIPIEC . . . . .	194
SIERPIEŃ . . . . .	377
WRZESIEŃ . . . . .	573